WYJĄTKOWA ZAKŁADKA DO KSIĄŻEK Z KULTOWYM JUŻ POWIEDZENIEM

IMPERIUM AGORY,
CZYLI „NAJWIĘKSZE CHYBA UWŁASZCZENIE III RP"

IPN OSTRO PUNKTUJE GŁOŚNĄ KSIĄŻKĘ GRABOWSKIEGO I ENGELKING

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 6 (324) 2019
11–17 lutego
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

JAROSŁAW KACZYŃSKI W MOCNYM WYWIADZIE

CAŁA PRAWDA O TAŚMACH

O CO CHODZI W TEJ SPRAWIE, KTO CHCIAŁ OSZUKAĆ I KTO KŁAMIE

W ROZMOWIE TAKŻE O TYM, KTO W POLSCE SIEJE NIENAWIŚĆ, CZY KAMIENIAMI MOŻNA ZABIĆ PiS, I KOMU ZASZKODZI PARTIA BIEDRONIA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl df9b070253

CYFROWY POLSAT

Telewizja na start nawet 6 MIESIĘCY BEZ OPŁAT

Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z minimalnym zobowiązaniem od 60 zł/mies. i z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Liga Sprawiedliwości" © Warner Bros. „Ucieczka z Dannemory" © Home Box Office, Inc. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl df9b070253

Ludzie, którzy uwierają

Pozostający pod zarzutami korupcji w sprawie warszawskiej reprywatyzacji mecenas Robert Nowaczyk zeznał, jakoby aresztowany w tejże sprawie były wysoki rangą urzędnik ratusza Jakub R. zwierzył mu się kiedyś, że obecny wiceszef służb specjalnych Maciej Wąsik kazał mu rzekomo skupować roszczenia byłych właścicieli gruntu na słynnej już ulicy Srebrnej. A to po to, żeby wyczyścić grunt pod równie słynną już inwestycję.

To twierdzenie znamienne z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że Jakub R., wraz ze swym pozostającym na wolności bratem, od dwóch lat w całym ciągu enuncjacji bili i w Wąsika, i w jego szefa Mariusza Kamińskiego. W każdy możliwy sposób usiłowali powiązać ich z reprywatyzacyjnymi złodziejstwami. Tylko jakoś o nieruchomości na Srebrnej mowy w tym potoku pseudorewelacji nie było. Nowaczyk „przypomniał sobie" o tym z jakichś powodów dopiero wtedy, kiedy adres na Srebrnej stał się głośny. Ot, taki zbieg okoliczności. Taki przypadek, oczywiście niezwykle wzmacniający wiarygodność tej historyjki.

I po drugie, wypowiedź Nowaczyka to doskonały przykład narracji, polegającej na odwracaniu znaczeń. Na próbie odebrania certyfikatu czystości tym, którzy od lat ponosząc koszty nonkonformizmu, walczą z korupcją. I przekręceniu oczywistości; uczynieniu ich złodziejami.

Tacy ludzie bardzo uwierają tych, którzy niegdyś dokonali odwrotnego wyboru.

Piotr Skwieciński

Tęczowy sierpomłot

Robert Biedroń zapowiedział tęczową Wiosnę. W skrócie: tolerancję dla mniejszości i topór dla pozostałych. Wszystko oczywiście w imię swoiście pojętej tolerancji. Polska ma być pozbawiona sumienia, oderwana od Kościoła i gotowa zabijać nienarodzone dzieci do końca trzeciego miesiąca ciąży.

„Zrobimy to, na co politycy nie mieli odwagi. Nie będziemy klęczeli przed biskupami" – zapowiedział były poseł Ruchu Palikota, prezentując wśród fajerwerków program swojej nowej, skrajnie lewicowej partii. Obiecał, że zaprowadzi świeckie państwo, renegocjuje konkordat, wycofa lekcje religii ze szkół, zlikwiduje Fundusz Kościelny i opodatkuje tacę. Zlikwiduje też klauzulę sumienia i wprowadzi aborcję na żądanie do końca trzeciego miesiąca ciąży. Lewackiemu okrucieństwu wobec ludzi towarzyszyć ma lewacka „miłość" do przyrody.

Neomarksistowska Nowa Lewica przywdziała nową, choć już zużytą, maskę. Robert Biedroń wsparty przez kolegów z mentalnego kołchozu postępowców zamierza przeprowadzić w Polsce, niemożliwą dotąd do zrealizowania, rewolucję seksualną, kulturową, obyczajową. Lider partii Wiosna pogrążony w ideologicznych zadaniach globalistów zapomniał najwyraźniej, jak wielu próbowało już zateizować Polskę. Jeden po drugim odchodzili w niesławie, a polski Kościół wciąż kwitnie. Tęczowa Wiosna skończy się, zanim nadejdą polityczne roztopy.

Marzena Nykiel

2/0119/F

eprasa.pl df9b070253

SIECI spis treści

30 *Uwłaszczeni na „Wyborczej”* *Marek Pyza, Marcin Wikło*

34 Fasolka po bretońsku na początek *Maja Narbutt*

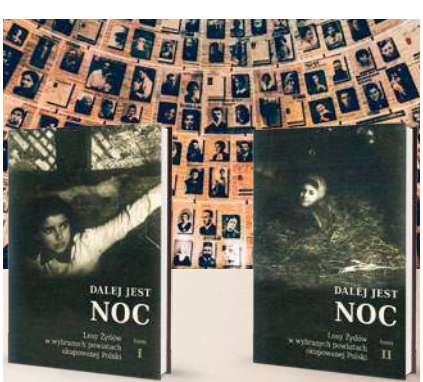

67 Historia mocno skrzywiona *Konrad Kołodziejski*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **TANIEC DZICZY**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

14 **WRAKI CHCĄ DO EUROPY**
Jan Pietrzak

15 **OSZUŚCI CZY BIEDACY, CZYLI O DZIEDZICACH KULCZYKA**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **WSZYSTKO ZGODNIE Z PRAWEM**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **Z JAROSŁAWEM KACZYŃSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

KRAJ

30 **ZŁOTE ŻNIWA LUDZI AGORY**
Marek Pyza, Marcin Wikło

34 **FASOLKA PO BRETOŃSKU NA POCZĄTEK**
Maja Narbutt

38 **BIEDRONIADA**
Stanisław Janecki

42 **Z ELŻBIETĄ RAFALSKĄ**
rozmawia Dorota Łosiewicz

44 **JAK OSŁABIĆ PAŃSTWO?**
Piotr Skwieciński

46 **KONSUL NON GRATA**
Aleksandra Jakubowska
rozmawia z Kamilą Gryn

SIECI KULTURY

51 **JAK KAMELEON**
Jolanta Gajda-Zadworna

54 **„ZIELONA KSIĄŻECZKA”: SYMBOL RASIZMU**
Łukasz Adamski

56 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

58 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

60 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

62 **MISJA DALEJ AKTUALNA**
Jan Parys

64 **Z PROF. NORBERTEM MALISZEWSKIM**
rozmawia Ryszard Makowski

HISTORIA

67 **HISTORIA MOCNO SKRZYWIONA**
Konrad Kołodziejski

ŚWIAT

71 **TO JUŻ NIE DO KOŃCA BELGIA**
rozmowa Aleksandry Rybińskiej

GOSPODARKA

74 **Z DANIELEM OBAJTKIEM**
rozmawia Maciej Wośko

77 **JAK SIĘ TWORZY AFERĘ**
Kajetan Kutnowski

78 **KAPITAŁ MA NARODOWOŚĆ**
Marek Siudaj

KUCHNIA

84 **MOJE SMAKI: MICHAŁ KUŹMIŃSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

85 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

88 **ROZKŁAD SIŁ**
Piotr Skwieciński

89 **RODZINY WIELODZIETNE OPŁACĄ EMERYTURĘ BIEDRONIA**
Maciej Pawlicki

90 **MYŚL FELIKSA KONECZNEGO**
Wojciech Reszczyński

91 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **MY I ONI**
Aleksander Nalaskowski

93 **WZÓR NA NIENAWIŚĆ**
Wiktor Świetlik

94 **„DOŁEK” DLA JEDNYCH, DLA INNYCH BEZKARNOŚĆ**
Jan Pospieszalski

95 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 **2019 ROKIEM HEJTU**
Ryszard Makowski

97 **Z PIWNICZNEJ SZUFLADY**
Leszek Długosz

98 **INTERSUBIEKTYWNOŚĆ**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

3/0219/F

eprasa.pl df9b070253

MINISTERSTWO
EDUKACJI
NARODOWEJ

Szanowni Rodzice i Opiekunowie,

zdajemy sobie sprawę z kluczowej roli i znaczenia nauczycieli w procesie edukacji Państwa dzieci, dlatego staramy się podnosić rangę i prestiż tego zawodu. Po raz pierwszy od 2012 roku, w tak krótkim czasie (w ciągu 17 miesięcy), zwiększamy wynagrodzenie tej grupy zawodowej. To jedno z priorytetowych działań Ministerstwa Edukacji Narodowej. Nauczyciele będą zarabiali więcej. Ich wynagrodzenia zasadnicze wzrosną – w zależności od stopnia awansu zawodowego – **od 371 zł do 508 zł**. Przełoży się to na zwiększenie wynagrodzenia średniego **od 444 zł do 818 zł**.

Pensje nauczycielskie zostaną podniesione o **16,1 proc.** Zagwarantowaliśmy na to pieniądze w subwencji oświatowej.

Oprócz podwyżek zaproponowaliśmy także dodatki za wyróżniającą pracę, która docelowo przełoży się na lepszą jakość pracy szkoły. Pomyśleliśmy również o młodych nauczycielach, z najkrótszym stażem. Od września 2019 roku – podobnie jak w przypadku wyprawki 300 zł na ucznia – będą oni otrzymywali przez dwa kolejne lata pracy 1 000 zł „na start". Warto wspomnieć również o płatnych godzinach za zajęcia rozwijające zainteresowania Państwa dzieci. To istotne zmiany, które są odpowiedzią na potrzeby uczniów i oczekiwania rodziców.

Myśląc o każdym dziecku, chcemy zapewnić wysoką jakość nauczania. Dbamy o wyposażenie i bezpieczne otoczenie szkół. Wprowadzamy **szerokopasmowy internet** oraz **naukę programowania** już od najmłodszych lat. Chcemy, aby każda sala lekcyjna była wyposażona w nowoczesną **tablicę multimedialną**. Szkoła zmienia się, bo inne są oczekiwania naszych dzieci i inne są wyzwania, z jakimi mierzą się każdego dnia.

Wiosną część uczniów przystąpi do egzaminów i będzie decydowała o wyborze dalszej ścieżki kształcenia. To ważny czas nie tylko dla dzieci. To ważny czas również dla rodziców, opiekunów i nauczycieli. Wierzymy, że egzaminy przebiegną w przyjaznej i spokojnej atmosferze, która umożliwi uczniom osiągnięcie jak najlepszych wyników.

W tym roku do **oddzielnej rekrutacji** do szkół ponadpodstawowych i ponadgimnazjalnych przystąpią absolwenci szkół podstawowych oraz uczniowie ostatnich klas oddziałów gimnazjalnych. Informacje o zasadach naboru można uzyskać u nauczycieli i dyrektorów, a także kuratorów oświaty. Szkoły zapewnią miejsce wszystkim absolwentom. Są na to przygotowane. Warto zaznaczyć, że młodzież może wybrać z bogatej oferty szkół ponadpodstawowych i ponadgimnazjalnych. Czekają na nią miejsca w szkołach branżowych, technikach oraz liceach ogólnokształcących. Wspólnie z dziećmi zastanówcie się nad wyborem najlepszej ścieżki kształcenia. Życzę powodzenia na egzaminach i podczas rekrutacji!

Z wyrazami szacunku

Anna Zalewska
Minister Edukacji Narodowej

eprasa.pl df9b070253

Sygnalista nadaje

„Gazeta Wyborcza” rzuciła wszystkie siły do walki o pieniądze, które zdaniem Gerarda Birgfellnera należą mu się od spółki Srebrna. Ciekawe, czy gdyby znała poglądy Austriaka na niektóre sprawy, walczyłaby równie bezkompromisowo. Bo – jak wieść niesie – środowisko z Czerskiej nie należało do jego ulubionych, i to nie tylko ze względu na światopogląd czy sympatie polityczne. A wybór Romana Giertycha do prowadzenia tej sprawy wygląda na tym tle na coraz mniej przypadkowy.

Jeśli Austriak naprawdę chciał zdobyć te pieniądze, to nie mógł trafić gorzej. Jego medialno-prawni opiekunowie nawet nie podjęli próby gry, choćby brzydkiej, choćby ocierającej się o szantaż. Od razu wywalili na stół wszystko, co mieli. Oni mają uciechę, ale co ma z tego Birgfellner? Nic, tylko dodatkowe kłopoty. Tak to już jest: gdy chodzi o maluczkich, to wezmą, przeżują, wyplują.

„Wyborcza” – wydawana przez koncern o miliardowych obrotach – nie tylko próbuje zrobić z Kaczyńskiego oligarchę, lecz również szydzi z idei budowy wieżowca, który miałby zarabiać na Instytut Lecha Kaczyńskiego. „Skoro miał upamiętnić braci Kaczyńskich, powinien sięgać chmur” – pisze Paweł Wroński, odwołując się do porównania z piramidami. Ale czy ludzie, którzy zdołali wyrwać Polskę z rąk tak sprawnej i bezwzględnej grupy jak Czerska, nie zasługują na jeszcze wyższe upamiętnienie?

Nie sposób jednak nie zauważyć, że pewność siebie opozycji szybko rośnie. W wielu środowiskach widać próby ustawiania się pod spodziewaną zmianę. Gdzie leży przyczyna? Nie chodzi tylko o serię korzystnych dla opozycji, bardzo głośnych zdarzeń ani o zauważalną pasywność, a może wręcz letarg, całego obozu władzy. Jest jeszcze coś: w końcu PiS przekonało wielu gapiów, że naprawdę nie jest partią ani zemsty, ani rewolucji, ani przesadnej konsekwencji. Gapie wyciągnęli konkretne wnioski.

Opozycja wyczuwa, że przełamanie może być blisko, i próbuje zdobyć medialny Kamieniec Podolski. Chodzi o zastraszenie dziennikarzy TVP i wymuszenie korekty linii w kierunku jakiegoś „pitu-pitu”. Bojówkarze posunęli się do niemal fizycznego ataku na Magdalenę Ogórek. Ciekawe, że po pierwszym potępieniu wybryku bojówkarzy ze strony salonu nadeszły wsparcie i zachęta. Także z Brukseli, bo przecież wpis Donalda Tuska wzywający do protestów przeciwko „kłamstwu organizowanemu przez władzę za publiczne pieniądze” odnosił się jednoznacznie do tej sprawy. Warto zauważyć, że to już kolejny na przestrzeni ostatnich lat wpis szefa RE, w którym flirtuje z ideą jakiejś akcji bezpośredniej.

Tusk zapewne szczególnie dobrze pamięta lekcję z 2007 r., gdy brak poważnego oporu wobec histerycznej nagonki na rząd przyniósł powszechną akceptację alternatywnej, wymyślonej rzeczywistości. Teraz ten scenariusz też może się powtórzyć. Nie chodzi wcale o przejęcie kontroli nad TVP, ale zmuszenie jej do akceptacji opozycyjnej agendy. Bo w mediach to właśnie agenda jest kluczem do wszystkiego.

Redaktor Sakiewicz skomentował medialne reakcje na zatrzymanie i tymczasowe aresztowanie Bartłomieja M., zarzucając niektórym prawicowym dziennikarzom, że okazali „radość”. Kto konkretnie? Nazwisk nie ma, ale jest opis, a właściwie ciąg kuriozalnych wyzwisk („byli dziennikarze TVN, Tok FM, autorzy wywiadów z Urbanem, wieczni zdrajcy, a nawet członkowie mafii, którzy zmieniali nieustannie barwy partyjne albo pracodawców w zależności od interesów”). Jak człowiek, który twierdzi, że widzi tak wiele, wokół siebie dostrzega tak niewiele? Może nie chce widzieć? A może już po prostu nie widzi?

eprasa.pl df9b070253

Z prowadzenia „Wiadomości” zrezygnował Krzysztof Ziemiec. Jak ustalił portal wPolityce.pl, m.in. dlatego, że hejt poważnie dotknął jego rodzinę. „Zdecydował się na ten ruch, m.in. by chronić swoje dzieci. Doszło do sytuacji, w której nienawiść skierowana w jego osobę rykoszetem uderzała też w jego najbliższych. To było dla niego bardzo ciężkie” – czytamy. Trzeba współczuć, zaznaczając: w podobny sposób obrywają wszyscy dziennikarze mocno kojarzeni z dobrą zmianą.

W sprawie scenariusza na najbliższy rok wypowiedział się Marcin Mastalerek, jeden z autorów kampanii 2015 r. „Wydaje mi się, że będzie to rok bardzo wysokiej frekwencji. Padnie rekord – co nie będzie trudne – w wyborach europejskich. Frekwencja będzie wyższa, niż spodziewają się politycy”. Dodał, że „jeśli ktoś liczy, że napięcie uda się zmniejszyć, to się przeliczy”. To prawda. Ale prawdą jest też, że PiS musi przynajmniej próbować, bo zderzenia czołowego nie wygra, tak jak nie wygrało w 2007 r.

Słychać też wieść, że i w Pałacu Prezydenckim powiększa się grono pesymistów powątpiewających w szanse PiS na reelekcję. Receptą dla prezydenta ma być większy dystans wobec partii rządzącej i zajęcie roli arbitra gdzieś bliżej centrum. Wywiad Andrzeja Dudy dla Polsatu zdaje się to potwierdzać: było uznanie Wałęsy za „bohatera naszej wolności”, wsparcie dla idei budowy pomnika Tadeusza Mazowieckiego, a wcześniej celebracja okrągłego stołu (mebla). Kurs jakoś racjonalny, choć warto mieć jasność: bez reelekcji PiS prezydenta czeka piekło.

Skoro z hukiem powstała nowa partia, to nie mogło się obyć bez „sensacyjnych” sondaży. Według badania Millward Brown dla TVN Wiosna Roberta Biedronia może liczyć na 14 proc. głosów, PiS na 29, a Platforma na 20. Co ciekawe, zyskują – w porównaniu z poprzednim badaniem tego ośrodka – także Kukiz (7 proc.), a nawet SLD (6 proc.). Prawdziwe sondażowe cuda, bo próg przekracza także Wolność (5 proc.). Tylko partię Razem potraktowano kopniakiem, przyznając ledwie 1 proc.

Platforma odpowiedziała również ostrą amunicją. Tajemniczy Instytut Badań Spraw Publicznych już kilkanaście godzin później przedstawił na antenie poważnego radia badanie, z którego wynika, że wybory do PE wygrałaby dziś Koalicja Europejska złożona z PO, Nowoczesnej, PSL i SLD (42 proc.), drugie byłoby PiS (37 proc.), Biedroń znalazłby się na trzeciej pozycji z ledwie 8 proc., a Kukiz spadłby pod próg. Panika w PO musiała być duża, skoro tak zaszaleli, że wpisali sobie powyżej 40 punktów.

Przy okazji sondażowego sukcesu Biedronia internauci przywołali kultowy wpis redaktora Tomasza Lisa z grudnia 2015 r.: „Nowy sondaż – Petru 31, PiS 27, PO 15. Umiarkowani zwolennicy PiS też już mają dość”. Redaktorzy wPolityce.pl dobrze pamiętają tamto badanie, bo jakiś leming wybazgrał owe liczby w redakcyjnej windzie, zapewne w poczuciu, że zmiana jest blisko. Na marginesie: partia Ryszarda Petru w omawianym badaniu dostała zero procent.

Petru chciał być premierem i Biedroń też chce urzędować w Al. Ujazdowskich. I mówi o tym głośno: „Widziałbym Schetynę w roli wicepremiera i szefa MSWiA, a siebie w roli premiera”. Dodał, że „po czasach PiS potrzebny jest premier, który nie był zaangażowany w poprzednie rządy”. Powinien uważać. Tego typu deklaracje jeszcze nikomu szczęścia nie przyniosły. Nie było „prezydenta Tuska”, nie było „premiera z Krakowa”. Premiera Biedronia też nie będzie.

Wspomniany wyżej Tusk postanowił po raz kolejny dokuczyć Brytyjczykom. „Tak przy okazji... zastanawiałem się, jak wygląda specjalne miejsce w piekle dla tych, którzy promowali brexit bez nawet szkicu planu tego, jak go bezpiecznie przeprowadzić” – stwierdził, co wyspiarska prasa natychmiast wybiła na pierwsze strony. Niby nic takiego, niby zwykła gra polityczna, ale jednak to charakterystyczne, że Tusk nigdy, nawet najdelikatniej, nie zaczepił Niemców. A przecież byłoby za co.

Kolega Tuska, redaktor Tomasz Lis, zaapelował: „Stwórzmy w Polsce wielką wspólnotę ludzi uczciwych. Podam listę trzech ludzi krystalicznie uczciwych i proszę ich, by sami wskazali trzy osoby krystalicznie uczciwe. Moi Ludzie Krystalicznie Uczciwi, w skrócie LKU – Paweł Wroński, Eliza Michalik, Wojciech Czuchnowski”. Jeszcze parę dni temu dopisałby pewnie Stefana Niesiołowskiego, ale dziś nawet Lis nie może tego zrobić. W każdym razie nigdy dość powtarzania za Bronisławem Wildsteinem: „Żyjemy w świecie na opak, odwróconym, gdzie sensy, wartości są postawione na głowie, [...] oszuści wzruszają się tym, że prawda w życiu publicznym nienależycie funkcjonuje, złodzieje są poruszeni faktem, że własność nie jest traktowana poważnie, gdzie nienawistnicy organizują się, by walczyć z nienawiścią”.

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor

eprasa.pl df9b070253

Taniec dziczy

KRZYSZTOF FEUSETTE

„Ale co zrobić z k...ą?" – zapytał publicznie Janusz Palikot po ataku garstki ludzi chorych z nienawiści na Magdalenę Ogórek.

Miłośnik świńskich ryjów wykoncypował sobie najprawdopodobniej, że skoro polskimi ulicami znowu płynie rzeka nieczystości, bo szambo pogardy ponownie wybiło, to i on może powrócić na jakimś białym skunksie do wielkiej polityki małych taboretów. Bo przecież – gdyby kiedyś nie oszalał od narcyzmu i peanów tłoczonych mu w moralny pustostan przez Czerską i Wiertniczą – nadal mógłby być wiceprzewodniczącym Platformy Obywatelskiej. Wszak Donalda Tuska bawiły jego „happeningi". Może nie wszystkie, ale generalnie w opinii dzisiejszego przewodniczącego Rady Europejskiej, gdy Palikot „był w formie", wnosił do polskiej polityki „ożywienie".

Powtórzmy i przypomnijmy: facet, który do dziś kojarzy się przede wszystkim z okrutnymi drwinami z cudzej śmierci oraz czyjegoś bólu po utracie najbliższej osoby, z ohydną „kaczką po smoleńsku", „krwawą Mary", i fake newsami, że „wszyscy na pokładzie tupolewa byli pijani", zdaniem Tuska wnosił ożywienie. A według wielu dziennikarzy miał być także ostatnią nadzieją nadwiślańskiej europolityki. I to przecież nie mimo tego, co robił i mówił, ale właśnie dlatego, że robił to, co robił, i mówił to, co mówił. O Kościele, Polsce, prawicy, ale przede wszystkim – o potrzebie „wypatroszenia Kaczyńskiego". To on jest ojcem chrzestnym „Klątwy" w Powszechnym.

Wróćmy do samego ataku na Ogórek. Trudno opisać go inaczej niż jako próbę obryzgania własną nienawiścią i kompleksami osoby znanej i lubianej, podjętą przez kilkanaście osobników nieznanych i nielubianych nie bez powodu, płci żeńskiej i nijakiej (no, chyba że do mężczyzn zaliczymy panią Podleśną, która dancingowym barytonem wydziera cztery oktawy pod oknami TVP Info od kilku tygodni). Po prostu: ludzie wewnętrznie brzydcy rzucili się z rykiem na człowieka, z którym się nie zgadzają, i to wyłącznie w sprawach politycznych. A potem odtańczyli taniec radości tylko z tego powodu, że obrazili kobietę, naruszając jej nietykalność. Jakże ich zatem nazwać, jeśli nie „dziczą", jak uczynił to minister Brudziński? Czy to dziczy troszkę nie obraża?

Wszak jeśli nieśmiałe buczenie grupki osób podczas oficjalnej uroczystości sprowokowało nawet taki autorytet bez skazy, jakim był Władysław Bartoszewski, do nazwania buczących „bydłem", to jak my – szarzy zjadacze chleba – mamy nazwać ludzi, którzy poza buczeniem wyją, wrzeszczą, plują, obrażają, niszczą cudze mienie i nie pozwalają drugiemu człowiekowi po prostu wrócić do domu? Jak to możliwe, że ich żenujące chamstwo próbowali usprawiedliwiać posłanka Leszczyna z PO albo Jacek Żakowski z „PO(lityki)"? To już nawet redaktor Czuchnowski z Czerskiej, ten sam, który lubi wyzywać kolegów po fachu, teraz łkał Żakowskiemu na spodnie, że przecież tak nie można, że nie godzi się obwiniać ofiary za atak itp. A przecież niedawno sam wzywał do ataków, choćby na policjantów. Bywa, że przyzwoitość opuszcza człowieka równie szybko, co rozum, więc Czuchnowski oczywiście złożył już na ręce agresorów spod TVP stosowną samokrytykę.

Czas zatem odpowiedzieć Palikotowi na jego swoiste „Być albo nie być", czyli „Co zrobić z k...ą?" (ja kropkuję, on nie). Otóż, po pierwsze, primo – można jej wsadzić w łapę gumowego penisa, a pod pachę wspomniany już świński ryj, jakby twórcy Twojego Ruchu mało było pięknych metafor w życiu publicznym. Po drugie – można też, zupełnie dosłownie, próbować osiągnąć to, co udało się po fasolce Stefanowi Niesiołowskiemu aż 29 razy, niezależnie od tego, czy łóżko zarywał, czy znacznie gorzej (choć do rymu). Czyli miłość za talony na węgiel, a w tle publiczne domy i kontrakty.

Po trzecie i ostatnie – można „k...ą", jak to się mówi, rzucić – w sensie przekleństwa. To byłoby najsensowniejsze. Bo – jak widać po reakcjach Frontu Jedności Przekazu – nie było, nie ma i nie będzie żadnej refleksji po bolszewickim ataku na Ogórek u tych, którzy wyjców spod TVP wyhodowali na czersko-wiertniczej papce. Pozwalającej kochać każdego. Korniki, dziki i koniki, pedofilów, morderców, dyktatorów. Tylko nie Kaczyńskiego. Tylko nie rodaków niechcących lżyć ojczyzny, katolików, konserwatystów, części dziennikarzy, części artystów, grup rekonstrukcyjnych, harcerzy z Krakowskiego Przedmieścia, staruszków z Krakowskiego Przedmieścia, Dudy, Morawieckiego, Szydło, Błaszczaka, Brudzińskiego, Telewizji Polskiej, Polskiego Radia, Telewizji w Polsce.pl, Telewizji Republika, kilku gazet i tygodników, paru portali oraz 40 proc. społeczeństwa, które chce głosować na PiS. Reszta może zostać.

Palikot ostatecznie przeprosił Ogórek, zostawmy leżącego w odchodach jego. Takiemu Czuchnowskiemu też jeszcze niedawno się wydawało, że np. określenie „żałosny fiut" jest „żartobliwe". Ale żartobliwe jeszcze bardziej jest to, że kilka dni przed napaścią podleśnych dziadków na dziennikarkę i swoim fundamentalnym wpisem ten sam Palikot ogłaszał w internecie walkę z hejtem. Podobnie jak mająca teraz dużo wolnego czasu Hanna Lis, która z oczywistych powodów nie może czuć z Magdaleną Ogórek żadnej solidarności. Stwierdziła więc, że zachowanie totalnej bojówki pod TVP Info nie było „żadną agresją", a agresywna to jest sama zaatakowana jako „propagandzistka władzy". Dodała, że trzeba ostudzić emocje, gdyż, uwaga, ktoś chce z Ogórek „zrobić męczennicę". A przecież nawet dziecko wie, że w Polsce ten tytuł przysługuje wyłącznie żonom redaktora Lisa.

32/0119/F

eprasa.pl df9b070253

Przystąp do Programu VITAY!

Do zgarnięcia:

KUPONY | RABATY | PREZENTY

Za paliwo i zakupy na stacji lub w Internecie!
Dla wszystkich z kartą lub aplikacją mobilną VITAY!
Sprawdź na vitay.pl

CLUB VITAY

ORLEN

eprasa.pl df9b070253

eprasa.pl df9b070253

Spór wokół ECS

Konflikt dotyczący finansowania Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku wypłynął pod koniec listopada minionego roku po tym, jak minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński zdecydował o obcięciu dotacji rządowej dla Centrum – z 7 do 4 mln zł. Negocjacje w sprawie podwyższenia środków rozpoczął ówczesny prezydent Gdańska Paweł Adamowicz. Po jego tragicznej śmierci do rozmów z resortem powróciła jego następczyni Aleksandra Dulkiewicz. Minister Gliński był skłonny podwyższyć o 3 mln zł dotację, postawił jednak kilka warunków, tłumacząc, że chodzi o „przywrócenie ECS wszystkim spadkobiercom idei »Solidarności«". Szef resortu kultury postulował o: prawo wskazywania wicedyrektora Centrum, stworzenie działu poświęconego Annie Walentynowicz, a także zatrudnienie dodatkowych pracowników. Rada ECS odrzuciła ofertę Glińskiego, twierdząc, że prowadzi ona do rozbicia i zniszczenia instytucji. Władze Gdańska i ECS, będącego instytucją samorządową, postanowiły zasypać trzymilionową dziurę w budżecie Centrum poprzez społeczną zbiórkę pieniędzy. W ubiegłym tygodniu na koncie ECS było już z datków ponad 6 mln zł. W tym samym czasie NSZZ „Solidarność" poinformował, że zawiesza udział swoich przedstawicieli w Radzie i Radzie Historycznej ECS, uznając konflikt wokół Centrum „za element prowadzonej przez obecną opozycję kampanii wyborczej". Tyle faktów. A o co tak naprawdę toczy się ten spór, pisze Piotr Skwieciński na str. 86.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl df9b070253

USA

„Postęp” cywilizacji śmierci

Rośnie fala protestów stowarzyszeń katolickich w USA po uchwaleniu nowych przepisów aborcyjnych w stanie Nowy Jork. Przepisy te umożliwiają dokonanie aborcji na życzenie do 24. tygodnia, a potem aż do dziewiątego miesiąca w sytuacji zagrożenia życia – lub tylko zdrowia – matki.

Nowe prawo zostało zatwierdzone przez gubernatora stanu, demokratę Andrew Cuoma, który nazwał je „postępowym”. To zadziwiające, biorąc pod uwagę, że gubernator uważa się za praktykującego katolika. Na domiar złego Cuomo kazał z tej okazji iluminować najbardziej znane budynki w największym mieście stanu – Nowym Jorku.

Reakcja biskupów była stanowcza. Ordynariusz Albany, stolicy stanu Nowy Jork, Edward Scharfenberger nazwał nowe prawo „skandalicznym”. Z kolei kard. Timothy Dolan stwierdził, że „ustawa narusza prawa najbardziej narażonych na zranienie”. Przypomniał zarazem, że lekarze, którzy z powodów etycznych odmówią dokonania aborcji w tak późnym okresie, w przyszłości nie będą mogli się powoływać na klauzulę sumienia. Wielu intelektualistów, nauczycieli i działaczy pro-life zasugerowało obłożenie gubernatora ekskomuniką. Tysiące z nich podpisało się pod odpowiednią petycją.

Nowy Jork to jednak niejedyny stan, w którym prawodawcy szykują liberalizację przepisów aborcyjnych i chcą zezwolić na tzw. późne aborcje. W kolejce ustawiły się stany Nowy Meksyk, Massachusetts, Rhode Island, Virginia oraz Waszyngton.

W Virginii wybuchł skandal po tym, jak demokratyczny gubernator Ralph Northam zasugerował, że dzieci mogłyby być zabijane już po narodzinach, „jeśli lekarze i rodzice podejmą taką decyzję”. Northam chciał pomóc swojej partyjnej koleżance i autorce projektu Kathy Tran, która odpowiedziała „tak, oczywiście” na pytanie, czy zgodnie z szykowanymi przez nią przepisami kobieta będzie mogła zażądać aborcji także w trakcie porodu. „Moja ustawa na to pozwala” – zaznaczyła. Northam usiłował wyjaśnić w rozmowie z dziennikarzami „Washington’s Top News”, co Tran miała na myśli, i nieco się zagalopował. „Gdyby matka zażądała aborcji w trakcie porodu, to takie dziecko najpierw przyszłoby na świat, a następnie byłoby utrzymywane przy życiu, podczas gdy matka i lekarze zastanawialiby się, co dalej z nim robić...”.

Zdaniem republikanów uwagi Northama, pediatry z zawodu, są „moralnie odrażające” i „sugerują dzieciobójstwo”. „Zdumiewające, jak szybko demokraci przeszli od bezpiecznych, legalnych i rzadkich aborcji do trzymania noworodków przy życiu, podczas gdy lekarze debatują nad ich losem” – grzmiał republikański senator z Nebraski Ben Sasse.

Prezydent Trump w orędziu o stanie państwa zapowiedział wprowadzenie na poziomie federalnym całkowitego zakazu aborcji po 20. tygodniu ciąży.

Aleksandra Rybińska

Niemcy

Szarańcza z zagranicy

Jeśli ktoś miał wątpliwości, że kapitał nie ma narodowości, bo wspólny rynek, wspólne dobro, bo Europa... to teraz mieć ich już nie będzie: niemiecki minister gospodarki Peter Altmaier oznajmił, że państwo będzie chroniło rodzime firmy, takie jak Deutsche Bank, producent stali Thyssenkrupp, koncern Siemens z branży elektrotechniki i telekomunikacji czy choćby wytwórcy aut, przed przejęciami przez inwestorów z zagranicy. W kwestii formalnej – Altmaier nie jest socjalistą, należy do partii kanclerz Angeli Merkel, chadeckiej CDU, a jego zapowiedź stanowi rdzeń ogłoszonego właśnie programu rządowego pod nazwą „Narodowa strategia przemysłowa 2030”.

Jak ma to wyglądać w praktyce? Jeśli bogaty obcy wyciągnie ręce po niemiecką firmę, państwo przejmie w niej udziały i pokaże mu figę. Oczywiście „warunkowo” i na jakiś „okres”, żeby nikt się nie czepiał, że Niemcy łamią zasady wolnego rynku. „Made in Germany” ma pozostać „made in Germany”, choć po prawdzie niemieckie koncerny korzystają z produkcji poza granicami RFN, gdzie wykupiły różnorakie firmy, w tym w Polsce.

Program Altmaiera potwierdza jedynie to, co w Niemczech obowiązuje od zawsze. Już lewicowy kanclerz Gerhard Schröder walczył z – jak sam to określał – „szarańczą z pieniędzmi” i osobiście angażował się np. w obronę jednego z koncernów budowlanych przed sprzedażą kontrahentowi z zagranicy. Jak w tym kontekście wygląda polityka ekspremiera Donalda Tuska, który gotów był wyprzedać wszystko, co polskie, że wspomnę jego postawę w sprawie paliwowego Lotosu czy naszego narodowego, lotniczego przewoźnika: „Nie ma żadnej ideologicznej przesłanki, by mówić kategorycznie »nie« inwestorom z jakiegokolwiek kraju, także z Rosji” oraz „Nie będziemy ratować LOT za wszelką cenę”? U nas, według szefa PO Grzegorza Schetyny, „szarańczą, którą trzeba strącić z drzewa”, jest PiS broniące polskich interesów. A jak ma się dominacja Niemców na polskim rynku medialnym do strategii Altmaiera...?

Piotr Cywiński

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl df9b070253

Rosja

Latający kucharz Putina

Jewgienij Prigożin to właściciel wielkiej firmy cateringowej obsługującej Kreml. Nadworny kucharz Putina – oprócz organizowania przyjęć na szczycie – odgrywa jednak również zupełnie inną rolę, wykonując na rzecz Kremla rozmaite poufne zadania, do których władze wolą się oficjalnie nie przyznawać. Chodzi m.in. o powiązane z Prigożinem słynne fabryki trolli, w których tysiące ludzi manipuluje opinią publiczną w internecie, oraz o finansowanie tzw. grupy Wagnera – prywatnej armii najemników chroniącej rosyjskie interesy w różnych częściach świata.

O tych interesach zrobiło się ostatnio głośno za sprawą „Nowej Gazety", która ujawniła, dokąd w ciągu ostatnich trzech lat latał prywatny odrzutowiec Prigożina. Otóż okazuje się, że zarejestrowany na wyspie Man samolot regularnie krążył między Rosją a Bliskim Wschodem i Afryką, pojawiając się zwykle w miejscach, gdzie działają najemnicy z grupy Wagnera. Stałym przystankiem był Bejrut, gdzie odrzutowiec uzupełniał paliwo. Stamtąd latał do Libii, Kenii i Czadu. Pojawiał się też w Syrii. Związana z Prigożinem spółka Evro Polis zajmuje się tutaj ochroną złóż ropy naftowej, otrzymując za te usługi jedną czwartą zysków ze sprzedaży surowca.

Najczęściej jednak samolot Prigożina odwiedzał Sudan i Republikę Środkowoafrykańską. Dwie spółki powiązane z „kucharzem Kremla" dostały w tych krajach koncesje na wydobycie złota i diamentów. Przedsięwzięcia te również ochraniane są przez ludzi z grupy Wagnera. W lipcu 2018 r. trójka rosyjskich dziennikarzy, która przyjechała do Afryki Środkowej, aby nakręcić reportaż na ten temat, została zabita przez nieznanych sprawców. Oficjalna wersja mówi, że zginęli w napadzie rabunkowym, nieoficjalna – że zostali zamordowani w obawie przed ujawnieniem niejasnych interesów Kremla w Afryce. Podczas ślamazarnie toczącego się śledztwa nadzorujący je prokurator generalny Republiki został zaproszony do Petersburga na kursy „podwyższające jego kwalifikacje". Wkrótce po jego powrocie z tych kursów zajmujący się śledztwem szef miejscowej żandarmerii nagle zmarł na zawał serca. Przypadek? Być może.

Nie jest jasne, jak często na pokładzie samolotu podczas licznych wypraw do Afryki znajdował się samPrigożin. Widziano go z pewnością w Sudanie i w Libii. Gdy wyszło to na jaw, władze rosyjskie oświadczyły, że zajmował się tam... organizacją uroczystych przyjęć dla miejscowych notabli, goszczących akurat delegacje z Rosji. Najwyraźniej Kreml nie może się obyć bez pomocy swojego przedsiębiorczego „kucharza".

Konrad Kołodziejski

Izrael

Bojkot przemysłu turystycznego?

Amnesty International w niczym nie przypomina już organizacji, która w 1977 r. za obronę praw człowieka dostawała Pokojową Nagrodę Nobla. Dziś coraz częściej jawi się jako zideologizowana formacja o lewackim obliczu, zaangażowana bez reszty we współczesną wojnę kulturową. Najlepszym tego przykładem jest walka AI o legalizację aborcji, a więc walka z najbardziej podstawowym prawem człowieka, czyli prawem do życia, na rzecz prawa do uśmiercania bezbronnych.

Ostatnio organizacja dała się poznać z inicjatywy, która wywołała wiele kontrowersji na świecie. Zwróciła się bowiem z apelem do takich turystycznych firm jak Booking.com, Expedia, TripAdvisor czy Airbnb, by przestały zarabiać na naruszaniu praw człowieka i wycofały się z miejsc, gdzie tego typu haniebne praktyki są na porządku dziennym. Myliłby się jednak ten, kto by pomyślał, że wezwała ona do bojkotu Kuby, Wenezueli, Arabii Saudyjskiej, Iranu czy Chin. Na celowniku organizacji znalazł się tylko jeden kraj na świecie, mianowicie Izrael.

Według AI niedopuszczalne jest nakręcanie ruchu turystycznego na Zachodnim Brzegu Jordanu oraz we Wschodniej Jerozolimie. W uzasadnieniu napisano, że wspomniane kompanie oferują turystom z całego świata propozycje setek miejsc odpoczynku na ziemiach okupowanych, a tym samym „sprzyjają naruszaniu praw Palestyńczyków". Korzyści z przemysłu turystycznego czerpią bowiem – jak donosi AI – głównie Żydzi, a nie prawowici właściciele tych ziem. Poza tym Izraelczycy utrwalają w świadomości zagranicznych przybyszów przekonanie o swoich prawach do owych terytoriów. Dlatego – jak czytamy – każdy cent zarobiony tam na wynajmie lokali dla turystów to zysk czerpany z łamania praw człowieka.

Jeśli organizacja miałaby być konsekwentna, to powinna tak samo postąpić wobec Tybetu anektowanego przez Chiny czy Krymu zajętego przez Rosję. Tam okupanci postępowali bezwzględniej niż Izraelczycy w Samarii czy Judei. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Zachowanie w tej sprawie rodzi więc podejrzenia o podwójne standardy AI.

Grzegorz Górny

eprasa.pl df9b070253

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wraki chcą do Europy

Jan Pietrzak

Sensacją stycznia okazała się informacja, że poseł Niesiołowski brał łapówki pod postacią prostytutek. Łapówki załatwiali biznesmeni związani z Azotami, które produkują nawozy sztuczne. Tak więc w tle afery jest gnój. Zwraca uwagę fasolka po bretońsku stosowana przez jurnego Stefana jako afrodyzjak. Widocznie szczaw i mirabelki już zawodzą.

Pani z prokuratury powiedziała: „Przyjął korzyść majątkową w postaci usług seksualnych". Piękna fraza, czysta poezja, ale błędna. Korzyść majątkową przyjmowały te panie, on dawał z siebie, co mógł, a płaciły Azoty nawozem.

Ciekawa jest konstrukcja tego interesu, czyli dealu. Szwankuje terminologia. Skoro on je obłapiał, to są raczej piersiówki lub biodrówki. Korwin-Mikke uważa, że należy wyliczyć wartość transakcji przy pomocy komisji, która na tym samym rozpadającym się wyrku powtórzy czynności podlegające wycenie. Trudno będzie ustalić wysokość wyroku bez wyrka.

W kategoriach politycznych warto pamiętać, że jurny Stefan jest (przepraszam za wyrażenie) członkiem Unii Europejskich Demokratów. To najbardziej awangardowa formacja obecnego parlamentu. Na razie czteroosobowa, ale z tendencją do szybkiego rozmnożenia przez pączkowanie.

Któregoś dnia stanęli przed kamerami Europejczycy gatunku Marcinkiewicza... i tym podobne wraki polityczne, które marzą o europarlamencie. Frakcję damską reprezentuje pani Kopacz, która przekonywała, że ludzie pokonali dinozaury, rzucając w nie kamieniami. Chodzi o te same dinozaury, o których mówił Tusk pięć lat temu, że wyginą. Jednak nie dopilnował. Jego wspólnicy za słabo rzucali kamieniami. Ostatnio z braku kamieni zaatakowali redaktor Ogórek wyzwiskami, kiedy wsiadała do samochodu. Co prawda Magdalenę Ogórek trudno porównać do dinozaura. Natomiast Kopacz jest skamieliną z Naftaliny. To niewielka miejscowość, w której zalegają zatęchłe typy na głębokości półtora metra. Bardzo chce być Europejką, jak jej guru – mentor Tusk.

Mówiąc serio, jest pewne, niczego dobrego dla Polski nie zrobią. Będą zawsze głosować przeciw niej, tak jak w obecnej kadencji. Tusk z jakiegoś powodu niszczy polskie dobre działania, odruchy, starania. Musi nakręcać złość i agresję. Taki ma plan od lat.

Miłość na całe życie

Z aktorką i producentką Grażyną Wolszczak rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Niemiec/AKPA

Czy na spektakl „Czworo do poprawki" lepiej się wybrać z partnerem czy z przyjaciółką?

Grażyna Wolszczak: Obie opcje są dobre. I mężczyźni, i kobiety odnajdą w tym tekście siebie. Chociaż rzeczywiście temat głębiej porusza kobiety. Bo to one reagują bardziej emocjonalnie, przeżywają mocniej, gdy temperatura w związku po jakimś czasie spada. Zamówiłyśmy więc u Czarka Harasimowicza taką sztukę, żeby spróbować się zastanowić, czy miłość może trwać całe życie. I dlaczego teraz tak dużo związków się rozpada. Czemu nie pracujemy nad relacjami, gdy pojawiają się pierwsze problemy. Autor narysował te damsko-męskie relacje nie tylko z dużą wiedzą o życiu, lecz również ze sporym poczuciem humoru.

Powiedziała pani „zamówiłyśmy". Kto i z jakiego powodu?

Fundacja Garnizon Sztuki, czyli ja i moja wspólniczka Joasia Glińska. To już nasze trzecie przedstawienie zrealizowane z założeniem, że w komediowej formule poruszamy ważne, naszym zdaniem, kwestie. Teraz podjęłyśmy temat miłości.

Co sprawia, że aktorka zostaje producentką?

Chciałam spróbować czegoś innego. Aktor to człowiek do wynajęcia, przekazuje cudze wizje, tymczasem realizowanie własnych idei, pomysłów okazało się bardzo wkręcającym zajęciem.

Zwłaszcza w dobrym aktorskim towarzystwie?

O tak, mamy doborową obsadę: Kasia Herman i Piotr Machalica oraz Agnieszka Sienkiewicz i Marcin Korcz jako młodsza para.

Gracie w warszawskim Teatrze IMKA?

Tak, ale będzie nas można spotkać także w innych miejscach Polski.

eprasa.pl df9b070253

BRONISŁAW WILDSTEIN

Oszuści czy biedacy, czyli o dziedzicach Kulczyka

Wygrałem proces z nieboszczykiem. Wytoczył mi go, kiedy jeszcze żył, ale spadkobiercy kontynuowali go po jego śmierci. Nieboszczyk to Jan Kulczyk, a spadkobiercy to jego dzieci, Dominika i Sebastian Kulczykowie, oraz wielka firma, której są współwłaścicielami – Kulczyk Investments. Sąd orzekł, że powodowie mają zapłacić mi koszty procesu. Kłopot w tym, że nie tylko tego nie robią, lecz komornik nie jest w stanie ściągnąć należności.

Ale po kolei. W 2014 r. jedna z bardziej renomowanych kancelarii prawnych w Polsce, SPCG (Studnicki, Płeszka, Ćwiąkalski, Górski), reprezentująca interesy Kulczyka zwróciła się do Telewizji Republika, której byłem wówczas prezesem i naczelnym, o „sprostowanie" oraz przeprosiny. Chodziło o materiały na temat dwuznaczności dotyczących kupna większości akcji Ciechu od skarbu państwa przez firmę zależną od Kulczyk Investments, a także podejrzenia co do nacisku, który Kulczyk wywierał na media, aby nie publikować podsłuchów jego rozmów.

Żądanie było o tyle zadziwiające, że dotyczyło wyłącznie nas, a o sprawie mówiły też inne media. Widocznie ludzie Kulczyka uznali, że najlepiej uderzyć w równie słabą ekonomicznie, co niepokorną politycznie, telewizję. Ponieważ o naciskach Kulczyka mówił naczelny „Wprost", a dwuznaczności wobec prywatyzacji Ciechu były tajemnicą poliszynela, odmówiłem. Kulczyk podał nas do sądu.

Rozstałem się z Republiką czy też raczej ona rozstała się ze mną. Pod nowym kierownictwem „sprostowała" oraz przeprosiła, a ja, który tego nie zrobiłem, zostałem sam na placu boju. Kulczyk, a potem jego spadkobiercy żądali ode mnie setek tysięcy złotych zadośćuczynienia oraz ogłoszenia pokajań w wybranych przez siebie mediach – proszę zgadnąć których – co kosztowałoby kolejne setki tysięcy.

Z jednej strony fakty miałem po swojej stronie. Dodatkowo wypłynęły podsłuchy, w których Kulczyk oferuje się, że popracuje w Niemczech nad usunięciem naczelnego „Faktu" Grzegorza Jankowskiego i... słowa dotrzymuje. Wprawdzie to inna sprawa, ale wskazywała modus operandi Kulczyka w stosunku do mediów, a więc pośrednio potwierdzała rewelacje naczelnego „Wprostu". A sprawa Ciechu doprowadziła do zatrzymania grupy zaangażowanej w jej prywatyzację. Miało dojść do nierzetelnej wyceny wartości akcji, a także poświadczenia nieprawdy w dokumentach, które stanowiły podstawę decyzji o sprzedaży firmy.

Fakty faktami, a sądy III RP to co innego. Jako osoba doświadczona w tej mierze wiedziałem, że jeśli trafię na sędziów pokroju Łączewskiego czy Tulei, będę miał się z pyszna.

Miałem szczęście. Sędzia drugiej instancji przeczytał uzasadnienie, którego słuchałem z autentycznym zainteresowaniem. Nie dlatego, że było po mojej myśli, ale dlatego, że stanowiło analizę różnych aspektów sprawy i pokazywało jej szeroki kontekst. Gdyby tacy sędziowie dominowali w Polsce...

Koszty sprawy ponieść mają powodowie. Wynoszą one ok. 8 tys. zł – honorarium oraz wydatki adwokata – i nie stanowią dla nich chyba szczególnej kwoty, dla mnie są już znaczące.

Ponieważ powodowie nie płacą, zwróciliśmy się do komornika, który podjął działania. Okazało się, że trójka powodów, która dysponuje wielomiliardowym majątkiem, nie ma w Polsce niczego – poza kontem Dominiki Kulczyk, na którym nie ma jednak środków, aby zapłacić ową sumę.

Na stronie Kulczyk Investments czytam: „Pierwsza rodzinna globalna grupa inwestycyjna z polskim rodowodem, z doświadczeniem w realizacji największych w tej części Europy projektów, obecna w ponad 30 krajach, na 4 kontynentach [...]. Wartość posiadanych udziałów została wyceniona na ponad 10 mld zł".

Zastanawiam się więc: czy spadkobiercy Kulczyka postanowili pokazać, że jak nie chcą, to nie zapłacą, przy okazji dadzą to odczuć nielubianemu facetowi, a wyroki sądów, jeśli ich dotyczą, mają... czy po prostu to ich metoda, która od spraw największych przechodzi na najmniejsze. Nie płacić należności.

Fortuna Kulczyka wyrosła na postkomunistycznych układach i pasożytowaniu na państwie. Tak jak spora część biznesu PRL. Zasadą było brać i nie płacić. Widocznie nawyk pozostał. A tak swoją drogą pytam: jak to się dzieje, że z firmy, która obraca wielkimi miliardami, wynajmuje najdroższe kancelarie, aby gnębić swoich krytyków, w samej Warszawie ma budować apartamentowiec za zapierającą dech w piersiach kwotę, nie można ściągnąć 8 tys. zł należności?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl df9b070253

OGNIEM NA WPROST

„Bądźcie jak Polska”

Im dłużej poruszamy się w temacie tzw. mowy nienawiści, tym łatwiej dostrzegamy, że jej prawdziwe źródło bije po lewej stronie europejskiego politycznego spektrum. W Niemczech, gdzie maczuga politpoprawności zdążyła poczynić już prawdziwe spustoszenie w głowach obywateli, lewackie organizacje typu Antifa (jej wypustki również są aktywne w Polsce) nawet się nie kryją z dosłownie morderczym przekazem. W ramach tegorocznej kampanii wyborczej powiązana z Antifą strona internetowa Indymedia opublikowała szczegółowe instrukcje zachęcające do... zabójstwa konkretnych polityków Alternatywy dla Niemiec (AfD). Najpierw uczy, jak zdobyć broń. Najlepiej z materiałów kompozytowych w krajach o liberalniejszym podejściu do jej posiadania, takich jak Norwegia, Finlandia, Polska, Czechy, Francja czy Austria. Potencjalni zamachowcy powinni poza tym zaopatrzyć się w krótkofalówki z szyfrowaniem oraz furgonetkę, kilka motocykli, a także ubrania na zmianę. Następnie podany jest szczegółowy opis tego, jak przeprowadza się udane zabójstwo i jak bezpiecznie zbiec oraz pozbyć się kompromitujących dowodów. Jako cele portal wskazuje konkretnych polityków AfD. Efekty lewicowej nienawiści już są widoczne. W styczniu poseł AfD Frank Magnitz został zaatakowany od tyłu i ciężko zraniony w Bremie. Do tej pory nie złapano sprawcy (sprawców). Ostatnio w berlińskiej dzielnicy Neukölln trzech mężczyzn podpaliło samochód członka AfD. Jednego udało się aresztować i okazał się nim „ekspert antyfaszystowski”, który wcześniej pracował dla lewicowej Fundacji Amadeu Antonio, finansowanej przez niemiecki rząd i Fundację Open Society George'a Sorosa.

W sztokholmskim metrze pewna Murzynka w ciąży wraz z córką postanowiły jechać na gapę. I jak to się często zdarza, towarzystwo zostało złapane przez kontrolerów. Murzynka w swoim stylu (byłem świadkiem bardzo podobnej sytuacji w pociągu relacji Florencja–Piza) wszczęła awanturę. Skończyło się wlepieniem kary za przejazd bez biletu, na co gapowiczka zareagowała jeszcze większym krzykiem, aż trzeba było wyprowadzić ją na peron. Oczywiście z dzieciakiem. Tam wpadła już w prawdziwą furię. Wierzgającą kobietę funkcjonariusze zmuszeni byli wyprowadzić z metra. A ona, że raniono ją podczas zajścia. W obronie gapowiczki natychmiast stanęło wielu blogerów i publicystów zarzucających ochroniarzom rasizm, kierowanie się uprzedzeniami, profilowanie rasowe i przede wszystkim użycie środków nieadekwatnych do sytuacji. Teraz do akcji weszła szwedzka feministyczno-antyrasistowska organizacja Men for Gender Equality. Bardzo poważna nazwa, bo i sama organizacja zajmuje się najpoważniejszymi sprawami. Kontrolerów biletów i funkcjonariuszy metra już zawieszono. Zostaną skierowani na pranie mózgu, czyli – jak nazywa to prof. Magdalena Środa – warsztaty. Obejmą one cały „zakres rasizmu i zdrowia reprodukcyjnego”, bo to nie pierwszy raz złapano imigrantkę bez biletu, która od razu wszczęła awanturę.

Kiedy politycy – jak włoski minister spraw wewnętrznych i lider partii Ligi Matteo Salvini – próbują coś zrobić z zalewem imigrantów, do akcji wkracza kasta. Specjalny włoski trybunał zalecił postawienie Salviniego przed sądem za odmowę przyjęcia w ubiegłym roku 150 imigrantów ze statku ratowniczego zacumowanego na Sycylii. Sąd uchylił wcześniejszą rekomendację prokuratorów, by umorzyć tę zabarwioną politycznie sprawę. „Ryzykuję od 3 do 15 lat więzienia za powstrzymanie nielegalnych imigrantów przed wjazdem do Włoch” – napisał na Twitterze Salvini. „Brak mi słów. Pytam Włochów, czy powinienem w dalszym ciągu być ministrem, egzekwować swoje prawa i obowiązki, czy też pytać o wszystko sąd, by decydował odnośnie do polityki imigracyjnej kraju”. Ostateczną decyzję, czy Salvini może być sądzony, podejmie włoski Senat. Od 2014 r. Włochy przyjęły ponad 650 tys. imigrantów ze statków. To powinno wystarczyć za puentę.

Mohammad Tawhidi – Irańczyk z obywatelstwem australijskim, będący jednocześnie szyickim duchownym – przedstawia się jako „imam pokoju”. Popiera deportację radykalnych przywódców islamskich z Australii, sprzeciwia się muzułmanom, którzy uzasadniają przemoc domową, wzywa do ograniczenia budowania nowych meczetów w Australii, uważa, że wszystkie akty terroryzmu są potępione w Koranie, a islam nie przetrwa bez zreformowania. Niedawno odwiedził nasz kraj i podzielił się wrażeniami na Twitterze. Swoje zdjęcie w koszulce z białym orłem podpisał tak: „Polska nie przyjmuje dżihadystów, nie wielbi Sorosa, nie poddaje się islamistom, chroni swoich obywateli, strzeże swoich granic, broni swoich wartości, nie płaci terrorystom dziesiątków milionów dolarów, kocha pokój i stabilność, dotrzymuje swoich obietnic. Bądźcie jak Polska!”.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl df9b070253

Rodzinna zielona energia

Marta Kaczyńska-Zielińska

Jesienią 2018 r. Ministerstwo Energii przygotowało projekt ustawy, która ma rekompensować gospodarstwom domowym koszty energii elektrycznej. Rekompensata podwyższonych kosztów uzyskiwania energii przez gospodarstwa domowe i przedsiębiorców jest częścią szeroko zakrojonej strategii energetycznej rządu Zjednoczonej Prawicy, której założeniem jest dążenie do dywersyfikacji źródeł energii i obniżenie kosztów życia Polaków.

Szczególne miejsce w programie Energia+ zajmują odnawialne źródła energii (OZE), takie jak instalacje fotowoltaiczne, mikroelektrownie wodne czy pompy ciepła. Udział paneli fotowoltaicznych w rynku odnawialnych źródeł energii w ostatnim roku wynosił zaledwie 3,4 proc., ale w związku z mającymi wejść w życie nowymi regulacjami prawnymi branża zyska szansę na rozwój.

Docelowo alternatywne źródła energii mają pracować w 5 mln polskich gospodarstw domowych. Dla porównania – na terenie całej Unii Europejskiej z tzw. zielonej energii korzysta dzisiaj 10 mln obywateli

Według nowych przepisów każdy, kto zechce produkować energię ze źródeł odnawialnych na własny użytek i sprzedawać nadwyżki, będzie mógł uzyskać status prosumenta w terminie 60 dni. Docelowo alternatywne źródła energii mają pracować w 5 mln polskich gospodarstw domowych. Dla porównania – bezpośrednio za naszą zachodnią granicą funkcjonuje dzisiaj 2 mln prosumentów bazujących na fotowoltaice, a na terenie całej Unii Europejskiej z tzw. zielonej energii korzysta 10 mln obywateli.

Czerpanie energii z paneli fotowoltaicznych ma wiele zalet. Spośród wszystkich OZE urządzenia te zainstalowane na istniejących uprzednio zadaszeniach nie stanowią znaczącej ingerencji w środowisko. Wykorzystanie powierzchni zabudowanych nie skutkuje deformacją ekosystemu, a bezgłośne i bezwonnne funkcjonowanie paneli nie odstrasza zwierząt, nie emituje immisji, które mogłyby stanowić źródło konfliktów sąsiedzkich. Korzystanie z paneli nie przyczynia się do powstawania smogu, nie zaburza ładu przestrzennego jak np. wiatraki. Przy produkcji prądu z użyciem wspomnianego rozwiązania nie dochodzi do emisji odpadów.

Panele są lekkie, nie wymagają budowy żadnych dodatkowych zbiorników, zasadniczo nie mają narażonych na usterki części mechanicznych ani nie wiążą się z koniecznością transportowania surowców. Mogą być instalowane w każdym miejscu, które ma odpowiednie nasłonecznienie. Powierzchnia 1 m^2 otrzymuje od 0,5 kWh w okresie zimowym do ponad 5 kWh w najdłuższe dni w roku.

Nie wymagają także doprowadzenia wody, której zasoby w Polsce są nieduże. Instalacja tego typu urządzeń jest stosunkowo prosta, a ich działanie nie wymaga obsługi i jest bezpieczne. Producenci udzielają zaś gwarancji nawet na 25 lat.

Omawiane OZE może zasilać energią elektryczną zarówno dom jednorodzinny, jak i zakład przemysłowy, zapewniając im co najmniej częściową niezależność od dostawców prądu. Energię niewykorzystaną dla własnych potrzeb można zaś odsprzedać. Z roku na rok panele stają się coraz tańsze, a w ramach programu Energia+ przy wsparciu państwa prosumenci mają uzyskiwać kredytowanie na korzystnych warunkach i oczekiwać szybkiego zwrotu swojej inwestycji.

Michałowi Korsunowi

wyrazy szczerego współczucia

z powodu śmierci

TATY

składają koleżanki i koledzy z tygodnika „Sieci”, portalu wPolityce.pl, telewizji wPolsce.pl, miesięczników „wSieci Historii” i „Gazeta Bankowa”

eprasa.pl df9b070253

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Na zasiłku

„Spośród imigrantów, którzy przybyli do Niemiec w ostatnich latach, pracuje zaledwie co czwarty. Oznacza to, że 75 proc. przybyszy jest bezrobotnych. Co więcej, nie każdy imigrant, który ma zatrudnienie, może się z niego utrzymać. W takim wypadku dostają zapomogi socjalne... finansowane z pieniędzy podatników" – informuje niezalezna.pl. W tym kontekście właściwie trudno zrozumieć, dlaczego te 25 proc. imigrantów wciąż pracuje. Skoro wszystko daje państwo, to po co się męczyć?

51 tys.

– tyle zarejestrowano w styczniu nowych samochodów osobowych i lekkich dostawczych – poinformował Polski Związek Przemysłu Motoryzacyjnego. To wzrost o 0,6 proc. w porównaniu z sytuacją z ubiegłego roku.

571 mln euro

– tyle zapłaci firma Apple w wyniku ugody zawartej z władzami Francji. Chodzi o zaległe podatki.

7,2 mld euro

– tyle wyniosła w 2018 r. wartość transakcji inwestycyjnych na rynku nieruchomości komercyjnych w Polsce.

Wirtualne miliony

A to pech! Jak podaje TVP Info, ok. 180 mln dol. zostało zamrożone na kontach offline po tym, jak założyciel kanadyjskiej giełdy kryptowalutowej Quadriga CX Gerald Cotten zmarł, zabierając hasło dostępu do grobu. „Komputer, z którego firma Geralda prowadziła działalność, jest zaszyfrowany i nie znam hasła ani klucza do jego odzyskania. Mimo wielokrotnych i długich poszukiwań nie udało mi się ich nigdzie znaleźć" – powiedziała cytowana przez Agencję Reutera wdowa po zmarłym prezesie giełdy. Gerald Cotten zmarł nagle w grudniu ubiegłego roku, w wieku 30 lat. 363 tys. użytkowników giełdy zgromadziło w kryptowalutach 26 tys. bitcoinów, 11 tys. bitcoinów cash, 200 tys. litecoinów i 400 tys. wirtualnych monet Ethereum – wszystko o łącznej wartości ok. 180 mln dol. I tak z powodu braku zaufania twórcy giełdy kryptowalutowej do kogokolwiek wirtualne pieniądze będą jeszcze bardziej wirtualne.

Postęp

W Holandii prawicowy polityk, który latami krytykował muzułmanów, przeszedł na islam. Chodzi o byłego parlamentarzystę antyislamskiej Partii Wolności, Jorama van Klaverena. „»Islam to jedno wielkie kłamstwo, a Koran to trucizna« – mówił jeszcze kilka lat temu. W parlamencie walczył o zakaz noszenia burek i budowy minaretów, mówiąc: »Nie chcemy żadnego islamu, a przynajmniej chcemy go w Holandii tak mało, jak to tylko możliwe«. Teraz 40-letni van Klaveren zaskoczył holenderską opinię publiczną, mówiąc w rozmowie z dziennikiem »NRC«, że przeszedł na islam" – czytamy na rp.pl. To chyba jest ten osławiony postęp...

eprasa.pl df9b070253

Szybki jak mąż

Z brytyjskich badań wynika, że żonaci mężczyźni są silniejsi i sprawniejsi fizycznie od singli. Jak podaje rp.pl – wdowcy, rozwodnicy i kawalerowie po sześćdziesiątce są słabsi od żonatych. To opinia naukowców z University College London, których wyniki badań opublikowano na łamach „PLOS One". Małżonkowie mają podobno silniejszy uścisk dłoni i szybciej się poruszają niż single – twierdzą naukowcy. Może po prostu żonaci muszą się szybciej żegnać i szybciej wracać do domu. Samo życie.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x2), East News

Zastanawiałem się, jak wygląda specjalne miejsce w piekle dla tych, którzy promowali brexit bez nawet szkicu planu tego, jak go bezpiecznie przeprowadzić – powiedział szef Rady Europejskiej Donald Tusk. „Diabelskim euromaniakiem" nazwał go za to Sammy Wilson, rzecznik Demokratycznej Partii Unionistów ds. brexitu. Najwyraźniej Europa już się poznała na naszym „słońcu Peru".

Skazani

Od dwóch dekad w Japonii rośnie liczba przestępstw, które popełniają osoby po 65. roku życia. Zdaniem BBC wynika to z tego, że starsi Japończycy po prostu chcą iść do więzienia, a wszystko z powodu biedy i samotności. Starsi ludzie w więzieniu nie muszą się martwić o jedzenie i lokal. „Jeszcze w 1997 r. osoby mające więcej niż 65 lat stanowiły zaledwie 5 proc. skazanych za popełnienie przestępstw. Dziś to ponad 20 proc. Ponadto wśród seniorów jest wielu recydywistów – spośród 2,5 tys. osób w wieku powyżej 65 lat skazanych w 2016 r. co trzeci był w przeszłości skazywany co najmniej pięć razy" – informuje BBC. Nie od dziś wiadomo, że starość nie radość, a starość w nędzy tym bardziej. Ale żeby chcieć siedzieć? To już prawdziwa desperacja.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Gieje disneje

Dominik Zdort

Sierpień miesiącem trzeźwości. Październik miesiącem oszczędzania. A czerwiec? Myślicie pewnie, że to miesiąc Serca Jezusowego, jak chciałby Kościół? Nic z tego, są środowiska bardziej wpływowe, które twierdzą, że czerwiec to miesiąc dumy. A raczej Dumy. Tej „Dumy". Gay Pride.

1 czerwca to Dzień Dziecka. Tego święta środowiska giejowskie także nie odrzucają. Wiadomo, jak bardzo homoseksualistom bliski jest los dzieci, szczególnie małych chłopców.

W tym roku środowiska LGBTQ w wyjątkowy sposób chcą uczcić i połączyć miesiąc Dumy Homoseksualnej i święto dziecka. 1 czerwca paryski Disneyland zorganizuje pierwszą w historii własną oficjalną paradę równości Magical Pride.

Zaproszeni są przede wszystkim rodzice z pociechami. Ale równie mile widziani będą przedstawiciele LGBTQ. Organizatorzy gwarantują, że i starszym, i małym gościom nie zabraknie niebanalnych rozrywek.

Opłata dla uczestnika za dwie noce w Disney's Hotel Santa Fe wraz z biletem do parku i na paradę to prawie 600 euro. Niemało, ale homoseksualiści zazwyczaj nie mają własnych dzieci, więc ich na takie ekstrawagancje stać. Jest zresztą szansa na niezły ubaw z dzieciakami, więc co mają sobie żałować.

Pytanie, ilu będzie rodziców, którzy zapłacą za to, aby ich pociechy towarzyszyły giejom na tej imprezie. No bo jednak nie tylko koszt duży, lecz ryzyko jeszcze większe.

Czego można się spodziewać? Już w ubiegłym roku widzieliśmy homoseksualne barwy w amerykańskich parkach Disneya. Co osobom LGBTQ najwyraźniej nie wystarczało, bo pisały: „Disneyu, nie potrzeba nam tęczowych uszu Myszki Miki, chcemy, abyście nie usuwali nas z filmów" – domagając się obecności giejów i lesbijek w kreskówkach.

Domyślam się, że – w odpowiedzi na te postulaty – 1 czerwca 2019 r. w Paryżu rozebrani do pasa panowie Goofy i Kaczor Donald będą poczynać sobie śmiało i na samej paradzie, darząc się gorącymi pocałunkami, oraz późniejszą nocą w hotelu Santa Fe. A marsz poprowadzi transseksualny pies Pluto, mocno czerwono uszminkowany, w przebraniu biskupa z pastorałem w dłoni.

Transwestyta Teletubiś Tinky Winky, wymachujący swoją damską torebką, to była tylko niewinna zapowiedź tego, co naszym dzieciom mogą jeszcze zgotować środowiska LGBTQ. Szkoda maluchów.

Ale też szkoda Disneya. Bo całkiem heteronormatywny Mr. Walt na to nie zasłużył. Dziś na pewno przewraca się w grobie.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl df9b070253

RZECZY POSPOLITE

„Star Trek” z XVI wieku

Jakby ktoś nie wiedział, że w XVI w. w Anglii połowa szlachty to byli czarnoskórzy mężczyźni, to proponuję, by wybrał się do kina na film „Maria, królowa Szkotów”. Spokojnie, Maria Stuart i Elżbieta Tudor nie są Murzynkami, aż tak daleko się nie posunięto, chociaż... cholera wie, może za parę lat i takie postaci będą grane przez ciemnoskórych aktorów. Ale za to już pośród innych ról odnajdziemy ich sporo – czarnoskóry jest ambasador królowej Anglii w Szkocji, czarnoskóre są dwórki, lordowie, a także służba.

Tomasz Łysiak

Szczerze mówiąc, miałbym to może nawet w głębokim poważaniu, gdyby nie to, że na kostiumy i realia z epoki wydano fortunę. Po co więc się wysilać na to wszystko: na krynoliny, złotogłów, muśliny, guziczki, wstążeczki, szpady, karety, peruki i buciki, jeśli i tak film poprzez dobór obsady staje się ahistoryczny? Właściwie można odnieść wrażenie, że to kolejna część politycznie poprawnej sagi „Star Trek”, tylko ubranej w renesansowy strój. Przypomnę, że skład tzw. mostka kapitańskiego na statku Enterprise miał pokazywać idealną harmonię, jaką ludzkości uda się osiągnąć w utopijnej przyszłości – oto jednym z oficerów mógł być przedstawiciel rasy Wolkanów, a innym niewidomy Murzyn. Tu jest podobnie – jeśli jedna dwórka jest Murzynką, to inna musi być Azjatką, żeby było po sprawiedliwości.

Gdybyście chcieli wiedzieć więcej (uwaga, będzie spojler), sama Maria Stuart jest wyemancypowaną królową, która – kiedy zdarzy się jej przyłapać swego męża na seksie z czarnoskórym gejem kochankiem – temu kochankowi gejowi wszystko wybaczy, bełkocząc coś o tym, że ona to rozumie, „bo natura jest silniejsza”.

Na dokładkę jeszcze dowiadujemy się (wbrew faktom historycznym), że obie siostry cioteczne tak naprawdę to się kochają i zawsze się kochały, a wszelkie zło, jakie się wydarza w dziejach, jest przez... mężczyzn! Ech, ci podli samce! Wszystko przez nich!

Feministyczny manifest tak mnie ujął, że postanowiłem podsunąć naszym producentom pomysł na film – w którym Barbara Radziwiłłówna to sufrażystka i Murzynka, a Zygmunt August to japoński szogun i gej. Historyczny „Star Trek” po polsku może też by się sprzedał?

Co komu gdzie klika

„Czy ten gej i ateista może odmienić Polskę?” – spytał w tytule niemiecki „Bild” w tekście o „Nowej partii Wiośnie”. Polscy politycy różnych maści mogą tylko pozazdrościć! Ten najpopularniejszy niemiecki tabloid o kilkumilionowym nakładzie poświęcił Robertowi Biedroniowi bodaj tyle miejsca, ile Trumpowi w kampanii wyborczej. Z tą różnicą, że o obecnym prezydencie USA było raczej negatywnie, a o polskim „geju i ateiście” jest w superlatywach – że polski Obama wyrasta w kraju nad Wisłą, że utworzył „nową, progresywną partię” i jest dziś „nadzieją dla wielu lewicowców, liberałów, otwartych na świat”. Że to dzięki niemu, Biedroniowi, w napiętej i wypełnionej nienawiścią Polsce, po zamordowaniu przed trzema tygodniami prezydenta Gdańska, może wkrótce nastąpić wiosna, że fetowany był z biało-czerwonymi i unijnymi flagami na warszawskim stadionie „niczym „gwiazda rocka czy uzdrowiciel”.

Piotr Cywiński

Cóż za prezencja i prezentacja, lepszej być nie mogło. I zdjęcia rozradowanego Biedronia były, i wiwatujących tłumów, i o programie było, że „na wskroś ambitny”, ale nie wszystkim to się w Polsce podoba, zwłaszcza Kościołowi, bo polityk chce rozdzielić go od państwa i religię wypchnąć ze szkół zamierza, i zalegalizować jednopłciowe małżeństwa itd. „Bild” omówił, zasięgnął opinii, rozważył również wyborcze szanse Wiosny.

A u „nasz”? U „nasz” mutant „Bilda”, polskojęzyczny „Fakt” Ringiera-Springera posłużył się np. obszernym omówieniem tekstu z „Elle”, który zatytułował: „Ukochany zdradza intymne sekrety Biedronia”. Jak miło... To znaczy nie całkiem. Ukochany lidera nowej partii zwierzył się, jak to się zaczęło, że „pojechali do Berlina na jakąś konferencję i kliknęło”, że teraz „mówi mu czułe słówka i go przytula”, ale mają „nieustabilizowane, nomadyczne życie i – jak na warunki polskie – niestandardowe w każdym wymiarze, nie tylko logistycznym”, koniec cytatu. Jednak ukochani Krzyś z Robertem „nie wyobrażają sobie dnia, żeby z sobą nie rozmawiali”.

I proszę, można pisać ciepło o Polsce? Można! Są w Polsce ludzie innego pokroju niż ci katofundamentaliści z „PiS-Partei”, co to tylko nienawiść sieją i dyskryminują? Są! Wreszcie wiadomo, co komu klika i gdzie. Wiosna idzie! No to sursum corda, empor die herzen, w górę serca...

eprasa.pl df9b070253

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, EAST NEWS/TRICOLOR. EAST NEWS/MICHAŁ WOŹNIAK

eprasa.pl df9b070253

Wszystko zgodnie z prawem

Czy poseł i szef partii ma prawo być szefem rady fundacji, czyli de facto rady nadzorczej? Otóż ma prawo, to nie jest złamanie żadnego przepisu

Jacek Karnowski rozmawia z Jarosławem Kaczyńskim, prezesem Prawa i Sprawiedliwości

Do wyborów parlamentarnych zostało niewiele ponad dziewięć miesięcy. Jak dziś, w pana ocenie, wyglądają szanse Prawa i Sprawiedliwości, a szerzej: Zjednoczonej Prawicy, na odnowienie mandatu do rządzenia Polską?

Jarosław Kaczyński: Te szanse są bardzo duże, choć w takich sytuacjach nigdy nie można mieć stuprocentowej pewności. Kluczowe będą mobilizacja partii oraz odpowiednia polityka państwa, potwierdzająca naszą wiarygodność. Chodzi o wiarygodność w wymiarze odnoszącym się do skutecznej polityki gospodarczej, finansowej, także do tego wszystkiego, co z tego wynika, a więc polityki społecznej, płacowej itd. Będzie dobrze, jeśli zdołamy dotrzeć do społeczeństwa z tą podstawową prawdą, że umiemy skutecznie rządzić; że jesteśmy wrażliwi społecznie; że chcemy, by zwykłym Polakom, zdecydowanej większości społeczeństwa, żyło się lepiej niż dotąd; że zrobiliśmy wiele w tym kierunku i wiele jeszcze zrobimy. Ważne też, by społeczeństwo wiedziało, że odwołujemy się do takich wartości, które tworzą realnie polską wspólnotę. Bo my tej wspólnoty nie chcemy niszczyć, nie chcemy przeprowadzać całkowicie sztucznej, w istocie zewnętrznej, rewolucji w sferze moralnej, w sferze odnoszącej się również do kształtu społeczeństwa, w tym do rodziny, a więc – jak wskazują wszelkie badania – wartości najwyżej przez Polaków cenionej. To wszystko powinno ogromną część wyborców do nas przekonać i to powinno wystarczyć do utrzymania większości w Sejmie. Będzie to zapewne wymagało wyniku lepszego niż ten uzyskany w poprzednich wyborach. Sądzę, że na taki lepszy wynik zasłużyliśmy.

Celem jest więc ponownie samodzielna większość?

Oczywiście. Każda duża partia musi myśleć o samodzielnej większości. Nie wyklucza to współpracy z innymi ugrupowaniami, o ile będą takie możliwości.

Część sympatyków PiS uważa jednak, że partia obecnie za mało mówi o wartościach, że nie angażuje się w wojnę kulturową, że jest zbyt mało asertywna wobec lewicy, przede wszystkim światopoglądowej, bardzo aktywnej we wszystkich obszarach życia społecznego, od kultury, poprzez edukację, sztukę, media itd.

To prawda, że tego typu zjawisko zauważalne jest niemal wszędzie. Trzeba jednak postawić pytanie, czy bezpośrednia polemika z tego typu poglądami, która przez część Polaków zostanie uznana jako odrzucenie wolności, będzie rzeczywiście skuteczna. Nam się wydaje, że nie. My twardo obstajemy przy naszych wartościach i nie będziemy tego ukrywali. W odpowiedzi na pana pierwsze pytanie sam przecież przywołałem troskę o rodzinę, będącą dziś przedmiotem ataku. Bardzo brutalnie atakowany jest także Kościół, czego przykładem jest film „Kler". Nie ukrywamy, że bardzo cenimy rolę Kościoła, którego przecież w żaden sposób też nie zamierzamy atakować. Już jesienią 1991 r. w Domu Katolickim w Sosnowcu powiedziałem, że nawet ludzie niewierzący, jeśli nie są osobistymi wrogami Pana Boga, muszą akceptować rolę Kościoła. Dlatego że Kościół jest nośnikiem jedynego systemu wartości, który jest w Polsce powszechnie znany i który buduje kościec normalnych stosunków międzyludzkich.

Alternatywą jest koszmar rozpadającej się wspólnoty, piekło na ziemi.

Alternatywą jest nihilizm, w polskich warunkach nie ma innej alternatywy. Tak ułożyła się polska historia. I te słowa podtrzymuję. A że Kościół ma różne mankamenty? Kościół, ten instytucjonalny, składa się z ludzi, a ludzie nie są bezgrzeszni.

Czy PiS dobrze komunikuje swoje cele i swoje działania? Opozycja i życzliwe jej media budują obraz kraju, w którym afera goni aferę, a partia rządząca albo się broni, albo wręcz milczy.

eprasa.pl df9b070253

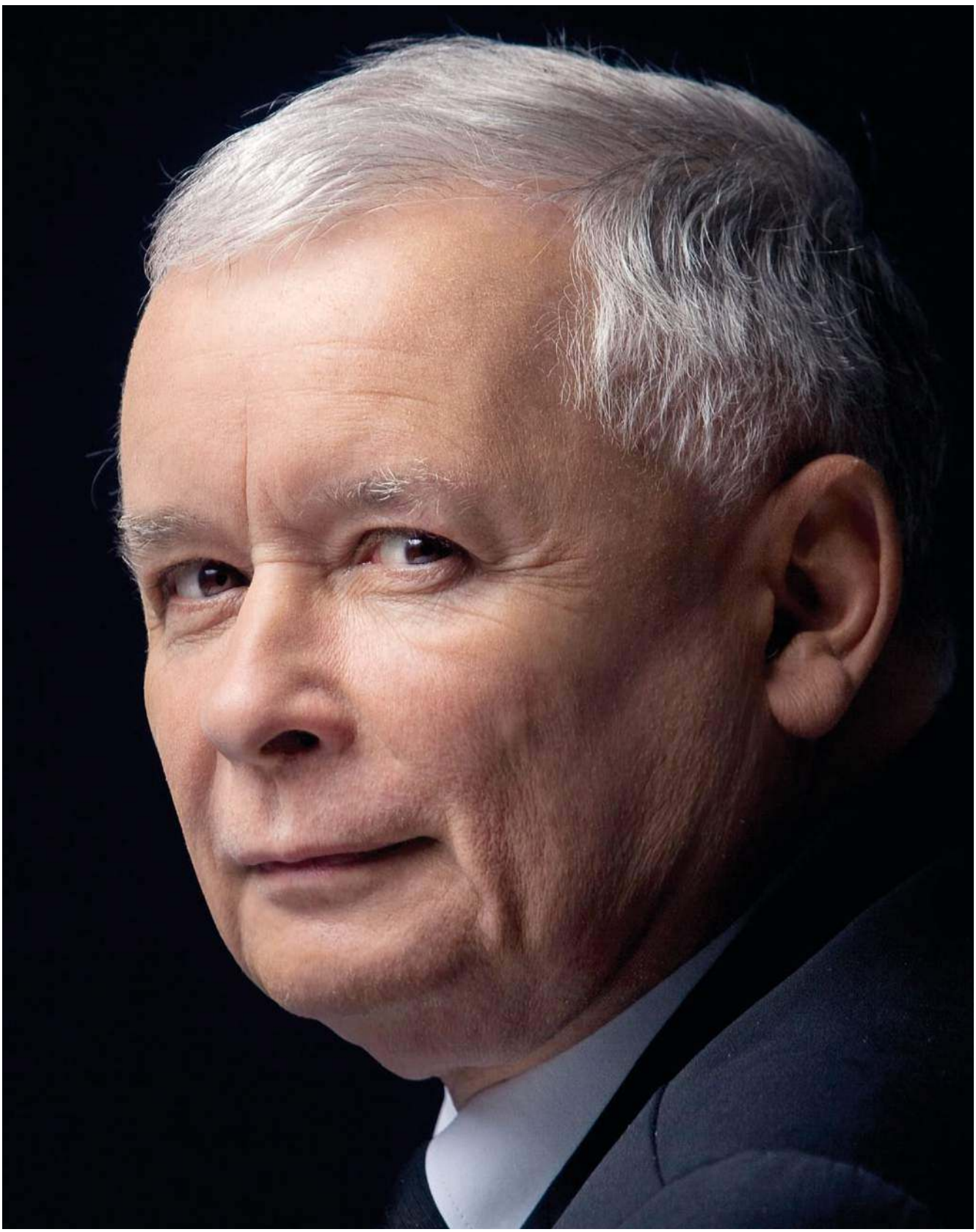

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl df9b070253

Rzeczywiście, ostatnie kilka tygodni to czas, gdy co chwila wybucha jakaś sprawa. W ogromnej mierze są to albo afery wymyślone, albo sprawy, które trudno nazwać aferami. Afera zaczyna się wtedy, gdy ktoś osiąga wielkie nielegalne korzyści. Prawdziwa afera jest jednak wtedy, gdy władza na to nie reaguje. Mnie osobiście zniesmaczyła sprawa zarobków dwóch pań w Narodowym Banku Polskim. To sytuacja niestosowna, ale również w niej trudno się dopatrzeć złamania prawa. Zresztą my na sprawę owych pań zareagowaliśmy, przyjmując szybko ustawę o jawności zarobków.

Wcześniej była sprawa KNF.

Pan Marek Chrzanowski nigdy nie był członkiem PiS. Objął stanowisko w wyniku wskazania przez prezesa Adama Glapińskiego, był osobą wcześniej nam nieznaną. Nie mieliśmy żadnych podstaw, by sądzić, że może się on okazać człowiekiem, który będzie chciał coś komuś załatwiać za pieniądze. Dodam, że dowody w sprawie „40 milionów" i „kartki" są bardzo słabe, ale ostatecznej weryfikacji dokonają prokuratura i sąd. Natomiast żądanie zatrudnienia Grzegorza Kowalczyka było w oczywisty sposób naganne i także w sensie prawnym nie do przyjęcia. Proszę pamiętać, że nasza reakcja w tego rodzaju sprawach jest bardzo odmienna od tej, do której przyzwyczaiły nas prawie wszystkie poprzednie rządy. I tu jest ta zasadnicza różnica. Nie ma środowisk ani formacji politycznych, które składają się z samych uczciwych ludzi, tego się po prostu nie da sprawdzić. Pytanie dotyczy tego, jak się reaguje na nadużycia. My na nie reagujemy wedle zasady, że najpierw kontroluje się swoich i wyciąga wszystkie konsekwencje, również te karne, i to jest ta zasadnicza różnica.

PiS rzeczywiście stara się bardzo szybko reagować na różnego rodzaju skandale, realne lub wykreowane. Chodzi mi jednak o brak czegoś, co specjaliści określają „własną agendą".

Z pewnymi sprawami jeszcze czekamy. Było również wydarzenie, tragedia w Gdańsku, które zatrzymało na pewien czas normalne życie polityczne. Ale proszę się nie martwić, będziemy mieli swoją agendę i będzie to agenda pozytywna społecznie.

Ostatni rok to była także próba pozyskania elektoratu dotąd niezwiązanego z PiS, również próba złagodzenia napięcia w kraju. Taki był przecież m.in. sens zmiany premiera.

Złagodzenie napięcia rzeczywiście było i jest naszym calem, ale nie tylko my decydujemy o tej sprawie. A zmiana premiera podyktowana była przede wszystkim wiarygodnymi sygnałami o nowej, wielkiej ofensywie przeciwko Polsce, i to o skali międzynarodowej. Chodziło o próby przypisania nam już nawet nie tylko „faszyzmu", lecz wprost „hitleryzmu", co na pewno nie było przypadkiem. Potrzebowaliśmy osoby, która byłaby w tej sferze skuteczna. Jeśli wziąć pod uwagę deklarację polsko-izraelską, będącą naszym naprawdę ogromnym sukcesem, co niektórzy w końcu zaczynają doceniać, były to oczekiwania dobrze ulokowane. Oczywiście wiedziałem o pracach nad deklaracją, byłem na bieżąco informowany, ale tym, który prowadził rozmowy z bardzo, bardzo trudnym partnerem, a więc premierem Netanjahu, był nasz premier. Do tego dochodzą inne sprawy. Bardzo sobie cenię zasługi Beaty Szydło, sądzę, że ma ona przed sobą bardzo wybitną przyszłość, ale i dziś uważam, że ta zmiana była konieczna. To, że dostrzegliśmy zagrożenie, o którym mówiłem przed chwilą, to nie jest coś, czego powinienem się wstydzić.

Czy obecny układ personalny, mam na myśli przede wszystkim rząd, utrzyma się do wyborów?

Tak. Jestem przekonany, że nie ma na horyzoncie niczego, co mogłoby stanowić dla rządu rzeczywiste zagrożenie, jeśli – rzecz jasna – odwołamy się do faktów, a nie do nadinterpretacji lub rzeczy wręcz wymyślanych.

Czy nowa partia Roberta Biedronia – Wiosna – może istotnie zmienić krajobraz polityczny?

Bardzo trudno przewidzieć, co z tego będzie. Bywało tak, że partie zaczynały od wysokich sondaży, a później miały dużo mniej albo szybko ginęły. Doświadczenie z wyborów 2011 i 2015 r. pokazuje, że takie ruchy mogą uzyskać pewien sukces. Wiosna zagraża przede wszystkim Platformie, a także w pewnej mierze Kukizowi, który – jeśli chce przetrwać – musi ruszyć do ofensywy.

Czy obietnice socjalne Biedronia są dla PiS zagrożeniem?

Nie sądzę. To jest podane w sosie tak wściekłego antyklerykalizmu, że dla naszego elektoratu nie stanowi poważnej propozycji. To też obietnice tak daleko idące, że jeśli traktować je jako całość, to trzeba by było minimum 200 mld zł. Czyli radykalnego zwiększenia podatków albo gigantycznego zadłużania się. Na takich zasadach można obiecywać marcepany rosnące na brzozach. Niech każdy zainteresowany sprawdzi, co zdziałał Ruch Palikota w sferze społecznej, którego propozycje były w dużej mierze podobne.

Czy tragedia w Gdańsku, śmierć prezydenta Adamowicza, powinna przynieść jakąś zmianę atmosfery w kraju?

Odrzucam pojęcie „mowy nienawiści", które przy tej okazji próbuje się wprowadzać. To pojęcie, za pomocą którego próbuje się wprowadzić jednostronną cenzurę dotyczącą tylko prawicy. Można grać „Klątwę", można wzywać do zamordowania mnie, a nie można, w skrajnych przypadkach, cytować Pisma Świętego. Owszem, jest w Polsce coś takiego jak „sianie nienawiści". To się zaczęło w 1990 r., gdy powstało Porozumienie Centrum, od razu brutalnie zaatakowane. My nigdy nie sialiśmy nienawiści. My jedynie przedstawialiśmy naszą diagnozę sytuacji w Polsce, dziś dość powszechnie zaakceptowaną i potwierdzaną przez licznych badaczy. Czasem się zdarzało, że dosadnie.

Opozycja słała apele o wzajemny szacunek, ale teraz zachęca wręcz np. do nagonki na dziennikarzy TVP.

eprasa.pl df9b070253

A niektóre bojówki, bo tak to już można nazwać, działają coraz śmielej, czują się bezkarne.

W Polsce trzeba doprowadzić do sytuacji, w której po prostu działa prawo. Dziś to często fikcja, w głównej mierze przez postawę sądów. Nie może być tak, żeby przejść się Krakowskim Przedmieściem albo odwiedzić grób brata, muszę mieć pozwolenie Obywateli RP. A sędziowie najwyraźniej to akceptują, bo stawiają zarzuty nadużycia prawa policjantom, którzy wyciągali ludzi spod samochodów blokujących dojazd. To są szczyty absurdu i objawy demonstracyjnego lekceważenia prawa. Do tego doszedł teraz atak na dziennikarkę, kobietę, co czyni sprawę szczególnie bulwersującą. Mamy do czynienia ze zdziczeniem, które wyrasta z bezkarności. Stare kierownictwo Sądu Najwyższego może sobie pogratulować, może sobie „przybić piątkę". Będziemy dalej pracować, by odbudować państwo prawa, ale wcześniej musimy zostać społecznie zweryfikowani.

Niektórzy politycy opozycji sięgnęli niedawno po metaforę mamuta lub dinozaura, którego nie można zabić frontalnym atakiem, ale który konsekwentnie obrzucany kamieniami w końcu pada. Tym mamutem/dinozaurem jest w tym ujęciu oczywiście PiS. Widać nadzieję, że liczne ataki jednak odkładają się w świadomości społecznej i przyniosą zmianę władzy.

Na razie to wszystko odkłada się dość słabo. Oczywiście nie mogę wykluczyć, że obok rzucanych kamieni pojawi się proca lub że zaczną kopać doły. My jednak jesteśmy zaprawieni. Niedługo minie 30 lat od chwili, gdy zaczęto i mnie osobiście, i całe nasze środowisko, bardzo ostro atakować.

Czyli PiS to dinozaur z grubą skórą?

PiS to prawdziwy pancernik, bo przecież są takie zwierzęta. Można powiedzieć, mamutopancernik [śmiech].

Ostatnio opozycja rzuciła czymś, co – jak sądziła – było szczególnie dużym kamieniem. Zapowiadano „najważniejszy dzień w dziejach PiS", mówiono o bombie. Taśmy opublikowane przez „Gazetę Wyborczą" okazały się jednak politycznym kapiszonem. Jaki jest pana komentarz do tej sprawy?

To nie jest nawet kapiszon, tam przecież nic nie ma. Ale parę spraw chcę sprostować, bo mamy do czynienia z całą masą nieprawdziwych sugestii. Na przykład czy poseł i szef partii ma prawo być szefem rady fundacji, czyli de facto rady nadzorczej? Otóż ma prawo, to nie jest złamanie żadnego przepisu. Było to jasno przedstawiane we wszystkich moich oświadczeniach majątkowych. Co więcej, formularz oświadczenia zawiera pytanie o funkcje związane z fundacjami prowadzącymi działalność gospodarczą, co potwierdza legalność tego typu aktywności. Kolejne pytanie: czy przewodniczący rady fundacji może rozmawiać na temat wielkiego przedsięwzięcia odnoszącego się do własności tej instytucji? Ma prawo, z tym że w naszym wypadku, mam na myśli Instytut Lecha Kaczyńskiego, wymaga to jednogłośnej zgody tej fundacji. I ja taką jednogłośną zgodę uzyskałem. Czy przewodniczący rady ma prawo rozmawiać w sprawie spółki? Ma prawo, o ile władze spółki o tym wiedzą, a w tym przypadku wiedziały. Miałem także jednorazowe upoważnienie zgromadzenia wspólników dotyczące zawarcia ostatecznych umów, gdyby pojawiła się taka konieczność. Działałem więc całkowicie zgodnie z prawem. Za bezczelną manipulację uznaję twierdzenie, że ma to cokolwiek wspólnego z art. 24 Ustawy o partiach politycznych, która zakazuje im działalności gospodarczej.

> Za bezczelną manipulację uznaję twierdzenie, że ta sprawa ma cokolwiek wspólnego z art. 24 Ustawy o partiach politycznych, która zakazuje im działalności gospodarczej. Dlaczego to manipulacja? Bo nie ma żadnych relacji finansowych pomiędzy fundacją a partią. Żadnych. To są dwie oddzielne instytucje

Dlaczego to manipulacja?

Ponieważ – podkreślam to bardzo mocno – nie ma żadnych relacji finansowych pomiędzy fundacją a partią. Żadnych. To są dwie oddzielne instytucje. Owszem, jestem obecny w jednej i drugiej, ale relacji formalnych nie ma.

I nigdy nie było?

Tak. Spółka Srebrna nigdy Prawu i Sprawiedliwości niczego za darmo nie dawała. Dlatego te wszystkie tezy o rzekomo fantastycznej przewadze PiS nad konkurencją, która miałaby wynikać z istnienia fundacji i spółki, które – znów podkreślam – nie są własnością partii, to całkowita nieprawda. I wreszcie sprawa zasadnicza: spółka Srebrna ma dziś kilka milionów złotych rocznego obrotu i stosunkowo nieduży zysk. Gdy więc czytam wywiad z prof. Radosławem Markowskim, w którym twierdzi on, że PiS okrada klasę średnią za pomocą spółki Srebrna, to mogę się tylko śmiać z tego szaleństwa. Mogę też przypomnieć prof. Markowskiemu aferę frankową, jeden Wołomin, drugi Wołomin, Amber Gold, mnóstwo różnych piramid, gdzie ludzie z klasy średniej wkładali pieniądze i gdzie je tracili. Tyle że to nie ma nic wspólnego ani z PiS, ani ze spółką Srebrna.

Sam fakt, że pana środowisko posiada jakąś własność, jest w oczach wielu komentatorów oskarżeniem.

eprasa.pl df9b070253

Zarzuca się nam nawet udział w komunistycznym uwłaszczeniu, dyskretnie pomijając pewne fakty. Wbrew temu, co pisał jeden dziennikarz „GW" na Twitterze – był przetarg.

A jak było?

Było tak. Zimą lub wczesną wiosną 1990 r., dokładnie nie pamiętam, zostałem zaproszony przez Aleksandra Halla do Urzędu Rady Ministrów, gdzie przedstawił mi pewną ofertę. Otóż stwierdził, „my", nie precyzując o kogo chodzi, w domyśle chodziło o jego środowisko, weźmiemy „Życie Warszawy", a wy bierzcie „Express Wieczorny". Ja się przez chwilę spierałem, raczej dla czystego sumienia, że może jednak odwrotnie, bo „Życie Warszawy" uchodziło za coś nieporównanie cenniejszego, choćby dlatego, że doskonale zarabiało na drobnych ogłoszeniach. Ostatecznie jednak zgodziłem się na wersję zaproponowaną przez Halla. Nie było mowy o żadnej cenie, a przez chwilę myślałem nawet, że to rzeczywiście zostanie przyznane partiom za darmo. Później się okazało, że trzeba zapłacić 16 mld ówczesnych złotych. Problem polegał na tym, że my ich nie mieliśmy. Moi koledzy, pod tym względem znacznie ode mnie inteligentniejsi i sprawniejsi, ruszyli jednak w bój.

I jak zdobyli te pieniądze?

W końcu zdołali te pieniądze pożyczyć. Legalnie, w polskim banku. Podkreślam: „Express" kupiliśmy, a nie dostaliśmy. To po pierwsze. A po drugie, był przetarg, wbrew temu, co również pisze „Wyborcza". I to nie fikcyjny, bo startowały i „Solidarność", i Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe. Wygraliśmy my. I tyle. Tu nie było nic za darmo. Zachowane zostały wszystkie obowiązujące wówczas procedury. Jeżeli była w tym polityka, to po drugiej stronie, po stronie Aleksandra Halla, a nie po naszej. Co ważne, kupiliśmy wówczas tylko „Express" i drukarnię, a cała reszta majątku była jedynie dzierżawiona. Tu pojawia się kolejna nieprawda, bo można przeczytać, że tę resztę dostaliśmy na podstawie jakiejś „ustawy Glapińskiego". A my to także kupiliśmy, w ramach normalnych procedur. Budynek, który jest dziś podstawą spółki Srebrna, kosztował nas 80 mld zł. Była to cena rynkowa.

Znów: skąd mieliście pieniądze?

„Express Wieczorny" – wbrew temu, co twierdzono – przynosił przez dłuższy czas spore dochody. Mimo oszustwa związanego z wyprowadzeniem z przedsiębiorstwa, jeszcze przed sprzedażą i bez obniżania jego ceny, „Super Expressu". Ta ostatnia gazeta powstała przecież na bazie dużej części zespołu, liternictwa, rubryk itd. „Expressu". Do tego szybko przekształciła się w gazetę poranną, co i nas, dotychczas popołudniówkę, zmusiło do zmiany rytmu wydawniczego. Ostatecznie szala przechyliła się na rzecz „Super Expressu", w dużej mierze w związku z przewagą finansową drugiej strony, i musieliśmy naszą gazetę sprzedać, nie było innego wyjścia.

Formułowane wobec pana zarzuty związane z prawną stroną tego wszystkiego są chyba jednak wtórne. „Wyborcza" najbardziej się cieszyła na myśl, że oto niszczy pana wizerunek jako człowieka raczej ascetycznego. Wiadomość, że prezes Kaczyński był zaangażowany w budowę wieżowca, miała wstrząsnąć Polską.

Ale jednak sugerowali konsekwentnie, że ten majątek został przejęty w jakiś dziwny sposób, w oparciu o przywilej polityczny. Tymczasem to,

eprasa.pl df9b070253

Fot. Andrzej Wiktor

> Jestem głęboko przekonany, że na tych nagraniach, przynajmniej z moim udziałem, nie ma niczego zdrożnego, nie ma żadnych sensacji, co najwyżej mogłem sobie z kogoś zażartować

co najpierw dzierżawiliśmy, kupiliśmy normalną drogą, i to w latach, gdy nie było nas w parlamencie, gdy byliśmy zwykłymi obywatelami, a przy władzy byli komuniści, którzy przecież nam nie sprzyjali. Po prostu ogłoszono ofertę sprzedaży i każdy mógł przyjść, zaproponować swoją cenę. Do końca nie byliśmy pewni, czy ktoś nie wyłoży więcej. Okazało się, że na ówczesnym warszawskim rynku, w połowie lat 90., nikt za ceny realnie rynkowe nie chciał kupować.

Bo nie było jeszcze zagranicznego kapitału, który dziś inwestuje w nieruchomości?

To też. Ale ówczesny biznes poszukiwał wówczas przede wszystkim złotych okazji, często pomagając sobie w nielegalny sposób. Co także ważne, nasza Fundacja Prasowa „Solidarność" wykonywała wówczas swoje obowiązki. Wydawała mnóstwo pism, przez jakiś czas nawet dziennik „Nowy Świat", wspierała bardzo liczne wydawnictwa prawicowe, wiele z nich wręcz uratowała, bo zazwyczaj szybko popadały w kłopoty. Zaczął wychodzić tygodnik „Nowe Państwo", pożerający nasze niemal wszystkie dochody, ale dający pracę sporej grupie dziennikarzy, którzy nie mieli zajęcia po tym, gdy odeszli z „Życia Warszawy".

Jak wówczas, w latach 90., wyglądały relacje Porozumienia Centrum i fundacji?

Były to związki jedynie personalne, niezinstytucjonalizowane. Rada fundacji liczyła zwykle siedem osób, w tym trzy z członków PC, od jesieni 1992 r. tylko dwie. Od jesieni 1993 r. jedynym członkiem PC w radzie byłem ja. Byli też obecni dwaj biskupi: bp Tadeusz Gocłowski oraz bp Roman Andrzejewski. Bo to nie była instytucja partyjna, ale szersza. Fundacja nie mogła, nawet gdyby chciała, nic partii dać. Była jedna pożyczka, o której pisała „Wyborcza", ale została ona rozliczona w sposób, który sądy uznały za zgodny z prawem. Mimo że był to czas, gdy byliśmy atakowani ze wszystkich stron. Już dużo później majątek fundacji zakwestionowali także pan Tusk i pani Gronkiewicz-Waltz. Sprawa oparła się aż o Sąd Najwyższy, i też wygraliśmy. Bo wszystko było lege artis. Były również wielkie kontrole warunkowane politycznie za czasów AWS i nic nie wykazały. Były też próby niszczenia fundacji przez nałożenie podatku, decyzja o nim została uchylona później przez sąd. Jeszcze raz podkreślam – przewodniczenie fundacji jest funkcją honorową i nie daje żadnych dochodów.

Powrócę jednak do pytania o nadzieje redaktorów „Wyborczej", którzy sądzili, że niszczą pana wizerunek.

Jeśli sądzili, iż mój wizerunek sprowadza się do tego, że żywię się wodą i chlebem, a o gospodarce nie mam zielonego pojęcia, to mogę im

eprasa.pl df9b070253

powiedzieć tylko jedno: to wizerunek nieprawdziwy. Żyję skromnie, może nawet bardzo skromnie, jak na człowieka znanego w Polsce i także trochę poza nią [śmiech]. A tego, że jestem przewodniczącym rady fundacji i że z tego wynikają pewne obowiązki, nigdy nie ukrywałem.

Za radością redaktorów z Czerskiej kryło się też marzenie, że tak jak taśmy z Sowy & Przyjaciół pogrążyły Platformę, tak oni w końcu znajdą magiczny diamencik, może także taśmy, który pogrąży PiS.

Tyle że na tych taśmach nie ma przekleństw, nie ma omawiania żadnych nielegalnych działań, nie ma korupcji. Jest poszukiwanie wyjścia z trudnej sytuacji, przy nacisku na legalność działań. To również nie narusza mojego wizerunku. Muszę jednak prostować te wszystkie kłamstwa i sugestie, których celem jest prezentacja naszych działań jako czegoś podejrzanego.

Jaki jest kontekst rozmowy, której stenogram opublikowały media? Dlaczego Gerald Birgfellner nagrywał?

Cały problem polega na tym, że nieruchomość na Srebrnej już od lat była pewnego rodzaju wyzwaniem dla spółki. Tam stoi bowiem stary dom, który jest wynajmowany na biura, ale to nie przynosi specjalnych zysków, właściwie starcza na opłaty. Istniejący tam parking również przynosi niewielkie dochody. To wszystko jest w kiepskim stanie, dziś substandardowym. Już w latach 90. myśleliśmy, czy czegoś z tym nie zrobić, prowadziliśmy jakieś luźne rozmowy, ale bez konkluzji, wyjąwszy nieuczciwe propozycje, które czasem słyszeliśmy, lub próby oszustwa. I tak to trwało przez dekady.

Ale po co w ogóle chcieliście budować te „wieże"?

Od wielu lat mam takie marzenie, które jest w pełni legalne, choć może się nie podobać w pewnych środowiskach, by Instytut Lecha Kaczyńskiego stał się poważną konkurencją dla Fundacji Batorego. Bo dziś Batory właściwie nie ma konkurencji, także gdy chodzi o staranie się o różne zagraniczne fundusze. Byłoby to poważne przedsięwzięcie typu ideowego, może coś w rodzaju Fundacji Adenauera, stanowiące istotne zaplecze polskiego patriotyzmu i myśli państwowej.

I te budynki miały być wehikułem zapewniającym instytutowi stałe finansowanie?

Tak. To miała być nowoczesna inwestycja, z częścią biurową, ale także z hotelem i centrum konferencyjnym. W pierwszych latach, w czasie spłacania kredytu, pozwalałoby to uzyskać dochody, choć znacznie mniejsze niż to, co ma Batory. W dalszym etapie, po spłacie zadłużenia, za około ćwierć wieku, kwota ta byłaby większa. Dawałoby to instytutowi ogromne możliwości działania. Ale oczywiście nie miałoby to nic wspólnego z moją osobistą sytuacją finansową, bo celem było wyłącznie choćby częściowe zrównoważenie szans na rynku idei w Polsce. I podkreślam – gmach miał być przeznaczony wyłącznie do zarabiania pieniędzy. Nie miało być tam siedziby fundacji. Propozycje, by były tam litery „JK" czy „LK", rzeczywiście padały, ale zdecydowanie je odrzucałem.

Sprawa stała w miejscu, dopóki nie pojawił się Gerald Birgfellner?

Tak. To mąż córki znanego w wielu warszawskich kręgach Jana Tomaszewskiego. Ze stylu jego życia wynikało, że jest człowiekiem zamożnym, miał także doświadczenie w branży deweloperskiej. Realizował, choćby w Amsterdamie, a także w Polsce, wielkie gmachy. I to on sam zainteresował się tą sprawą, twierdząc, że potrafi to poprowadzić. Deklarował, że z góry wynajmie część lokali i że uzyska kredyt w zachodnim banku. Z naszego punktu widzenia, biorąc pod uwagę problemy, na jakie trafialiśmy, takiej propozycji nie można było odrzucić.

Gerald Birgfellner zajął się więc sprawą, ale – jak wynika z taśm – kwestia inwestycji nie wyszła poza etap bardzo wstępnych przygotowań.

Sprawę opisała „Gazeta Wyborcza", którą poinformował, jak sądzę, któryś z podmiotów zewnętrznych zaangażowanych w przygotowania. A chwilę później dotarły do nas słowa Marcina Kierwińskiego, przez lata radnego Warszawy, który jednemu z naszych radnych powiedział jasno: „Wasz prezes nic nie wybuduje". To był pierwszy sygnał, że się nie da. Oczywiście można było zakładać, że jeśli zmieni się władza w Warszawie, przestaniemy być sekowani, ale – co słychać na taśmie – ja naprawdę nie byłem pewien, co zrobi Patryk Jaki, jeśli wygra w stolicy. Bo gdyby został prezydentem, być może bałby się hejtu i odwlekał decyzję. Nie byłem też przekonany, że Jaki wygra w Warszawie. Liczyłem na dobry albo bardzo dobry wynik.

I wówczas, gdy stało się jasne, że inwestycja zostanie zablokowana i trzeba ją przynajmniej odłożyć, powstał problem rozliczenia się z Geraldem Birgfellnerem.

Tak. Byłem pod pewnym naciskiem moralnym ze strony tej części rodziny, bo oni się tu sprowadzili, kupili sobie tu dom, a ten Austriak doszedł chyba do wniosku, że będzie z tej inwestycji po prostu żył, i to dobrze. Może naczytał się tekstów, z których wynika, że ja tu wszystko mogę. Problem w tym, że nie było podstawy prawnej do zapłaty. Wcześniej wielokrotnie proszono tego pana, żeby zawarł umowę na jakieś konkretne pieniądze, obejmującą to, co robi.

A co robił konkretnie?

Prowadził rokowania z bankiem Pekao SA, a nie z zachodnim bankiem, jak miał uczynić. I robił to z własnej, nie mojej, inicjatywy. Poza tym Birgfellner ściągnął z Wiednia profesora architektury, którego klasy i pozycji nie podejmuję się weryfikować. I to ten profesor przedstawił koncepcję dwóch wież, dziś wszędzie prezentowanych. Architekt, który na naszą prośbę, społecznie, przyglądał się działaniom owego profesora, twierdzi, że tego typu projekt przy dzisiejszych możliwościach, dzięki komputerom, można zrobić w ciągu kilkunastu godzin. Birgfellner stale też narzekał,

eprasa.pl df9b070253

że jest źle w spółce traktowany, choć nikt mu żadnej krzywdy nie zrobił. W końcu przedstawił rozliczenie w wysokości 2,5 mln zł, w tym rachunek potwierdzony przez firmę doradczą Baker McKenzie na 101 tys. euro w odniesieniu do spółki Nuneaton.

To była jego spółka?

Birgfellner kupił tę spółkę, rozpoczynając działalność w Polsce w firmie zajmującej się sprzedażą spółek, później odkupiła ją Srebrna. W każdym razie poza tym rachunkiem na 101 tys. euro przedłożył jeszcze parę niewielkich rachunków na kwotę tysiąca lub dwóch, i nic więcej. Nie było nawet rachunku za pracę wiedeńskiego architekta. Do owych 2,5 mln wciąż było daleko. Prosiliśmy więc o rachunki, ale tych nie było. Ja sam na początku namawiałem władze Srebrnej, by zapłaciły, bo sądziłem, że odpowiednia dokumentacja istnieje i zostanie dostarczona. Ale i zarząd, i rada nadzorcza nie zgodziły się, bo nie miały do tego żadnych podstaw. W odniesieniu do owych 101 tys. prosiliśmy McKenzie, by przenieśli roszczenia z Nuneaton na Srebrną, ale na to z kolei oni się nie zgodzili. I tak doszło do tej sytuacji, do tych rozmów, w trakcie których powiedziałem mu: to idź do sądu, ja zeznam, że zrobiliście to, co zrobiliście, niech sąd to zweryfikuje i poda kwotę. Inaczej nie mogłem się zachować zarówno z powodów prawno-moralnych, jak i dlatego, że choć czytam o sobie, iż jestem krwawym, faszystowskim dyktatorem, to nie mogę zmusić ani zarządu, ani rady do akceptacji rachunku bez podstaw. Oni szybciej podaliby się do dymisji, niż to zaakceptowali. A potem kontakty się urwały, aż wreszcie ukazały się te publikacje.

Pana zdaniem kwota 2,5 mln była uzasadniona?

Trudno mi szacować, ale powtarzam – rachunków było niewiele. Z mojej wiedzy wynika, że pan Birgfellner zajmował się dwiema sprawami: projektem i rozmowami z bankiem. Zresztą – jak się okazało – z bardzo ograniczonym skutkiem, bo wynegocjował tylko promesę na niewielki kredyt na działania przygotowawcze, zabezpieczony przy tym, wbrew temu, co było mu mówione, nie tylko na działce Srebrnej (dużo więcej wartej niż kredyt), lecz również na innych elementach majątku Srebrnej. Poza tym, jak wspomniałem, sprowadził architekta. Może załatwiał też jakieś inne kwestie, ale nic o tym nie wiem.

> Adwokaci chcący po prostu bronić interesów Geralda Birgfellnera zwróciliby się do sądu cywilnego i wytoczyli sprawę z roszczeniami. Jeśli zwrócili się do prasy, to cel w istocie był inny

Po co i od kiedy Birgfellner nagrywał te rozmowy? Nagrania miały być elementem nacisku?

Nie wiem, czy nagrywał mnie od początku, czy zaczął na którymś etapie. Na pewno starannie notował w kalendarzu wszystkie rozmowy, co też jest dziwne. Jego zdaniem tych spotkań było 16, moim zdaniem – o połowę mniej, ale nie wykluczam, że wliczał w to święta, podczas których się widywaliśmy. Na pewno nie było żadnej próby wykorzystania tych nagrań do nacisku czy jakiegoś szantażu, któremu i tak bym nie uległ.

Dlaczego Austriak poszedł akurat do Romana Giertycha? To wybór, który sugeruje grę polityczną.

To jest rzeczywiście poszlaka. Przede wszystkim adwokaci chcący po prostu bronić jego interesów zwróciliby się do sądu cywilnego i wytoczyli sprawę z roszczeniami. Jeśli zwrócili się do prasy, to cel w istocie był inny.

Już po publikacji „Wyborczej" Roman Giertych zamieścił wpis, w którym stwierdza: „Mój klient Gerard Birgfellner jest bardzo zasmucony faktem opublikowania dwóch taśm".

Nie wiem, z czego to wynika, może jest to związane z jego obecną sytuacją prawną lub rodzinną.

Jeśli Birgfellner nagrał więcej rozmów, czy mogą być tam wątki, które zostaną przeciwko panu wykorzystane? Jest pogłoska, według której zaleca pan swojemu rozmówcy założenie firmy w Austrii ze względu na wysokie podatki w Polsce.

Nie, ja niczego takiego nie powiedziałem. Na żadną zagranicę na pewno się nie zgodziłem. To on zaproponował powołanie spółki komandytowej, która płaciłaby niższe podatki. Opowiedziałem się za powołaniem spółki z o.o. Jestem głęboko przekonany, że na tych nagraniach, przynajmniej z moim udziałem, nie ma niczego zdrożnego, nie ma żadnych sensacji, co najwyżej mogłem sobie z kogoś zażartować.

Żartował pan także na taśmach już ujawnionych. Karierę zrobił dialog o piżamie.

Żonę pana Birgfellnera, Karolinę, która podczas tych rozmów pełniła funkcję tłumacza, znam od dzieciństwa, jest moją daleką krewną. Dlatego zapytałem ją żartobliwie o te dziurawe spodnie, które przypominały mi piżamę. Ona mi zaczęła mówić, że to modne.

Na co pan: „Ja cię nie mogę". To sformułowanie zrobiło sporą karierę.

Rzeczywiście odpowiedziałem: „Ja cię nie mogę", choć zwykle tak nie mówię.

„Wyborcza" opublikowała w miniony czwartek rzekomą fakturę, która ma potwierdzać jej narrację?

Po pierwsze, taki dokument nie wpłynął w czerwcu do spółki, a powinien do niej trafić. Po drugie, z informacji medialnych wynika, że nie zapłacono od niej podatku VAT, co potwierdza, że to dokument specjalnego rodzaju. Tak przy okazji pokazuje to też szczególne połączenie zaciekłości, złej woli i ignorancji tych, którzy prowadzą tę akcję.

eprasa.pl df9b070253

„Gazeta Wyborcza" powinna naprawdę uważać, zarzucając komukolwiek nieetyczne wzbogacenie się na państwowym majątku. Jej historia, a zwłaszcza początki, to opowieść o cwaniakach, którzy „pierwszy milion"... po prostu sobie wzięli

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Uwłaszczeni na „Wyborczej"

Adam Michnik w swojej gazecie: „Okrągły Stół to największy sukces polskiej polityki w XX w. Może jeszcze Bitwa Warszawska i zwycięstwo nad bolszewikami. Ale to w końcu była wojna, a przy Okrągłym Stole Polacy sami potrafili się porozumieć".

Mając na uwadze genezę powstania „Wyborczej", jej przywileje oraz osobiste zdyskontowanie rynkowego powodzenia tego przedsięwzięcia przez główne postacie tego środowiska, przeświadczenie szefa „GW" o sukcesie negocjacji z komunistami nabiera dodatkowego znaczenia. Pozwala też lepiej zrozumieć toast, który Michnik

wznosił w Magdalence „za zdrowie pana generała" Kiszczaka.

Okrągły stół poza wymiarem historycznym, politycznym, ekonomicznym czy społecznym miał bowiem jeszcze jeden wymiar, który zdecydował o kształcie III RP. Wymiar medialny. To tam ustalono, jak jedno, bardzo konkretne i wąskie środowisko uzyska specjalne przywileje. Odpowiednie ich spożytkowanie da mu zaś w niedalekiej przyszłości możliwość zbicia osobistych fortun. Tak właśnie się stało. Liderzy „Gazety Wyborczej" uwłaszczyli się na państwowym majątku, grzebiąc przy tym podnoszone w 1989 r. idee i brutalnie łamiąc własne deklaracje.

TO NIE BYŁA DAROWIZNA

„Gazeta" w ostatnich tygodniach z pasją zajmuje się majątkiem spółki Srebrna. Sugeruje wręcz – jak w wywiadzie z prof. Radosławem Markowskim – że PiS okrada Polaków. Nadmuchana do granic wytrzymałości „afera" ma być początkiem końca partii rządzącej. „[...] ludzie mobilizują się politycznie i wyborczo wtedy, gdy nabierają poczucia, że władza sobie po prostu z nich kpi, ma obywateli za nic. Liczna grupa Polaków – ciężko pracujących, płacących wysokie podatki – pewnie się zorientowała, że efekty ich pracy są transferowane na rzecz obozu władzy, a dokładnie – jednej partii u władzy" – mówi Markowski Agnieszce Kublik.

Warto więc przypomnieć (opowiada o tym szczegółowo Jarosław Kaczyński w wywiadzie w tym numerze „Sieci"), skąd się wzięła rzekoma fortuna prezesa PiS. Że nikt w tym przypadku nikomu niczego nie dał, nikt niczego nie ukradł. Gdy Sejm w 1990 i 1991 r. podzielił majątek pozostały po Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa–Książka–Ruch", jako nowi właściciele preferowane były partie polityczne. Tytuł „Express Wieczorny" i drukarnię kupiła Fundacja Prasowa „Solidarność", czyli oficyna prasowa Porozumienia Centrum. Podkreślmy: kupiła w przetargu, do którego stanęły wówczas m.in. Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe (ZPR), a transakcję o wartości 16 mld zł umożliwił kredyt udzielony przez Bank Przemysłowo-Handlowy. Podobnie było z ziemią i budynkiem, który jest obecnie podstawą majątku spółki Srebrna – także kupiono je po cenie rynkowej. Warto dodać, że sprawa Srebrnej – jak przypomniał w TVP minister sprawiedliwości i prokurator generalny Zbigniew Ziobro – była sprawdzana przez śledczych przez dwa lata, gdy szefem prokuratury był Zbigniew Ćwiąkalski. To postępowanie zakończyło się umorzeniem w 2009 r., podobnie jak rok później czynności sprawdzające tę decyzję przez sąd. Sprawa była prowadzona z zawiadomienia ówczesnej prezydent Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Wróćmy do wywiadu z politologiem Markowskim, który wieszcząc upadek PiS po sensacyjnym serialu „Wyborczej", stwierdził, że „lud pisowski przejrzał na oczy i zaczyna się odwracać od swojego bożyszcza" oraz „że to klasa średnia, ciężko pracujący ludzie odprowadzający pieniądze do budżetu, zaczyna dostrzegać, że rządzący kpią z nich, że ich po prostu wykorzystują i mają za nic proste zasady i wartości sfery publicznej". Najbardziej osobliwe jest to, że słowa te padają na łamach gazety, której czołowe postacie dorobiły się prywatnych fortun na powierzonym im publicznym majątku.

MILIARD W PREZENCIE

Równo 10 lat temu prof. Ryszard Bugaj, działacz opozycji w PRL, uczestnik obrad okrągłego stołu i były przewodniczący Unii Pracy, napisał dla „Dziennika" tekst zatytułowany: „Jak uwłaszczali się ludzie »Wyborczej«". To rozbrajająca analiza, w której zarzuca on „ludziom »Wyborczej«" „podstępne przechwycenie głównego instrumentu działania, tj. »Gazety Wyborczej«, i uwłaszczenie się na jej majątku". Bugaj pisze o momencie, w którym spółka z o.o. stała się spółką akcyjną. „W momencie przeprowadzenia całej operacji »Gazeta« była u szczytu swoich politycznych wpływów i pewnie dlatego prawie żadne medium (z publiczną TV na czele) nie ekscytowało się tym największym chyba uwłaszczeniem III RP. [...] »na starcie« około 100 wiodących postaci Agory (w tej liczbie chyba L. Maleszka) otrzymało majątek w akcjach wart około 1 mld zł (największy pakiet był wart około 20 mln USD – wg ówczesnego kursu)" – czytamy w „Dzienniku".

Dalej Bugaj pisze: „Zbigniew Bujak (członek rady nadzorczej Agory), zawsze mi mówił, że to zupełnie bezinteresowne przedsięwzięcie. Nagle jednak się okazało, że [...] jej wpływowi ludzie (ale – co trzeba podkreślić – z wyjątkiem Michnika, choć – niestety – z udziałem Bujaka) otrzymują w postaci akcji (uzyskanych praktycznie za darmo) gigantyczne majątki. Zasada rozdziału akcji była inna niż przy prywatyzacji państwowych przedsiębiorstw, gdzie znaczenie rozstrzygające ma staż pracy. W Agorze liczyły się zasługi (które „zasłużeni" sami określali) i dlatego najważniejsi (na pierwszym miejscu w tej hierarchii są Niemczycki, Łuczywo i Rapaczyńska, ale wysoko lokują się też Rawicz, Pacewicz, Blumsztajn, Skalski i wielu innych) otrzymują (w zbywalnych akcjach) majątek wart – w skrajnych przypadkach – dziesiątki milionów. Płotki na samym dole otrzymują po kilka tysięcy złotych".

Warto się zatrzymać przy stwierdzeniu o gazecie, która „była u szczytu swoich politycznych wpływów". Co to oznaczało w praktyce? Ryszard Bugaj wyjaśnia: „Chyba pod koniec 2000 r. z inicjatywy Ministerstwa Finansów wniesiono projekt zmian do ustawy o podatkach od osób fizycznych. Pozwalała ona uniknąć podatku od dochodu ze sprzedaży akcji, nabytych wcześniej w obrocie niepublicznym. Ulga przysługiwała w zamkniętym okresie – do końca 2003 r. Oznaczało to, że mogli z niej skorzystać tylko ci, którzy nabyli akcje odpowiednio wcześniej. Dziennikarze zauważyli, że w praktyce jest to przywilej dla bardzo niewielkiej grupy. Potencjalnie szczególne znaczenie miało to dla osób, które uzyskały bardzo duże pakiety akcji Agory. Oszacowano (»Rzeczpospolita« z 3.02.2003), że ta grupa mogłaby »zaoszczędzić« na podatku (przy ówczesnym wysokim kursie akcji Agory) maksymalnie prawie 600 mln zł". Ostatecznie nie udało się rozstrzygnąć, czy Agora zabiegała o tę ulgę. Nie wiadomo także, czy z powodu wadliwego prawa ucierpiał budżet. Być może to więc przypadek...

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl df9b070253

NIEMORALNI JAK KOMUNIŚCI

Na preferencyjne potraktowanie jednego środowiska zwracał wielokrotnie uwagę Stanisław Remuszko, przez pierwszy rok dziennikarz „Gazety Wyborczej", który odszedł z redakcji, gdy tylko zaczęło się „dzielenie się" spółką w wąskim gronie. Później, m.in. w książce „»Gazeta Wyborcza«. Początki i okolice", ujawnił kulisy pierwszego okresu działalności firmy.

Wskazywał, że tylko w tym jednym przypadku nowo powstający tytuł mógł liczyć na papier, druk, kolportaż, lokal, transport, łączność czy kredyty. „Wszystko to »Gazeta« dostała za friko, ale przecież czerwoni nie przydzielili jej swojej prywatnej własności, tylko majątek państwowy, który należał do całego społeczeństwa, do wszystkich Polaków. Dochodzą do tego absolutnie wyjątkowe i dosłownie bezcenne imponderabilia: znaczek symbol »Solidarności«, szalony popyt milionowych rzesz czytelników oraz brak rynkowych rywali. W takich warunkach nie startowało nigdy żadne pismo na świecie. Żyć, nie umierać!" – mówił w wywiadzie dla nieistniejącego już portalu Netbird.

Co zdecydowało o jego odejściu z „GW"? „Kroplą, która przelała miarę, była niepozorna niebieska kartka, którą w maju 1990 r. znalazłem, podobnie jak wszyscy pracownicy, w swej redakcyjnej skrytce. Helena Łuczywo i Grzegorz Lindenberg informowali, że trzej założyciele Agory – Zbigniew Bujak, Aleksander Paszyński i Andrzej Wajda – formalnie podzielili się tą spółką z szesnastoma redaktorami »Wyborczej« (tu następowały nazwiska). Natychmiast poprosiłem szefostwo o wyjaśnienie kulis i celów tej »przekształceniowej operacji«, ale nigdy żadnej odpowiedzi nie dostałem. Dwa miesiące potem złożyłem wymówienie".

Remuszko uwłaszczenie się wierchuszki Agory porównuje do nomenklaturowych spółek zakładanych w latach 80. przez komunistycznych aparatczyków, które służyły do prywatyzowania państwowego majątku: „Wspólną cechą jest niemoralne uwłaszczenie się tym majątkiem – po roku przez szesnastu członków kierownictwa redakcji, po następnych zaś dziewięciu latach przez stu głównych właścicieli akcjonariuszy, których nazwiska do dziś pozostają ściśle tajne".

Remuszko w swojej książce przytacza też, w jak osobliwy sposób na sprawę uwłaszczenia patrzyli jej bohaterowie. Wspomina stanowisko Wandy Rapaczyńskiej i Ernesta Skalskiego: „To, że byliśmy we właściwym miejscu i we właściwym czasie, to jest dar od Pana Boga". No cóż... jedni, gdy akurat potrzebowali, wygrywali po wielokroć w totolotka, innych Opatrzność po prostu odpowiednio lokowała „w miejscu i czasie".

> Agora nieustannie pracuje na styku biznesu, polityki i ideologii. To może tłumaczyć, dlaczego w 2016 r. 11 proc. akcji spółki kupił miliarder i spekulant George Soros

Pytanie, kto kazał im łamać własne zasady, swoiste „przykazania" – „Kartę »Gazety Wyborczej«" (opublikowana została dopiero w 1995 r., a przypomniana w „Dzienniku" po tekście prof. Bugaja)? Dwustronicowy dokument sygnowany Zgromadzenie Wspólników „Agory-Gazety" zawiera sześć punktów. Większość opisuje ideały, cele rynkowe dziennika, sposób traktowania pracowników. Na końcu widnieje akapit: „Udziałowcy Agory mają uprawnienia decyzyjne, lecz nie czerpią z tytułu własności żadnych korzyści materialnych. Przysługuje im jedynie odprawa, gdy zrzekają się swojego udziału". Jak już wiemy, udziałowcy czerpali owe korzyści materialne. I to pokaźne.

PRAWDZIWE IMPERIUM

„GW" zwalczane przez siebie środowiska medialne lubi wyzywać od imperiów, wyolbrzymiać ich majątek, budować sugestię, jak się „nachapali", gdy w rzeczywistości to niewielkie i zazwyczaj skromne przedsięwzięcia, które mogą tylko pomarzyć o choćby ułamku zasobów Agory.

Faktyczne imperium ma siedzibę przy ul. Czerskiej w Warszawie. To prawda – ośrodek ten potrafił rozmnożyć majątek, skutecznie poprowadzić swoje interesy. Ale retoryczne pozostanie pytanie, czy dałoby się zepsuć takie prezenty, jakie w wyniku okrągłego stołu spółka dostała od komunistów.

Dziś obraca miliardami. Na same inwestycje w najbliższych czterech latach ma zaplanowane, bagatela, 930 mln zł. Według strategii firmy w 2022 r. osiągnie ona wpływy na poziomie 1,6 mld zł. To jeden z największych koncernów medialnych w Polsce. Poza gazetami i czasopismami ma firmę reklamy zewnętrznej (AMS), sieć kin Helios, kilka potężnych portali internetowych oraz cztery ponadregionalne sieci radiowe nadające w największych miastach. Zawsze mało, gigant wciąż chce rosnąć. Nie zważając na wątpliwości dotyczące zmonopolizowania rynku radiowego, próbuje kupić jedną z największych ogólnopolskich stacji – Radio Zet (wedle medialnych doniesień ofertę zakupu stacji miała też złożyć spółka Fratria).

Agora nieustannie pracuje na styku biznesu, polityki i ideologii. To może tłumaczyć, dlaczego w 2016 r. 11 proc. akcji spółki (za ponad 50 mln zł) kupił miliarder i spekulant George Soros, szwarccharakter zajmujący się międzynarodową polityką oraz inżynierią społeczną. A używa do tego również mediów.

Kombinat Agora służy oczywiście mnożeniu zysków, ale też sprawowaniu (coraz mniej skutecznemu) rządu dusz i „wychowywaniu" kolejnych pokoleń – jak mają myśleć, kogo popierać, kim gardzić, komu przyklaskiwać, a jakie wartości wyszydzać.

Jakże to odległe od początkowych założeń. Handicap „Gazety Wyborczej" polegał bowiem na tym, że już w momencie pojawienia się na rynku pierwszego numeru miała ona być wyczekiwanym głosem całej antykomunistycznej opozycji. Grupa cwaniaków błyskawicznie przerobiła tę nadzieję na kasę.

106/0119/F

eprasa.pl df9b070253

Zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne Polski

Jesteśmy liderem na rynku gazu ziemnego w Polsce. Poszukujemy i wydobywamy gaz ziemny i ropę naftową w kraju i za granicą. Importujemy i sprzedajemy gaz, w tym LNG. Dywersyfikujemy źródła dostaw.

PGNiG

eprasa.pl df9b070253

Fasolka po bretońsku na początek

Swoją polityczną karierę zaczął z rozmachem, a kończy fatalnie. Stefan Niesiołowski stał się bohaterem afery korupcyjno-obyczajowej. Dla niektórych nie jest to wcale zaskoczeniem, a niepokojące wątki odnajdują już w jego przeszłości

MAJA NARBUTT

Mówiło się o tym na sejmowych korytarzach – powiedział dziennikarzom lider PO Grzegorz Schetyna, gdy pytano go o doniesienia CBA. Śledczy ujawnili, że Niesiołowski załatwiał trzem biznesmenom wielomilionowe kontrakty w zamian za sponsorowane spotkania z prostytutkami.

W tym, co mówił Schetyna, nie było oburzenia, że posłowi identyfikowanemu przez lata z Platformą stawia się niezwykłe przecież zarzuty. Nie było nawet zdziwienia, lecz wręcz sugestia, że sprawa jest dobrze znana od dawna. Beznamiętny komentarz niósł też z sobą zapowiedź, że nikt nie zamierza walczyć w obronie dobrego imienia Niesiołowskiego.

Byłoby to zresztą trudne. Każdy dzień przynosi nowe rewelacje. Tabloidy ujawniają pikantne szczegóły afery. Ledwie zdążyliśmy ochłonąć z wrażenia, że pod Stefanem Niesiołowskim podczas schadzek załamało się łóżko, a już się dowiedzieliśmy, iż biznesmeni przesyłali mu zdjęcia prostytutek, by mógł je wybrać. Wkrótce potem wyciekły zeznania, z których wynika, że skarżyły się na skąpstwo posła, który nigdy nie dał żadnego napiwku. Poznaliśmy nawet fakt, że przed erotyczną konsumpcją poseł zwykł konsumować fasolkę po bretońsku.

Każdy ujawniony fakt to kolejny cios w wizerunek Niesiołowskiego. Właściwie legł już w gruzach. Trudno politykowi odbudować swą reputację, gdy stał się niewyczerpanym źródłem memów i dowcipów. I w wieku 75 lat, pod koniec kariery, zaczął funkcjonować w przestrzeni publicznej jako „jurny Stefan".

eprasa.pl df9b070253

Jeśli jednak spojrzy się na sprawę poważnie, nasuwa się pytanie, czy już wcześniej w biografii Niesiołowskiego nie było sygnałów, że podobna afera może się wydarzyć. A także – jak zostanie zapamiętany, gdy zejdzie z politycznej sceny.

PUNKT ZWROTNY

– Gdyby Niesiołowski dostał się na wyborcze listy PiS, byłby heroldem IV RP. Punktem zwrotnym stała się jednak decyzja Kaczyńskiego, który nie chciał go w swej partii. Tak samo odrzucił w 2001 r. Michała Kamińskiego. Tyle że Kamiński poszedł do Kanossy i w końcu dostał się do PiS, a Niesiołowski śmiertelnie się obraził – opowiada Ryszard Czarnecki, eurodeputowany PiS, a kiedyś podobnie jak Niesiołowski jeden ze współzałożycieli ZChN.

To niejedyna taka relacja. Wielu polityków mówi o roku 2001 jako przełomie w politycznym życiu Niesiołowskiego. Rozpadała się AWS, jej posłowie starali się dostać na listy gwarantujące sukces wyborczy. Sam Niesiołowski zdecydowanie zaprzecza, że w ogóle chciał kandydować z list Prawa i Sprawiedliwości, oraz nazywa to „ohydnym pisowskim kłamstwem". Groził wręcz procesami sądowymi politykom, którzy będą o tym mówić.

Problem polega na tym, że jest dużo osób, które właśnie tak zapamiętały wydarzenia sprzed lat. Jedną z nich jest właśnie Michał Kamiński, dziś kolega Niesiołowskiego w klubie PSL-UED. W książce „Koniec PiS-u", wywiadzie rzece, który przeprowadził z nim Andrzej Morozowski, barwnie opisał, jak Kazimierz Marcinkiewicz grobowym głosem mówi, że Kaczyński nie widzi miejsca na liście dla Kamińskiego i Niesiołowskiego.

– Nagle, właściwie z dnia na dzień, zmieniło się to, co Stefan mówił o Kaczyńskich. Byli dla niego wybitnymi politykami, a nagle zaczął ich określać jako szkodników Polski, nie szczędził im epitetów – wspomina jego znajomy.

Najbardziej interesująca część tej historii, zwłaszcza w kontekście obecnej afery, dotyczy przyczyn, dla których dla Niesiołowskiego nie było miejsca na liście wyborczej PiS. Otóż do Jarosława Kaczyńskiego miały dotrzeć pogłoski, że Niesiołowski bardzo zaangażował się we wspieranie firmy Banpol, która w 1998 r. zawarła z Pocztą Polską niekorzystne dla tej instytucji umowy. W swoim czasie w „Newsweeku" wspominano nawet o reklamówce pieniędzy, którą podobno usiłował wcisnąć ministrowi łączności Niesiołowski.

Zapewne też związków ówczesnego posła AWS z Banpolem dotyczy przytaczana niedawno przez Piotra Zarembę opowieść o przyjęciu z 1998 r. Podczas rautu prezes firmy, której zależało na kontrakcie z Pocztą Polską, ciągnął za rękę atrakcyjną hostessę, wołając: „Panie Stefanie, proponuję Marzenę!".

Historia sprzed kilkunastu lat miałaby świadczyć, że Niesiołowski nie pierwszy raz zaangażował się w lobbowanie na rzecz jakiejś firmy. A także o tym, że preferował specyficzną formę gratyfikacji.

Te niebezpieczne związki nie przeszkodziły mu w dostaniu się do Senatu z list Platformy w 2005 r. Wydobył się z politycznego niebytu i w sposób oczywisty był za to wdzięczny Donaldowi Tuskowi, który jest jego politycznym idolem.

Złośliwi przypominają, co kilka lat wcześniej mówił o Platformie, określając ją jako ugrupowanie bezideowe, „dające popisy hipokryzji i cynizmu, dość skutecznie żerujące na znanych fobiach, ignorancji i naiwnej wierze ludzi zniechęconych do polityki".

To wszystko potem poszło jednak w niepamięć. Niesiołowski został politycznym fighterem PO, brutalnie atakującym jej przeciwników. Zastąpił w tej roli Janusza Palikota.

Była jednak między nimi pewna różnica. Palikot przeprowadzał swoje ataki na zimno, z wykalkulowanym cynizmem starając się sprowokować przeciwników do nieprzemyślanych reakcji. Niesiołowski sprawiał wrażenie osoby, która nad sobą nie panuje i traci kontrolę nad sytuacją. Nawet kiedy zaczynał spokojnie, to po chwili puszczały wszelkie tamy i płynął coraz gwałtowniejszy słowotok charakterystycznych obelg typu „bezczelne łgarstwa", „brednie", „ćwok", „kretyn", „kanalia", „kandydat do szpitala psychiatrycznego".

Fot. Anna Abako/East News

eprasa.pl df9b070253

ZAWSZE NA SZPICY

– Stefan nie ma poglądów. Jest za to bezwzględnie lojalny wobec układu, w którym znajduje się w danej chwili. Zawsze na szpicy, gotów do obrony. A ponieważ najlepszą formą obrony jest atak, zaciekle szarżuje na przeciwników. Przejmuje system wartości otoczenia – mówi mi dawny kolega Niesiołowskiego z czasów Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego.

Jak wspomina, kiedy się poznali, Niesiołowski był zażartym antykomunistą. W naturalny sposób wyniósł to z domu. Jego wujek Tadeusz Łabędzki, przedwojenny działacz Stronnictwa Narodowego, żołnierz wyklęty, został zakatowany w czasie przesłuchań przez UB. Ale kiedy w III RP Niesiołowski zbliżył się politycznie do ludzi, dla których antykomunizm nie był wartością, szybko zaczął się przyjaźnić z politykami SLD.

Droga, którą przeszedł Niesiołowski od początków swej politycznej kariery, jest długa i kręta. Zaprzeczył właściwie wszystkiemu, o co walczył. I dotyczy to również wartości, które były dla niego najważniejsze. Dawni koledzy, z którymi zakładał ZChN, widząc na ekranach telewizorów, jak uczestniczy w „czarnych protestach", przecierali ze zdumienia oczy. Pamiętali przecież jego radykalizm – w latach 90. twierdził, że nie ma ochrony życia poczętego, jeśli nie karze się kobiet za aborcję.

– Niesiołowski zachowuje się jak piłkarz, który kiedy gra w Manchesterze United, to atakuje graczy Arsenalu. Ale potem przechodzi do Arsenalu i za wszelką cenę chce strzelać gole swej dawnej drużynie – mówi mi były wpływowy polityk ZChN.

Po latach byli koledzy Niesiołowskiego doszli do podobnych wniosków – idee są dla niego sprawą wtórną. Liczy się obecność w polityce, upajająca świadomość, że jest w centrum wydarzeń. To może uzależniać – reporterzy, którzy biegną za posłem po sejmowych korytarzach, prosząc o komentarz, bezustanne zaproszenia do studiów telewizyjnych.

Jak każda osoba uzależniona, Niesiołowski bardzo źle znosi sytuację przymusowej abstynencji. Jak mówią jego znajomi, najgorszym czasem były dla niego cztery lata, w których po nieudanym starcie z list Akcji Wyborczej Solidarność znalazł się w 2001 r. poza Sejmem. Wrócił na Uniwersytet Łódzki, zrobił profesurę, ale był wyraźnie sfrustrowany.

– Dręczył siebie i innych. Chodził na obrony prac magisterskich i doktorskich, na które nie był zaproszony. Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy w końcu wrócił do polityki– opowiada jego znajomy.

Polityka jest najwyraźniej dla Niesiołowskiego sposobem, by publicznie zaistnieć. Jak bezlitośnie wyliczyli kiedyś dziennikarze, jego sejmowa aktywność, wyrażająca się w interpelacjach, jest mizerna, w przeciwieństwie do aktywności medialnej. Ta ostatnia jest dla niego bardzo ważna, o czym w groteskowy sposób świadczą opublikowane przez tabloidy przecieki ze śledztwa. Zgodnie z nimi miał esemesować do prostytutki z agencji towarzyskiej, by oglądała go w telewizji.

GRZESZNY, ALE POBOŻNY

Dwadzieścia kilka lat temu Stefan Niesiołowski miał dwa garnitury, lekko błyszczące – jeden z niebieskim połyskiem, drugi z zielonym. Tak zapamiętała go niejaka Anastazja Potocka. Pod tym arystokratycznym nazwiskiem kryła się znacznie bardziej pospolita Marzena Domaros, dziewczyna z peegerowskiej wsi, która w Sejmie pierwszej kadencji udawała dziennikarkę francuskiej gazety „Le Figaro".

Bardziej istotne niż estetyczne wrażenia Marzeny Domaros, która z racji błyszczących garniturów nazywała Niesiołowskiego „Chrabąszczem", były jej uwagi na temat zachowania reprezentującego ZChN posła. „Psychopatyczny erotoman. Każdy temat kończy się na seksie" – napisała o nim w książce „Erotyczne immunitety. Pamiętniki Anastazji P.".

Książka była nieprawdopodobnym bestsellerem, rozeszła się błyskawicznie w nakładzie 400 tys. egzemplarzy. Trudno się dziwić, że wryła się w pamięć czytelników i utrwaliła wizerunki polityków, z którymi spotykała się w Sejmie, a także w hotelu sejmowym, rzekoma Anastazja Potocka. Nieźle się przysłużyła Leszkowi Millerowi, kładąc fundamenty pod obraz samca alfa, władczego i męskiego polityka. Fatalnie – właśnie Niesiołowskiemu. Bo o ile nikt się nie spodziewa, że politycy lewicy będą zachowywać ascezę w kwestiach życia erotycznego, o tyle od ostentacyjnie katolickich polityków wyborcy mają prawo oczekiwać integralności moralnej. Niesiołowski wypadł podwójnie źle – Anastazja P. opisała jego rzekome namolne zabiegi o jej względy. Bezskuteczne, bo czuć miała do niego jedynie wstręt.

– Niesiołowski w naszym gronie bagatelizował całą sprawę. Dopytywaliśmy go oczywiście o Anastazję. Machał ręką i powtarzał: w moim wieku pozostają już tylko przyjemności stołu – wspomina jeden z jego ówczesnych partyjnych kolegów.

Jeśli wierzyć ostatnim ustaleniom CBA, 50-letni wówczas Niesiołowski zbyt pesymistycznie oceniał swoje możliwości.

Nie zawsze był tak skromny w swych opowieściach. W węższym gronie podobno chętnie sypał anegdotkami, które jego znajomi do dziś pamiętają. Odgrywał w nich rolę zdobywcy, ocierającego się o niebezpieczeństwo ze strony zazdrosnych mężów. Wyraźnie imponował niektórym posłom ZChN, czego nie ukrywają nawet dzisiaj. Zaskakująco łagodnie oceniają nawet ekscesy, których miał się teraz dopuścić. Słyszę wręcz, że nie należy nikogo oceniać ani potępiać, bo świadczyłoby to o pysze.

– Jeden z naszych liderów mówił o sobie: jestem człowiek grzeszny, ale pobożny. Ta zasada dotyczyła też innych posłów z naszego klubu – tłumaczy jeden z moich rozmówców.

Historia z rzekomą Anastazją Potocką została oczywiście wyciągnięta przez media przy okazji obecnej afery. Nie pomogło nawet, że w swoim czasie Niesiołowski pozwał ją za zniesławienie i wygrał proces. Anastazję P. zgubiło jej zamiłowanie do szczegółów, które opisywała, choć źle je pamiętała. Sąd na tej podstawie uznał, że rzekoma dziennikarka ma skłonność do konfabulacji.

PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ

Stefan Niesiołowski zawsze uchodził za kobieciarza. Nawet jego żona stwierdziła przed laty w wywiadzie, którego

eprasa.pl df9b070253

udzieliła prasie kobiecej, że „otoczony jest kobietami", lecz nie jest zazdrosna. Swoim kolegom z kręgów politycznych imponował jednak z innego powodu – swej opozycyjnej przeszłości. Była niezwykła, bo w działalność konspiracyjną zaangażował się wcześniej niż inni, jeszcze w czasach gomułkowskiej małej stabilizacji. Zapłacił za to wysoką cenę – tuż przez planowanym przez organizację Ruch wysadzeniem Muzeum Lenina w Poroninie został wraz z innymi członkami Ruchu aresztowany. Skazano go na siedem lat, odsiedział cztery, w ciężkich warunkach zakładu karnego w Barczewie, wśród kryminalistów.

Po latach Niesiołowski napisze w swych wspomnieniach, że może być niezadowolony z jednej rzeczy, która była jego największym błędem – nie znalazł w sobie dość odwagi i siły, by odmówić zeznań. I marną pociechą jest to, że inni zeznawali gorzej.

Problem może polegać na tym, że byli też tacy, którzy zeznawali lepiej. A w każdym razie zaczęli mówić później. I dopiero wtedy, gdy przedstawiono im jego zeznania. Nie powinno się jednak wydawać sądów przed przekopaniem się przez 100 tomów spoczywającej w IPN dokumentacji.

– Stefan lubił opowiadać anegdoty z więziennych czasów. Słuchaliśmy z zapartym tchem. Zawsze był świetnym gawędziarzem, miał sporą wiedzę historyczną. Wywierał duże wrażenie: mówił o sobie dumnie Stefan Konstanty hrabia Myszkiewicz-Niesiołowski – wspomina jeden z jego kolegów, który po latach znalazł się po drugiej stronie politycznej barykady.

Określenie „hrabia Niesiołowski" jest używane także przez posłów Platformy. Choć w tej kwestii poseł dopuścił się pewnej nadinterpretacji. Jak sugerowali genealodzy, z którymi rozmawiałam, nazwisko Niesiołowski i herb Korzbok, którym polityk się szczyci, w rzeczywistości pochodzą od jego prababki i nigdy nie były związane z hrabiowskim tytułem.

To jednak nieszkodliwy snobizm i najmniejszy z kłopotów Stefana Niesiołowskiego. Desperacko musi walczyć nie tyle o polityczną przyszłość, bo ta wydaje się już krótka i wątpliwa, musi się zmierzyć z ewentualnymi konsekwencjami seksafery, przede wszystkim prawnymi.

– Mój klient jest niewinny. Proszę napisać, że cała sprawa jest wręcz oburzająca, została odgrzana po dwóch latach i ma na celu wyłącznie przykrycie afer PiS. Biznesmeni, których rozmowy nagrano, byli po prostu jego dawnymi przyjaciółmi. Mogli o nim rozmawiać frywolnie, ale to nic nie znaczy – irytuje się Ryszard Kalisz, który został adwokatem Niesiołowskiego.

Wśród elit politycznych Niesiołowski nie znajduje jednak wielu obrońców. Robi się wokół niego pustka. – W samolocie z Brukseli do Warszawy jeden z eurodeputowanych, traktując to jako dowcip, zaczął głośno wołać do stewardesy, że zamawia fasolkę po bretońsku. Zapadła grobowa cisza. Wielu dałoby dużo, by sprawa Stefana się rozmyła – tłumaczy jeden z moich rozmówców.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 28 stycznia 2019 roku zmarła w Krakowie

ŚP

PPOR. KAMILLA GENOWEFA JANOWICZ-SYCZ
PS. „KAMA"

urodzona 31 października 1920 roku w Warszawie.
Od października 1939 roku służyła w Związku Walki Zbrojnej
na terenie Obwodu Brześć-Miasto Okręgu ZWZ Polesie.
Od listopada 1940 roku torturowana na Zamku Lubelskim.

W kwietniu 1941 roku wywieziona do obozu koncentracyjnego KL Ravensbrück,
gdzie działała w tajnej drużynie harcerskiej „Mury".
Do końca wojny organizowała pomoc współwięźniarkom poddawanym
pseudomedycznym eksperymentom.
W lipcu 1945 roku powróciła z obozu do Polski
ostatnim transportem uwięzionych.

Inicjatorka założenia Stowarzyszenia
„Rodzina Więźniarek Niemieckiego Obozu Koncentracyjnego Ravensbrück",
wieloletnia działaczka Klubu Inteligencji Katolickiej,
organizacji Maximilian-Kolbe-Werk oraz Sue Ryder Foundation.

Uhonorowana Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski
i wieloma innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jej Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

6/0219/F

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 27 stycznia 2019 roku zmarł w Warszawie

ŚP

ANTONI ZAMBROWSKI

urodzony 27 stycznia 1934 roku w Warszawie.

Ekonomista, społecznik, dziennikarz.
Od marca 1968 do lipca 1969 roku więziony
przez władze komunistyczne pod fałszywym zarzutem
szkalowania państwa polskiego.

W latach 1976-1977 współpracownik
Komitetu Obrony Robotników
oraz Towarzystwa Kursów Naukowych.
Od września 1980 roku działacz NSZZ „Solidarność".
Od 13 grudnia 1981 do 10 lipca 1982 roku internowany
w Ośrodku Odosobnienia w Warszawie-Białołęce.
W latach 1989-2003 publicysta „Tygodnika Solidarność".
Współzałożyciel Komitetu Polska-Czeczenia.

Uhonorowany Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

4/0219/F

eprasa.pl df9b070253

Biedroniada

Wiosna wcale nie chce być partią miłości. Jej program ma wszelkie cechy rewolucyjnej inżynierii społecznej, podszytej wolą mocy. Bo przecież nic ich nie ogranicza

STANISŁAW JANECKI

Fot. Tomasz Paczos/FOTONOVA

Robert Biedroń wraz z najbliższymi współpracownikami

Partia Wiosna Roberta Biedronia zaczęła swój żywot od zapowiedzi zmiany wszystkiego, nawet tego, co nie da się łatwo zmienić, a może nawet wcale nie da się zmienić, choć lider zapewnia, że wszystko się da. Da się, gdyż nie tylko partia jest nowa, lecz i on jest nowością, chociaż w polityce funkcjonuje już od prawie 20 lat. Wszystko w partii Wiosna ma być nie tylko nowe, lecz również usytuowane po właściwej stronie: tej politycznej, ale też poznawczej i moralnej, także aksjologicznej, estetycznej i historycznej. Po jednej stronie Wiosna, po drugiej – „oni". A „oni" to głównie PO i PiS, z akcentem na PiS.

Zmiany właściwie nic ani nikt nie ogranicza: ani konstytucja, ani traktaty europejskie, ustawy, prawa nabyte, zwyczaje, tradycja, umowy społeczne, niepisane zasady. Robert Biedroń i jego doradcy chyba tego nie zauważyli, ale pomysł na państwo i organizację życia społecznego w wydaniu Wiosny to triumf woli, co historycznie kojarzy się jak najgorzej. Nie ma żadnych ograniczeń, gdy jest wola mocy.

Druga ważna sprawa to liczne nawiązania do XX-wiecznej wersji (z początków wieku) idei anarchosyndykalizmu, z jego rozumieniem wspólnoty i solidarności. Pomostem między wolą mocy a anarchosyndykalizmem była piosenka manifest Johna Lennona „Imagine".

Trzecia zaskakująca cecha debiutu Wiosny to podważenie wielu ustrojowych rozwiązań obecnej konstytucji, choć na kongresie założycielskim „konstytucja" unosiła się nad halą (wraz ze stosownymi gadżetami), a sam Robert Biedroń mówił, że „konstytucji bronimy i bronić zawsze będziemy". Czwarta ważna sprawa jest już w pełni uświadomiona – to radykalny antyklerykalizm.

WOLA MOCY

„Dziękuję, że uwierzyliście, że zmiana jest możliwa. Najbardziej dziękuję wam za to, że przywieźliście tyle pozytywnej energii, że to, co dzieje się tutaj, zmieni oblicze tej ziemi" – mówił Robert Biedroń na początku wystąpienia na kongresie założycielskim Wiosny. Mniej ważna jest tu parodia słów Jana Pawła II z pierwszej pielgrzymki do Polski, bardziej znacząca wola mocy w postaci energii, która zmieni oblicze tej ziemi. „Ile nas tutaj jest?! Trzeba było wynająć Stadion Narodowy" – prężył muskuły Robert Biedroń. Owa wola mocy będzie opresyjna, gdyż zawsze jest, tyle że opresja będzie skierowana przeciwko „wrogom wolności": PiS, establishmentowi, homofobom, faszystom, ksenofobom, mizoginom etc.

Nieprzypadkowo wola mocy została powiązana z wiosną, czyli tą porą roku, kiedy wszystko się odnawia, rośnie, kwitnie, a wręcz wybucha. Wola mocy przede wszystkim uderzy w Kościół katolicki, który „w Polsce ma więcej ziemi niż ktokolwiek poza skarbem państwa". Dlatego „wycofamy lekcje religii ze szkół i ich finansowanie. Zlikwidujemy fundusz kościelny i opodatkujemy tacę. Renegocjujemy konkordat". Woli mocy nie oprze się też rządzące Prawo i Sprawiedliwość: „stworzymy Komisję Sprawiedliwości i Pojednania. Rozliczymy tych, którzy dopuścili się naruszenia podstawowych praw i wolności zapisanych w konstytucji. Odpowiedzialnych – nawet tych sterujących dzisiaj państwem z tylnego rzędu – postawimy przed Trybunałem Stanu". Przed wolą mocy musi się też ugiąć telewizja publiczna. Stąd zapowiedź ustawy o likwidacji Rady Mediów Narodowych oraz zmianie ustawy o Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji. Stąd projekt zmiany ustawy o wykonywaniu mandatu posła i senatora,

eprasa.pl df9b070253

formalnie zwiększający odpowiedzialność prawną polityków za wypowiadane słowa, faktycznie wyznaczający nowe zasady politycznej poprawności.

WSZYSTKO DLA NIEKTÓRYCH

Po poradzeniu sobie z głównymi wrogami, czyli Kościołem katolickim, rządzącym PiS oraz telewizją publiczną, przepełniona wolą mocy Wiosna urządzi Polakom życie. Tak jakby nie istniały żadne ograniczenia, również finansowe. Dzięki temu „do 2035 r. zamkniemy wszystkie kopalnie węgla i będziemy mieli najczystsze powietrze w tej części Europy. Stworzymy także sektor odnawialnych źródeł energii, a w nim 200 tys. miejsc pracy dla górników oraz pracowników elektrowni".

Skoro „aż 14 mln Polek i Polaków nie może dojechać do większego miasta, jeżeli nie ma samochodu, [...] zagwarantujemy transport publiczny jako obowiązek samorządu finansowany przez państwo. Autobus w każdej gminie i pociąg w każdym powiecie". Jeśli „ponad 1,5 mln Polek i Polaków nadal otrzymuje zaledwie minimalne wynagrodzenie, a zbyt często nawet mniej, [...] wprowadzimy zasadę, że płaca minimalna wynosić będzie 60 proc. średniej krajowej. W 2020 r. podniesiemy ją do 2,7 tys. zł, a w 2022 roku – do 3 265 zł". Jeżeli „ponad pół miliona polskich emerytek i emerytów otrzymuje emeryturę poniżej 1 tys. zł, [...] wprowadzimy nieopodatkowaną emeryturę minimalną na poziomie 1,6 tys. zł dla każdego".

Ponieważ przedsiębiorcy skarżą się na kontrole skarbowe, „w małych firmach zastąpi je weryfikacja internetowa. Uprościmy też prawo podatkowe tak, by właściciele firm nie zajmowali się ciągłym śledzeniem nowelizacji. Wszystkie procedury załatwimy przez internet. A symbolem tego będzie brak pieczątek do 2022 r.".

Skoro nie skróciły się kolejki do lekarza, „wprowadzimy 30-dniowy limit oczekiwania na lekarza specjalistę. Po tym czasie każdy będzie mógł wybrać miejsce leczenia w sektorze prywatnym, za które zapłaci NFZ". Ponieważ problemem jest dostępność żłobków i przedszkoli, „zapewnimy wszystkim dzieciom miejsce w żłobku i przedszkolu. W ciągu pięciu lat stworzymy 250 tys. nowych miejsc dla maluchów". Skoro „państwo, zamiast wspierać, zmusza osoby z niepełnosprawnościami, ich opiekunki i opiekunów do 40-dniowego protestu, [...] zagwarantujemy bezpłatne wsparcie profesjonalnych asystentów i asystentek dla osób z niepełnosprawnościami. Podwyższymy świadczenia o przynajmniej 500 zł. Wprowadzimy dla opiekunów i opiekunek tygodniowe, płatne urlopy wytchnieniowe".

Skoro są duże kłopoty z alimentami, „będą ściągane jak podatki, a ich ściąganiem zajmie się administracja skarbowa". Wprawdzie program 500+ działa, ale trzeba go oddzielić od PiS i lewarować jako własny, „zmienimy [go] tak, by obejmował też pierwsze dziecko i rodziców samodzielnie wychowujących dzieci". Ponieważ w Polsce wciąż istnieje „piekło kobiet", „zagwarantujemy kobietom prawo do bezpiecznego przerywania ciąży na żądanie do 12 tygodnia". A skoro „Polska to miejsce, gdzie w niektórych województwach ginekolog oddalony jest nawet o 50 km, a na jednego specjalistę przypada aż 27 tys. pacjentek, [...] zmienimy to tak, by każda kobieta miała dostęp do niezbędnej opieki medycznej".

Gdyby komuś było tego mało, „wprowadzimy do szkół rzetelną edukację seksualną, zagwarantujemy znieczulenie przy porodzie i pełne finansowanie in vitro". A jeszcze „zmienimy ustawę o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie tak, by każda Polka i każde dziecko mogło się czuć bezpiecznie we własnym domu. A w pracy zagwarantujemy równość płac tak, aby kobieta i mężczyzna zarabiali tyle samo na tym samym stanowisku". I „w naszej wspólnej Polsce nikomu nie będziemy mówić, z kim może brać ślub, a z kim nie", dlatego „wprowadzimy związki partnerskie, a także ustawową równość małżeńską".

eprasa.pl df9b070253

Dzięki istnieniu nieograniczonej wręcz woli mocy „rozszerzymy nauczanie języka angielskiego tak, aby każdy uczeń i uczennica, kończąc szkołę, biegle władali tym językiem". A „uzupełnieniem tego skoku cywilizacyjnego będzie powszechny, darmowy internet w całej Polsce".

Na koniec Wiosna nie zapomni o zwierzętach i roślinach, dlatego „utworzymy niezależny urząd rzecznika praw przyrody. Zlikwidujemy fermy zwierząt futerkowych, zabronimy wykorzystywania zwierząt w cyrkach i zlikwidujemy chów klatkowy. Zatrzymamy także bezmyślną wycinkę drzew, która niszczy nasze wielowiekowe dziedzictwo".

WSPÓLNOTA ANARCHOSYNDYKALISTYCZNA

Radykalny antyklerykalizm partii Wiosna nie jest niczym nowym, jeśli zważyć, że był on najważniejszym elementem programu Ruchu Palikota, w którym Robert Biedroń był jednym z liderów. Kreatorzy projektu Wiosna zapewne uznali, że skoro film Wojciecha Smarzowskiego „Kler" obejrzało ponad 5 mln widzów, zadawniony w Polsce antyklerykalizm jest obecnie silniejszy niż wcześniej. Dlatego na niego postawiono oraz podłączono pod niego pomysły dotyczące aborcji, in vitro, pigułek „dzień po", edukacji seksualnej czy związków jednopłciowych o statusie małżeństw. Z tym wszystkim Kościół katolicki się nie zgadza, więc można to przedstawić jako wolnościowe działanie przeciw omnipotencji Kościoła, przeciw wtrącaniu się przez niego w prywatne życie obywateli. Do tego dochodzi generalny sprzeciw wobec wartości uznawanych przez Kościół za nienegocjowalne, a dla partii Wiosna stanowiące ograniczenie wolności, swobody wyboru i praw obywatelskich. Dlatego Wiosna proponuje likwidację klauzuli sumienia.

Ustawienie Kościoła na pozycji wroga i cywilizacyjnej zakały ma ułatwić partii Wiosna zmiany w konstytucji. Niby jest ona nienaruszalna i każde podniesienie na nią ręki to zbrodnia największego kalibru, ale przecież powinna zostać zmieniona. Wszędzie tam, gdzie wskutek wpływów Kościoła wprowadzono nieakceptowalne zapisy dotyczące samej tej instytucji (przede wszystkim konkordatu) oraz odnoszące się do ochrony życia, definicji małżeństwa czy praw dzieci. W tym sensie Wiosna uderza w konstytucję najmocniej ze wszystkich liczących się sił politycznych, a jednocześnie sytuuje się w obozie najgorliwszych obrońców obecnej ustawy zasadniczej.

„Naszą najważniejszą wartością jest wspólnota. [...] Przyjechaliśmy tu dziś, by im [PiS, PO-PiS] przypomnieć, że Polska jest każdej i każdego, bez względu na płeć, wiek, wyznanie, orientację czy zasobność portfela. Politycy żyją konfliktem, my chcemy wspólnoty" – mówił na kongresie założycielskim Robert Biedroń. W dodatku wspólnota powinna być solidarna z wszelkimi mniejszościami. Tak pojmowane wspólnota i solidarność to kluczowe pojęcia XX-wiecznego anarchosyndykalizmu. W gruncie rzeczy gospodarcze i socjalne propozycje partii Wiosna to jawne nawiązanie do idei anarchosyndykalistów. Podobnie jak oni Wiosna traktuje państwo jako opresyjne, gdy korzysta z mniej przyjemnych atrybutów władzy. A już państwo narodowe jest nie do zaakceptowania. Wprawdzie Robert Biedroń właściwie nic nie mówił o Unii Europejskiej, polityce zagranicznej, statusie Polski ani przyszłości państwa narodowego, ale nawiązanie do anarchosyndykalizmu wskazuje, że opowie się za Europą federalną, gdzie mglista wspólnota zastąpi naród. I rozpłynie się w szerszej, europejskiej całości, skoro już Polska wyzwoli się spod okupacji Kościoła i wprowadzi wszystkie obyczajowe nowinki, które Kościół blokuje. Wtedy nasz kraj byłby jednym z najbardziej progresywnych państw Unii Europejskiej: dzięki połączeniu antyklerykalizmu z wyzwoleniem obyczajowym i społecznym spod znaku feministek oraz środowisk LGBTQ. Dzięki wymierzeniu obecnie rządzącym sprawiedliwości przez Komisję Prawdy (Sprawiedliwości) i Pojednania oraz wzmocnieniu Trybunału Stanu. Dzięki „odzyskaniu" mediów publicznych.

Ustawienie Kościoła na pozycji wroga i cywilizacyjnej zakały ma ułatwić partii Wiosna zmiany w konstytucji. Niby jest ona nienaruszalna i każde podniesienie na nią ręki to zbrodnia największego kalibru, ale przecież powinna zostać zmieniona

Widać, że Robert Biedroń próbuje zagospodarować elektorat antyklerykalny, radykalnie lewicowy i anarchosyndykalistyczny, gdy chodzi o gospodarkę i kształt społeczeństwa. W porównaniu z zapowiedziami sprzed kongresu założycielskiego program Wiosny jest dużo bardziej radykalny, nawet radykalniejszy od programu Ruchu Palikota, choć sprzedawany pod hasłem „Kochajmy się!". Robert Biedroń i jego doradcy zapewne wyszli z założenia, że Polska dojrzała do partii radykalnie lewicowej i gospodarczo oraz społecznie anarchosyndykalistycznej, czego jednak żadne badania socjologiczne nie potwierdzają. Partia Wiosna nie zagraża rządzącej Zjednoczonej Prawicy bezpośrednio, gdyż przede wszystkim zabierze głosy PO oraz szeroko rozumianej lewicy. To jednak projekt niebezpieczny dla państwa i społeczeństwa, szczególnie że bazuje na woli mocy, której częścią mają być rozliczenia oraz całkiem wyraźny lewicowy, a wręcz rewolucyjny, projekt inżynierii społecznej. Nie, żeby było to realne, ale będzie wpływać na nastroje sympatyków opozycji, gdzie już obecnie dominuje duch zemsty. Oznacza to, że Wiosna wcale nie chce być partią miłości, lecz wręcz przeciwnie.

Ile poparcia to da? Wydaje się, że nie więcej niż 8–10 proc.

5/0219/F

eprasa.pl df9b070253

eprasa.pl df9b070253

To był lincz

Niektórym środowiskom eskalacja napięcia jest wyraźnie na rękę. I to mnie najbardziej przeraża. Każdy ma prawo wyrażać swoje zdanie, niezadowolenie czy sprzeciw wobec różnych spraw, postaw. Nie ma i nie może być jednak przyzwolenia na agresję

Z Elżbietą Rafalską, minister rodziny, pracy i polityki społecznej, rozmawia Dorota Łosiewicz

Napaść przedstawicieli KOD pod budynkiem Telewizji Polskiej na Magdalenę Ogórek – co to było? Jak to nazwać?

Elżbieta Rafalska: To absolutne barbarzyństwo i przekroczenie kolejnej granicy. Możemy mieć różne poglądy, możemy się spierać merytorycznie, nie dogadywać się światopoglądowo, ale tutaj nie mówimy już o zwykłym niezrozumieniu, proteście ani nawet braku szacunku. Wszyscy byliśmy świadkami – bo przecież nagranie z tego strasznego wydarzenia bardzo szybko pojawiło się w sieci – brutalnego ataku fizycznego na panią Magdalenę Ogórek. Oklejanie auta, kładzenie się pod koła samochodu, utrudnianie wejścia do pojazdu, wulgarne wyzwiska – przecież to się nie mieści w głowie. Ci ludzie byli w jakimś amoku, nienawistnym szale. Na jednym z nagrań widać dwie kobiety dumne i zadowolone z tego, co się stało, które mówiły: „Należało jej się". Nie, nikomu nie należy się coś takiego, absolutnie nikomu. Mogłoby się wydawać, że ta napaść zostanie jednoznacznie potępiona przez wszystkie środowiska. I rzeczywiście, zdecydowana większość komentarzy to były wyrazy wsparcia dla pani Ogórek oraz krytyka sprawców napaści. Jednak niektórym wyraźnie nie zależy na złagodzeniu emocji. Donald Tusk na swoim prywatnym koncie na Twitterze napisał, cytuję: „Kłamstwo organizowane przez władzę za publiczne pieniądze to perfidna i groźna forma przemocy, której ofiarami jesteśmy wszyscy. I wszyscy powinni solidarnie, w ramach prawa, przeciw temu kłamstwu protestować". Wpis jest z 4 lutego, czyli już po napaści pod siedzibą TVP.

A wszystko w chwili, gdy z różnych stron publicznej debaty płyną apele o złagodzenie dyskursu. Kto nie chce tego złagodzenia?

Niektórym środowiskom eskalacja napięcia jest wyraźnie na rękę. I to mnie najbardziej przeraża. Manifestacje, protesty, transparenty – tak, każdy ma prawo wyrażać swoje zdanie, niezadowolenie czy sprzeciw wobec różnych spraw, postaw. Różnimy się na wielu płaszczyznach, w wielu przypadkach stoimy wręcz po dwóch stronach muru. Nie ma i nie może być jednak przyzwolenia na agresję. Po tragicznej śmierci prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza ze wszystkich stron płynęły apele o ostudzenie emocji w przestrzeni publicznej. Nie minęło wiele czasu, a przeciwnicy rządu, przeciwnicy telewizji publicznej napadli na dziennikarkę. To nie był protest, wyraz sprzeciwu, to była zwyczajna napaść.

Tak zwani obrońcy demokracji po prostu zastraszają dziennikarzy. Co to ma wspólnego z tolerancją i wolnością słowa?

Tam, gdzie dochodzi do agresji, nie ma mowy o żadnej tolerancji. Rzeczywiście, jesteśmy świadkami zaciekłej nagonki na dziennikarzy, szczególnie telewizji publicznej. Po raz kolejny powtarzam – nie musimy się zgadzać, możemy się spierać, ale skala nienawiści, z jaką zderzają się dzienni-

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl df9b070253

karze, po prostu przeraża. Niestety w ten festiwal nienawiści zaangażowani są również politycy opozycji. Przyzwolenie na brak szacunku ze strony autorytetów skutkuje właśnie tym, z czym mieliśmy do czynienia w przypadku pani Magdaleny Ogórek. To była forma linczu.

Zapytam brutalnie: dlaczego państwo nie może sobie poradzić z grupką napuszczonych zadymiarzy? Ta sama grupa od kilku lat próbuje doprowadzić do politycznego przesilenia.

Nie wiem, czy to pytanie do mnie, czy może raczej do pana ministra Joachima Brudzińskiego. Nie chciałabym wyrokować, czy ktoś tu zawinił, czy doszło do jakiegoś zaniedbania. Mam jednak szczerą nadzieję, że osoby odpowiedzialne za tę napaść zostaną surowo ukarane. Niech będzie to przestroga dla tych, do których nie przemawiają żadne apele o złagodzenie dyskursu. To już nie żółte, ale czerwone światło.

Mam nadzieję, że osoby odpowiedzialne za napaść na panią Ogórek zostaną surowo ukarane. Niech będzie to przestroga dla tych, do których nie przemawiają żadne apele o złagodzenie dyskursu. To już nie żółte, ale czerwone światło

Pani minister, przejdźmy do spraw, którymi zajmuje się pani resort. Program Mama 4+ w końcu został przyjęty przez rząd. Kiedy projekt zacznie działać?

Ustawa czeka już tylko na podpis prezydenta. Program ruszy 1 marca. Od tego dnia mamy, które urodziły i wychowały lub tylko wychowały co najmniej czworo dzieci, a nie zdołały wypracować sobie minimalnej emerytury, będą mogły zawnioskować o przyznanie im takiego rodzicielskiego świadczenia uzupełniającego.

Nie brakuje głosów, że to program niesprawiedliwy. Karane są kobiety, które jednocześnie pracowały i wychowywały dzieci.

To, że chcemy uhonorować i wesprzeć kobiety, które poświęciły się wychowywaniu dzieci, nie oznacza, że komuś innemu coś jest odbierane. Niesprawiedliwością jest w mojej ocenie sytuacja, w której matka czwórki, piątki czy większej liczby dzieci nie ma prawa nawet do minimalnego świadczenia emerytalnego. Osoby starsze często zagrożone są ubóstwem, wykluczeniem. Tworząc program Mama 4+, mieliśmy na uwadze również to. Przypominam także, że w niektórych okolicznościach takie rodzicielskie świadczenie uzupełniające będzie przysługiwało również ojcom.

Kilka dni temu rząd przyjął rozporządzenie dotyczące realizacji jednego z modułów programu Posiłek w szkole i w domu. W ciągu pięciu lat program ma kosztować 2,75 mld zł. Niektórzy mówią, że to niepotrzebne rozdawnictwo pieniędzy.

Pragnę podkreślić, że program to nie tylko stołówki szkolne i pomoc uczniom – chociaż to oczywiście bardzo ważne. Zależy nam na tym, żeby każde dziecko mogło zjeść w szkole ciepły i zdrowy posiłek. To także pomoc osobom starszym, niepełnosprawnym. Z naszych szacunków wynika, że z programu skorzysta 2 477 gmin i prawie 1,3 mln osób.

Nie tak dawno Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej chwaliło się skuteczną walką z ubóstwem. To jak to jest naprawdę?

Rzeczywiście, jeszcze w 2015 r. zagrożonych ubóstwem było w Polsce ponad 6,5 mln osób. Dwa lata później było ich 872 tys. mniej. W tym samym czasie spadła stopa ubóstwa skrajnego – z 6,5 proc. do 4,3 proc. w 2017 r., mniej osób korzysta także z pomocy społecznej. Jak wynika z danych Eurostatu, w gospodarstwach domowych, w których były dzieci, zagrożenie ubóstwem relatywnym między rokiem 2016 a 2017 spadło o 5 punktów procentowych, podczas gdy gospodarstwa bez dzieci doświadczyły wzrostu zagrożenia o 1,4 p.p. To pokazuje, że chociaż sytuacja w ostatnich latach znacznie się poprawiła, wciąż są ludzie, którym powodzi się gorzej. Dotyczy to szczególnie osób starszych, samotnych. Rząd i kierowany przeze mnie resort jesteśmy po to, by takim ludziom pomagać, tworzyć systemowe wsparcie dla poszczególnych grup społecznych. Tak rozumiem naszą misję.

Rodzina 500+, Dobry start, czyli tzw. 300+, Mama 4+, a ostatnio mówi się o programie Babcia+. Nie za dużo tych plusów? Budżet w końcu nie wytrzyma.

Proszę nie zapominać o Maluchu+, Seniorze+ czy Opiece 75+. To samo słyszeliśmy jeszcze przed wprowadzeniem naszego sztandarowego programu Rodzina 500+: że nas na to nie stać, budżet nie wytrzyma, nic z tego nie będzie. Dzisiaj wiemy, że to nieprawda. Oczywiście to wszystko kosztuje, ale polityka rodzinna jest dla nas priorytetem. Często powtarzam, że inwestycja w rodzinę to najlepsze, co możemy zrobić dla Polski, ale taka jest prawda. Rodzina jest absolutną podstawą społeczeństwa. Jeśli chodzi natomiast o wspomniany przez panią redaktor Dobry start, to jeden z punktów tzw. piątki Morawieckiego, czyli złożonej przed rokiem deklaracji premiera Mateusza Morawieckiego. Realizacja tego przedsięwzięcia to najlepszy dowód na to, że rodzina jest priorytetem rządu Prawa i Sprawiedliwości. W 2018 r. wsparcie otrzymało 4,4 mln uczniów, a wydatki na świadczenia i ich obsługę wyniosły ok. 1,4 mld zł. To duża pomoc dla rodziców w tym trudnym okresie, jakim jest początek roku szkolnego. Wyprawka szkolna dla jednego dziecka to nawet kilkaset złotych. Przy dwojgu, trojgu czy większej liczbie dzieci kwota ta robi się ogromna. Zainteresowanie programem – skorzystało z niego niemal 100 proc. uprawnionych – świadczy o tym, że był to strzał w dziesiątkę.

eprasa.pl df9b070253

Jak osłabić państwo?

Polska machina państwowa zgrzyta i kuleje, a ewentualne przenoszenie centralnych urzędów na prowincję zatarłoby jeszcze bardziej jej tryby

PIOTR SKWIECIŃSKI

SIECI KRAJ | SPOŁECZEŃSTWO

Nie tylko Warszawa

Deglomeracja jest przedsięwzięciem trudnym, kosztownym i musi być rozłożona w czasie, ale alternatywą jest chaotyczna transformacja Polski, charakterystyczna dla kraju peryferyjnego. Trudno bowiem mówić o modernizacji państwa bez zrównoważonego rozwoju regionalnego i przywrócenia miast do życia. Polska nie powinna i nie może się kończyć na Warszawie

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Dynamiczny rozwój Warszawy budzi niekłamany podziw. Miasto tętni życiem, wielkie zagraniczne firmy przenoszą tu swoje regionalne oddziały, stawiane są – jedna obok drugiego – wielkie solidne biurowce, buduje się nowe osiedla i kolejną linię metra. Jednak to wszystko ma swoją cenę. I nie chodzi o pieniądze, ale o zupełnie inne koszty.

Na moim rodzinnym Mokotowie ulica, przy której się wychowałem, zamieniła się dziś w wąski, hałaśliwy wąwóz. Jeżdżą przez całą dobę sunące samochody. Zapakowane w okolicy granicy z czołem. Jeszcze 20–30 lat temu wielu mieszkańców znało się osobiście albo przynajmniej kojarzyło z widzenia. Dziś dawna społeczność została wywyższona i zastąpiona przez niekończącą się rotację przybyszy z całego kraju, którzy nie czują głębszego związku z miejscem, w którym zamieszkali. Traktują je często jako kolejny, krótki przystanek w ich życiu – nikt z nich bowiem nie wie, jakie wyzwania przyniesie kolejny dzień. Są całkiem inni niż ich poprzednicy.

Wraz z przemianami stopniowo zanikła dawna tkanka miejska: lokale dilerge, księgarnie, zamieniła ich miejsca jeśli banki, modne kafejki i nieadaptowane oraz antykwiaty z ofertą dla zamożnych osobów. Gwałtownie wzrosły ceny nieruchomości podbijane przez spekulantów, nadal działa też zepsuta etycznie mafia próbująca z przejawami atrakcyjne grunty. Dzielnica pozornie się nie zmieniła, ale dawny mieszkańców odnajdzie się tu z coraz większym trudem.

Dotyczy to całej Warszawy. Miasto dusi się, pełne w utrach, rzęsiwa chaotycznie na przedmieścia, co jeszcze bardziej potęgnie trudności z dotarciem do szkoły i pracy. Mimo dość sprawnego transportu publicznego Warszawa ciągle stoi w korku, a spowodowane ogromnym ruchem samochodowym zanieczyszczenie powietrza przekracza kolejne niebezpieczne granice. Ludzie bez przerwy pędzą, pełnają się naprzód, aby tylko zdążyć na czas, co wywołuje wzajemną niechęć, a czysto agresję. Moja koszyka mieszkająca w pełnym z dużych miast wojewódzkich rozważała kiedyś studia w Warszawie i ewentualne przenosiny do stolicy. Szybko jednak zmieniła zdanie. „I? was nie da się normalnie żyć" – wyjaśniła. Ona miała jednak alternatywę, w jej mieście działa uniwersytet i kilka innych uczelni, są miejsca pracy, wychowała się tam i ma przed sobą perspektywy.

Co jednak mają powiedzieć ci, którzy w swoich miastach takich perspektyw nie mają?

WEGETACJA

W większości średnich miast, zwłaszcza w dawnych stolicach województw zdegradowanych po 1999 r. do rangi miast powiatowych, codzienne życie stało się przeciwieństwem tego, z czym mamy dziś do czynienia w Warszawie. Transformacja po upadku komunizmu przyniosła tym miastom zapaść gospodarczą. Wraz z upadkiem przemysłu znikneły nie tylko miejsca pracy, lecz również wszystko, co stanowiło zaplecze dźwigowanych zakładów przemysłowych: sieć podwykonawców, szkolnictwo zawodowe, transport drogowy i kolejowy, a także finansowane przez miejscowy przemysł kluby sportowe. A to oznaczało kolejną utratę miejsc pracy i postępującą wegetację mieszkańców.

Kolejnym gwoździem do trumny okazała się reforma administracyjna z 1999 r. Likwidacja urzędów wojewódzkich oznaczała utratę pracy – i tak już zdegradowane – miasta funkcji lokalnych centrów administracyjnych na rzecz większych ośrodków i stolicy. Dzieła miażdżenia dopełniły rządy koalicji PO-PSL, które stopniowo przenosiły koszty finansowania usług publicznych na ramiona samorządy. W ten sposób doprowadzono do zapaści lub wręcz likwidacji lokalnej służby zdrowia, komunikacji publicznej, zniknęło też wiele komisariatów policji. Następnie rejterada państwa, a wraz z nią mieszkańców. Dokąd? Do najbliższych dużych miast oraz do Warszawy.

Wraz z przeniesieniem niektórych urzędów do mniejszych miast powróci życie. Mieszkańcy nie będą musieli nigdzie uciekać. Poprawią się usługi, wrócą kolej, placówki kulturalne i szkoły

PUSTE MIASTA

Upadłości miast towarzyszy dyspondacja ambitniejszej ucieczka w poszukiwania perspektyw lepszego życia, która osiągnęła już w wielu regionach Polski niepokojące rozmiary. Gwałtowne procesy wyludnienia, związane dotąd głównie z emigracją zagraniczną, przeżywają województwa opolskie, podkarpackie, warmińsko-mazurskie oraz podlaskie. W mniejszych miastach – podobnie jak w Warszawie – wykrzystują się dzieci zaowi mieszkańcy, tyle że w odmiennym od ulicy mkir nie przyjedzie na ich miejsce.

Z badań przeprowadzonych przez prof. Przemysława Śleszyńskiego, kierownika Zakładu Geografii Miast i Ludności w Instytucie Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN, i z gmin w Polsce ma poniżej 15 tys. mieszkańców. W ciągu najbliższych 10 lat będzie to jest 1/3 wszystkich gmin. Utrata ludności dotyka również miast powiatowych. Z aktu- zlaych 65 tysięcy mieszkańców takich miast ubędzie ok. 2 tysięcy osób, a więc prawie 1/4 populacji. A i połowę ludności mogą osób, a więc prawie 1/4 populacji. A i połowę ludności mogą

W poprzednim numerze tygodnika Konrad Kołodziejski przedstawił wiele ciekawych argumentów na rzecz pomysłu deglomeracji Polski, czyli poprzenoszenia wielu urzędów centralnych do ośrodków pozawarszawskich. Nie przekonał mnie ten tekst, choć przeczytałem go z przyjemnością.

Czytałem artykuł Konrada z przyjemnością przede wszystkim z dwóch powodów. Po pierwsze, bo pochylił się on nad problemem, nad którym polskie elity pochylają się rzadko – nad stanem Polski B i jej ośrodków miejskich, ale o tym później.

Po drugie zaś dlatego, że odmalował on prawdziwy i znany z autopsji również mi obraz pogorszenia warunków i jakości życia (nie mylić ze spadkiem poziomu materialnego egzystencji, bo to nie to samo!) będącego w ciągu lat transformacyjnych i potransformacyjnych udziałem mieszkańców stolicy. Pogorszenia polegającego przede wszystkim na wzrastającym niemalże skokowo tłoku (i na jezdniach, i na trotuarach), na rozpadzie starych wspólnot, pogrążaniu się zżytych niegdyś z sobą sąsiadów w samotności i anomii oraz w tłumie niezwiązanych z danym miejscem (w ogóle z żadnym, bo nastawionych na migracje) przybyszy z całego kraju, i nie tylko z kraju. I jakkolwiek by zdumiewało to wszystkich nienawistników, ogarniętych fundowaną przede wszystkim na zazdrości antywarszawską obsesją, ten obraz jest bardzo prawdziwy.

Tylko że – o czym Konrad nie pisze – to nie jest warszawska ani polska specyfika. Gdyby z tych fragmentów jego artykułu wykreślić słowo „Warszawa", to wizję nakreśloną w jego tekście uznaliby zapewne za dotyczącą ich miasta nowojorczycy, londyńczycy, paryżanie, mieszkańcy Chicago czy Berlina. Bo ten smutny obraz jest prawdziwy w odniesieniu do wszystkich metropolii, przy czym nie tylko tych znajdujących się w krajach peryferyjnych. A Warszawa jest jedynym polskim miastem, które „łapie się" (co prawda z trudem) właśnie do kategorii metropolii w sensie światowym.

Napisałem, że to obraz smutny, ale przecież dokładniej to jest smutny rewers awersu, który wcale smutny nie jest. Bo taki jest koszt rozwoju, posiadania perspektyw i statusu bycia czymś liczącym się w ponadregionalnej skali. Te obie strony medalu związane są z sobą integralnie. Można oczywiście uznać, że skórka niewarta wyprawki, że lepiej zajść nie aż tak wysoko, za to iść spokojniej i żyć bardziej w harmonii niż w chaosie. Ale nie sposób twierdzić, że we współczesnym świecie da się i mieć ciastko, i zjeść ciastko. Czyli i być pnącą się metropolią, i żyć w spokojnym (tak jest – milszym od obecnego) świecie z czasów dzieciństwa – mojego i moich mniej więcej rówieśników.

Tego rodzaju wizje, nawiasem mówiąc, przypominają mi ambitne

Autopromocja

eprasa.pl df9b070253

intelektualnie plany przedwojennych oenerowców i radykalnych endeków, snujących wizje pogodzenia po swoim zwycięstwie koniecznego z przyczyn strategicznych uprzemysłowienia Polski z zachowaniem – ba! – wzmocnieniem pożądanego przez nich z powodów ideologicznych ruralnego charakteru gospodarki kraju. Tak się po prostu nie da, niezależnie od tego, jak bardzo by takiej syntezy pragnąć.

BO DO MINISTRA NIE WEZWĄ…

A teraz o samej deglomeracji. To postulat popularny; część sił politycznych (Gowin, Kukiz, Biedroń) bierze go na sztandary, a dosłownie nikt spośród pozostałych nie decyduje się wystąpić przeciw niemu. Przy czym bynajmniej nie dlatego, by był to program w oczywisty sposób dobry i pożyteczny.

Przyczyny tej charakterystycznej zgody są inne i zgoła jasne. Warszawa i jej mieszkańcy są w skali kraju dość niepopularni, nie ma tu miejsca na analizowanie przyczyn tego stanu rzeczy, ale jest on oczywisty, przy czym związane z tym emocje bywają gwałtowne. Poza stolicą, przypomnijmy, mieszka zaś ok. 95 proc. wyborców. Narazić im się w interesie pozostałych 5 proc. nie chce oczywiście nikt trzeźwo myślący.

Narazić – bo mimo że Konrad chce postrzegać deglomerację jako działanie leżące w interesie warszawiaków, to oczywiste jest, iż jakąkolwiek by czuć nostalgię za dawnymi czasami, kiedy nawet w stolicy żyło się spokojnie, to na ewentualnym masowym rozprowadzeniu urzędów po Polsce Warszawa straci. Straci miejsca pracy i coś bardziej ulotnego – czyli czar władzy. Dobrze to czują i warszawiacy, i warszawofobi. Aby dostrzec zwłaszcza to drugie, wystarczy przeczytać wpisy pod internetowymi tekstami poświęconymi projektom deglomeracyjnym.

Zgadzam się jednak z tym, że przeważać powinien interes Polski jako całości, a nie jakiejkolwiek jej części, więc i Warszawy. Nie odrzucam zatem idei deglomeryzacyjnej z jakichś przyczyn zasadniczych. Ani też dlatego, że w skali międzynarodowej brak precedensów takich rewolucji (przywoływane często Niemcy nie są argumentem, od zawsze są bowiem federacją, a nie państwem unitarnym, i zdecentralizowana jest również ich tożsamość). Niemniej nie jestem jej zwolennikiem. Z bardzo różnych powodów.

Przede wszystkim uważam, że jej ewentualna realizacja zaszkodziłaby polskiej machinie państwowej, która i tak, oględnie mówiąc, nie jest szczytem sprawności. Jest inercyjna i niedecyzyjna, a na ten stan składają się zarówno biurokratyczna formuła, jak i – specyficznie silny w Polsce – syndrom biernego oporu wyższej kasty urzędniczej przed nieodpowiadającymi jej decyzjami władz centralnych. W dodatku cierpi na charakterystyczne schorzenie, opisywane najczęściej jako „Polska resortowa", choć teraz modniej jest mówić o „efekcie silosu". Chodzi o separację poszczególnych pionów władzy i ich niezdolność lub niechęć do współdziałania, tym bardziej do wspólnego prowadzenia zintegrowanej polityki.

Jak na tę sytuację wpłynęłaby ewentualna fizyczna separacja wyższych urzędów od siebie? Nie trzeba długo rozmyślać – oczywiście (zwraca na to uwagę m.in. Jarema Piekutowski w „Nowej Konfederacji") pogłębiłaby to schorzenie. Jakiś czas temu pewien, skądinąd sympatyczny, zasłużony i inteligentny wyższy rangą urzędnik, który ostatnio zyskał stanowisko pracy w budynku położonym poza centralą jego resortu, powiedział mi, że najpierw ta sytuacja mu się nie spodobała, a teraz – i owszem. „Bo już tak nagle mnie do ministra czy wiceministra nie wezwą...". Te słowa mówią same za siebie. Podejmując rozmaite strategiczne decyzje, trzeba brać pod uwagę nie tylko logikę teoretycznych konceptów, lecz i lokalną kulturę, która na to, co praktycznie wyniknie ze strategii, wpływa w bardzo wielkim, często decydującym zakresie.

TECHNIKA TO NIE WSZYSTKO

Konrad Kołodziejski dostrzega wątpliwości, „czy da się zapewnić sprawne funkcjonowanie przeniesionych urzędów z dala od centrum decyzyjnego w stolicy", przychyla się jednak do opinii, że „obecne możliwości techniczne na to pozwalają", czego „przykładem mogą być oddziały licznych koncernów międzynarodowych, które – choć rozproszone po całym świecie – działają bez zakłóceń". Tyle że, po pierwsze, jak napisałem wyżej, trzeba brać pod uwagę efekty kultury, w której miałaby być realizowana jakaś koncepcja, a efekty kultury polskiej byłyby w tym akurat wypadku moim zdaniem destrukcyjne. Po drugie, te oddziały owych koncernów to jednak w większości wypadków ich filie lub spółki córki, a taka operująca na miejscowym rynku filia to jednak coś innego niż urząd centralny, będący częścią zintegrowanej machiny państwowej.

W POLSCE PL
Wspieraj nas, oglądając w sieciach kablowych
NETIA
NA POZYCJI
192

eprasa.pl df9b070253

A po trzecie, właśnie doświadczenia rozmaitych korporacji pokazują, że z rozśrodkowaniem pracowników lepiej ostrożnie. Wiele z takich firm wycofało się z dalej idących projektów oszczędzania na czynszu za wynajem biur drogą szerokiego wprowadzania telepracy, dostrzegłszy, że wszystkie, nawet najintensywniej używane nowoczesne środki techniczne, włącznie z telekonferencjami, nie potrafią zastąpić „zwykłego", fizycznego obcowania ludzi z sobą. Wydajność pracowników, którzy powinni współpracować, wymieniać się impulsami i pomysłami, kiedy nie przebywają na co dzień z sobą, po prostu spada, a w ślad za tym spada również efektywność całych firm. Przetransponujmy to doświadczenie na wizję rzeczywistości, w której pracownicy polskich (podkreślam – zwłaszcza polskich!) cierpiących na zaawansowaną silosowość urzędów nie będą się spotykać nawet na międzyinstytucjonalnych naradach...

Ale jeśli idzie o efektywność pracy przeniesionych urzędów, to deglomeracja musiałaby zaowocować negatywnie również w innym aspekcie. Po prostu poszedłby w dół średni poziom zatrudnionego w nich urzędnika.

I nie, nie twierdzę, jakoby poziom intelektualny kogoś z wyższym wykształceniem z prowincji był zwykle niższy niż analogicznego obywatela stolicy. Tak nie uważam. Jestem natomiast pewny, że wśród tych pracowników urzędów, którzy postawieni wobec wyboru: pozostanie w Warszawie, z perspektywą znalezienia sobie pracy w sektorze prywatnym czy w pozostałej w tym mieście części administracji albo przeprowadzka do mniejszego ośrodka, wybraliby ewentualność pierwszą, przeważaliby ci najzdolniejsi, a wśród decydujących odwrotnie – ci mniej zdolni. Nie mogłoby to nie wpłynąć na sprawność i płodność funkcjonowania zdeglomerowanych urzędów.

TO NIE JEST XVI WIEK

Istnieje ukryty aspekt polityczny pomysłów deglomeracyjnych. Oto administracja centralna jest pod wpływem liberalnej Warszawy, jest przez nią kształtowana. Deglomeracja miałaby zmienić ten stan. Tylko że doświadczenie uczy, iż Polskę z wielu powodów łatwiej zmieniać z centrali. Że siła lokalnych układów jest z reguły większa niż centralnych. Czy doprawdy przejście centralnej administracji pod wpływ tych pierwszych oznaczałoby zmianę na lepsze? Biorąc również pod uwagę kierunek, w którym w ostatnich wyborach samorządowych zagłosowały nie tylko miasta największe, lecz także średnie, a nawet mniejsze.

> Siła lokalnych układów jest większa niż centralnych. Czy przejście centralnych urzędów pod wpływ tych pierwszych byłoby zmianą na lepsze?

Ale jest jeszcze coś. Aby udźwignąć ciężar utrzymania – nie w sensie materialnym, tylko intelektualnym – instytucji o charakterze centralnym (oprócz tych lokalnych, które przecież we wzbogaconych nowymi urzędami ośrodkach pozostaną), potrzebne jest właśnie szerokie zaplecze intelektualne. Otóż w mniejszych ośrodkach, a to o nie przecież chodzi, istnieje ono w szczątkowej jedynie formie. I to się raczej nie zmieni, już choćby z racji liczby ludności niepozwalającej na utrzymanie się w takich miejscowościach znaczących i dużych uczelni ani – również sprzyjającego gromadzeniu się kompetencji – dużego biznesu.

Zwolennicy deglomeracji są w pewnym sensie bardzo polscy, bo – można przypuścić – patrzą na problem przez pryzmat złotego wieku Rzeczypospolitej, kiedy intelektualno-kompetencyjny dystans między ośrodkami jej politycznego narodu, czyli rozrzuconymi między Bałtykiem a Dnieprem dziesiątkami tysięcy dworów, a powiedzmy zamkiem w Krakowie czy też siedzibami Radziwiłłów lub Ossolińskich był często niewielki. Mamy jednak inne czasy.

Dziś deglomeracja byłaby – być może – możliwa tylko, gdyby jej beneficjentami były największe pozawarszawskie ośrodki, dysponujące liczną ludnością i zapleczem uniwersyteckim z prawdziwego zdarzenia. A więc Kraków, Poznań, Gdańsk, Wrocław, może Łódź. Ale zwolennikom deglomeracji nie o to chodzi, oni marzą o przeprowadzeniu centralnych instytucji – i to nie jednej, dwóch, tylko wielu – do miast mniejszych, rzędu tych, które w 1999 r. utraciły status wojewódzkich. Otóż z całym szacunkiem dla tych ośrodków i empatią dla ich problemów – nie bardzo jestem w stanie wyobrazić sobie realizację tych pomysłów.

* * *

Co nie znaczy, aby te problemy nie były rzeczywiste, tylko że deglomeracja nie jest ich rozwiązaniem. O które to rozwiązanie skądinąd trudno, bo – jak napisałem wyżej – metropolizacja jest procesem naturalnym i do pewnego stopnia nieuniknionym. Można jednak starać się ograniczać jego złe skutki.

Ważne jest np., aby myśleli o tym decydenci w dziedzinie transportu. Żeby ośrodki, o których mowa, nie pozostawały coraz bardziej wykluczone komunikacyjnie (przy czym, co ważne, mowa nie tylko o skomunikowaniu ich z Warszawą, lecz również między sobą).

Istotne jest – i tu zgoda ze zwolennikami deglomeracji – tworzenie warunków do stopniowej odbudowy w tych miastach warstwy inteligencji, przy czym warto, sądzę, pochylić się tu nad mapą administracyjną. Czy decyzja o likwidacji części województw z 1999 r. zatrzymana, przypomnijmy, w połowie (przecież pierwotnie nowych województw miało być znacznie mniej, miały to być niemalże niemieckie landy; często połowiczna realizacja jakiegoś pomysłu nie pozwala na urzeczywistnienie się jego dobrych stron, za to zwielokrotnia te złe) rzeczywiście nie może być zrewidowana? W tym roku minie 20 lat od reformy. Może to pora na dyskusję nad podziałem terytorialnym?

Ale dyskusje o pomysłach księżycowych, a takim jest według mnie deglomeracja, bynajmniej w tym nie pomogą.

eprasa.pl df9b070253

Konsul non grata

Konsul Sławomir Kowalski (na zdj.) przez ostatnie pięć lat robił to, do czego został powołany – pilnował, żeby ci najmniejsi polscy obywatele, którzy sami się nie obronią, mieli w Norwegii dostęp do należnych im praw

Z Kamilą Gryn, psycholog współpracującą ze Sławomirem Kowalskim, polskim konsulem w Norwegii, którego odwołania zażądały władze w Oslo rozmawia Aleksandra Jakubowska

Właśnie wróciła pani z Oslo, spotkała się tam z rodzicami, którym norweski Urząd ds. Dzieci, Barnevernet, odebrał dwumiesięczne niemowlę.

Kamila Gryn: I trójkę starszych dzieci. To szczególnie dramatyczna sytuacja.

Dlaczego zabrano te dzieci?

Mogę mówić o historiach różnych ludzi, ale niebezpiecznie mówić i pisać o tych, którzy teraz są pod „opieką" tej gminy, która wezwała policję i wyrzuciła nas razem z konsulem, kiedy chcieliśmy się spotkać z rodziną. Możemy rozmawiać tylko o sprawach tych dzieci, które są bezpieczne.

Jak trafiła pani do Norwegii?

Realizowałam tam projekt pomocy psychologicznej dla Polaków finansowany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych z funduszy polonijnych. Zaczęłam ten projekt pięć lat temu. W tym samym czasie Sławomir Kowalski rozpoczął swoją pracę w konsulacie w Oslo i dzięki temu nasze drogi się skrzyżowały. Otoczył on szczególną opieką konsularną polskie dzieci przebywające z rodzicami w Norwegii.

Konsul poprosił panią o wsparcie w swoich potyczkach z Barnevernetem?

Zwróciła się do niego rodzina o pomoc po odebraniu im dwójki dzieci – półtorarocznego i sześcioletniego. Zadzwonił do mnie wieczorem, powiedział, że spotkał się z tymi ludźmi, długo z nimi rozmawiał i odniósł wrażenie, iż ma przed sobą kochających rodziców, którzy zrobią wszystko, aby odzyskać dzieci. Tymczasem z dokumentów, które rodzice otrzymali od Barnevernetu, wynika, że „oni się do niczego nie nadają". Konsul zapytał, czy mogłabym pojechać następnego dnia na spotkanie tych rodziców z odebranymi dziećmi, takie kontrolowane spotkanie, które Barnevernet organizuje. I zobaczyć, jak to będzie wyglądało, jakie ci rodzice mają relacje z dziećmi. Chciał mieć obiektywną ocenę.

No i pojechała pani na to spotkanie.

I to był początek naszej współpracy. Telefony o północy, po północy – konsul tak pracuje, nie odmawia pomocy nikomu. Pojechałam na to spotkanie i byłam świadkiem pełnego uczuć, świetnego spotkania rodziców z dziećmi. Oczywiście było trudne, momentami dramatyczne, zwłaszcza przy rozstaniu. Pierwszy raz widziałam takie spotkanie i pamiętam to żywo do dziś. Trudno mi było potem dojść do siebie, choć przecież jako psycholog pracowałam w Polsce wiele lat i spotykałam się z różnymi, czasami dramatycznymi sytuacjami. Ale z czymś takim nie miałam do czynienia.

Spotkanie oczywiście było w obecności urzędników Barnevernetu i pod ich kontrolą?

Tak. I to właśnie ci urzędnicy wynosili te dzieci. Sześciolatka łapała się mamy, tak ją oplotła rękoma, że musieli ją od niej odrywać, i wyciągnięto ją z tej sali za nogi. Widziałam, jak dziewczynka, która wiedziała, ile ma trwać spotkanie, nerwowo obserwowała zegar. Kiedy zbliżało się do końca, zaczęła się przyklejać do mamy, obejmować ją, wchodzić na kolana... I kiedy padło polecenie „Masz się ubrać i wyjść",

eprasa.pl df9b070253

nastąpiły te dramatyczne sceny. Potem jeszcze wiele razy widziałam takie sytuacje...

Jakich argumentów użył Barnevernet, odbierając dzieci tej rodzinie?

Szkoła zgłosiła podejrzenie przemocy domowej i dzieci po prostu zostały zabrane – dziewczynka ze szkoły, a półtoraroczne dziecko wyciągnięte z łóżeczka, które stało w ogrodzie przy domu.

A na czym ta przemoc miała polegać zdaniem szkoły?

Dziewczynka miała czerwony ślad na czole.

I jak rodzice tłumaczyli ten ślad?

Bawiła się z młodszym bratem i uderzył ją zabawką, niefortunny przypadek, ale przecież takie zdarzają się wśród małych dzieci.

Sześcioletnia dziewczynka zapewne opowiedziała w szkole, jak to się stało.

Nic wtedy nie pomogło. Ale sprawa skończyła się w sądzie i prawomocnym wyrokiem dzieci po ponad pół roku wróciły do rodziny.

To była duża trauma dla dzieci.

Młodszy chłopczyk po czterech miesiącach w rodzinie zastępczej miał łyse placki na głowie, wyskubywał sobie włoski. Rodzice alarmowali, co się dzieje z ich synem. Barnevernet tłumaczyło, że tak dobrze czuje się w norweskiej rodzinie zastępczej, iż odreagowuje teraz traumę z domu rodzinnego.

Obserwuje pani od pięciu lat pracę norweskiego Urzędu ds. Dzieci. Czy rzeczywiście w większości przypadków zabiera on dzieci pod byle jakim pretekstem? Czy to urzędnicza machina, dostarczająca norweskim rodzinom zastępczym, które dostają za to duże pieniądze, dzieci, nie biorąc w ogóle pod uwagę ich dobra? Konwencja o prawach dziecka nie obowiązuje w Norwegii? Państwo wie lepiej niż rodzice, co jest dobre dla dziecka?

Wspomniała pani o bardzo ważnej sprawie – Konwencji o prawach dziecka. I właśnie konsul jest strażnikiem tych praw. Zawsze podkreśla na spotkaniach z rodzicami czy norweskimi instytucjami, że jest komentarz do tej konwencji, wykładnia prawa, która jasno mówi, co jest dobrem dziecka. Nie może tak być, jak słyszymy w Barnevernet, że dziecko nie będzie miało kontaktu z językiem polskim, bo to jest dla niego „dodatkowy" język i będzie za dużo zamieszania. To jest właśnie naruszenie praw dziecka, ich łamanie. I konsul jest taką osobą, która tych praw pilnuje. Z tego powodu norweski urząd ma z nim problem.

Odcięcie dziecka od ojczystego języka to przecież wynaradawianie.

Kontrolowane przez urząd spotkania rodziców z odebranymi dziećmi muszą się odbywać w obecności tłumacza na język norweski, tak żeby urzędnicy wiedzieli, o czym toczy się rodzinna rozmowa. I np. tuż przed wejściem na salę, gdzie rodzice mają się widzieć z dziećmi, dowiadują się, że spotkanie jest odwołane, bo nie ma tłumacza. Rodzice czekali na to spotkanie długo, dla dziecka jest to jedyny kontakt z polskim językiem, który został mu uniemożliwiony. To jest brutalne naruszenie praw tych dzieci. I o takich przypadkach konsul informuje Barnevernet. Wytykanie łamania prawa jest dla urzędu kłopotliwe.

Że ktoś im o tych prawach przypomina? Że to nie oni je ustanawiają?

Konsul przez te ostatnie pięć lat robił to, do czego m.in. został powołany – pilnował, żeby ci najmniejsi polscy obywatele, którzy sami się nie obronią, mieli w Norwegii dostęp do należnych im praw.

Jak wiele takich spraw udaje się państwu załatwić pozytywnie? Ile dzieci wróciło do rodzin dzięki państwa pomocy?

Przez te lata zwróciło się o pomoc około 150 polskich rodzin. Dzieci odzyskało prawie 70.

Reszta jest w norweskich rodzinach zastępczych?

Tak. I widują swoich rodziców średnio cztery razy w roku, po dwie godziny. Bywa to potem zmniejszane do dwóch godzin w roku, takie przypadki też mamy.

Nie ma w Norwegii szkół z polskim językiem, gdzie w soboty mogłyby przychodzić dzieci Polonii?

Mamy sprawę dziewczynki, która jest w rodzinie zastępczej w miejscowości, w której jest taka szkoła. Mogłaby tam chodzić dwa razy w miesiącu w soboty. Nasza interwencja w tej sprawie w Barnevernet nie przyniosła rezultatu. Słyszymy: nie, to jest dla niej przeciążenie, żeby uczyła się dodatkowego języka.

Przecież chodzi o to, by nie zapomniała ojczystego języka.

Ona już nie mówi po polsku. Jest w tej rodzinie zastępczej cztery lata.

I sądową drogą nic w tej sprawie nie można uzyskać?

Na kwestie języka, tożsamości, tego, co jest zapisane w Konwencji o prawach dziecka, norweskie sądy i urzędnicy są głusi.

Jest szansa, że ona kiedyś wróci do swoich rodziców?

Zgodnie z prawem jest szansa, bo zabranie dziecka ma być, po pierwsze, rozwiązaniem ostatecznym, kiedy inne środki pomocy rodzinie zawiodą, a jeśli już to nastąpi, to ma być rozwiązaniem czasowym. I co roku powinno być weryfikowane – czy sytuacja rodziny się zmieniła, czy dziecko może wrócić. Praktyka pokazuje, że w Norwegii jest to bardzo trudne.

A gdy już dziecko zostanie zabrane rodzinie, to Barnevernet jakoś interesuje się tą rodziną, pomaga jej, próbuje rozwiązać problemy, które zdaniem urzędników ma rodzina?

1/0219/F

eprasa.pl df9b070253

Barnevernet nie jest zainteresowane zmianami w rodzinie biologicznej. Praktyka pokazuje, że te odebrania są trwałe. Trzeba walczyć, żeby odzyskać dzieci. Rodzice mają wsparcie w polskiej ambasadzie, która organizuje i współfinansuje dla nich kursy podnoszące kompetencje wychowawcze czy pomoc psychologiczną. Odzyskane dzieci relacjonują, jak były w rodzinach zastępczych traktowane, jak im tłumaczono, że bycie rodzicami to jest zawód, mówiono: „Twoi rodzice nie nadają się do tego, by być rodzicami" – tak były indoktrynowane jeszcze przed wyrokiem sądu. Takie rzeczy są mówione dzieciom codziennie.

Umieszczenie dziecka w pieczy zastępczej bywa niekiedy całkowicie uzasadnione. Czy tacy rodzice również się do was zgłaszają?

Do polskiego konsulatu zgłaszają się przede wszystkim te rodziny, które czują się pokrzywdzone. Nie można oczywiście wykluczyć, że Barnevernet zabiera także dzieci z rodzin, gdzie są ciężkie warunki albo jest zagrożone bezpieczeństwo, zdrowie czy dobro dziecka.

Państwo to weryfikują?

Szukamy odpowiedzi na pytanie, czy poczucie krzywdy rodziców jest uzasadnione. Konsul sprawdza nie tylko to, czy są zachowane prawa dziecka, lecz także prawa rodziców – a mają prawo do adwokata, jego wyboru, do polskojęzycznych spotkań.

Konsul zasięga pani opinii w sprawach relacji rodzice – dzieci...

...ale również spotyka się z dziećmi. Rozmawia z nimi, pyta, czego one chcą.

Z perspektywy pięciu lat przypadków odbierania polskich dzieci rodzicom jest mniej więcej tyle samo?

Nie wiem. Na pewno więcej polskich rodzin zgłasza się do konsulatu, ponieważ zrobiło się głośno, że tam można znaleźć wsparcie oraz że konsul pomaga skutecznie. Oczywiście nie bierze pod pachę dziecka i nie zwraca rodzicom, on nie postępuje tak jak Barnevernet. Jeździ ze mną na spotkania, jesteśmy w roli obserwatorów, ja zeznaję później w sądzie, jeżeli jest taka potrzeba. Konsul stoi na straży nie tylko przestrzegania prawa międzynarodowego, wynikającego z Konwencji o prawach dziecka czy praw człowieka, lecz także przepisów Barnevernetu.

Sugeruje pani, że urzędnicy Barnevernetu naruszają prawa swojej instytucji?

Bardzo często. Gdy konsul jest na spotkaniach, urzędnicy muszą pracować tak, jak mają w przepisach, a nie jak im się podoba albo jak chcą. Bo w przepisach Barenvernetu wszystko jest przepięknie – dobro dziecka jest na pierwszym miejscu. Ale w praktyce wychodzi, że gdy konsul jest obecny, to jakoś ciężej im się pracuje.

REKLAMA

RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

W Polsce decyzje o powierzeniu dziecka pieczy zastępczej podejmuje sąd. W Norwegii to wyłącznie decyzja urzędnika, dopiero potem na drodze sądowej rodzice mogą dochodzić swoich praw.

Wróćmy do tej pierwszej rodziny, z którą pracowałam – sąd orzekł, że dzieci mają wrócić natychmiast do domu, że to był błąd urzędników. Nie minął miesiąc nawet, jak urzędnik Barnevernetu znowu zapukał do drzwi i powiedział, że są zaniepokojeni, czy na pewno jest wszystko dobrze w tej rodzinie i zaczynają trzymiesięczny okres obserwacji. Wszyscy byliśmy zszokowani, a rodzice z dziećmi czym prędzej z Norwegii wyjechali, by nie przeżywać po raz drugi tej gehenny. Okazało się, że wyrok sądu niczego nie gwarantuje, urzędnik może przyjść dwa dni później, bo poczuł wewnętrzne zaniepokojenie.

Sąd sądem, a Barnevernetu musi być na wierzchu.

I to sprawia, że ludzie muszą czasami lękać się o rodzinę latami.

Dla kilku tysięcy, a może i większej liczby rodzin w Norwegii bycie rodziną zastępczą jest źródłem utrzymania. Szczególnie w regionach rolniczych, a jeszcze nad tym wszystkim są prywatne spółki je nadzorujące i też na tym zarabiające. Budżet Barnevernetu jest porównywalny z wydatkami Norwegii na obronność. I jeszcze do tego niektórzy urzędnicy tej instytucji też są rodzinami zastępczymi. Dobry interes się kręci...

To jest biznes, mogę to potwierdzić. Mieliśmy takie przypadki, gdy urzędnik, który decyduje o odbiorze dziecka, jest rodzicem zastępczym dla innego dziecka. On odbierze dziecko i da koledze z innej gminy i odwrotnie. Konsul też to podnosił i dopytywał na wyższych szczeblach, czy to nie jest konflikt interesów, czy oni nie widzą, że to może rodzić patologie, brak obiektywizmu, że dobro dziecka schodzi wtedy na dalszy plan. Ale niestety tutaj są takie praktyki, to mogę potwierdzić.

I środowisko międzynarodowe, i grupa osób w Norwegii zwracają uwagę na to, co się dzieje w Urzędzie ds. Dzieci, mamy też rezolucje Rady Europy zaniepokojonej praktykami Barnevernetu, a jednak rząd norweski ma znakomite samopoczucie, pani minister ds. rodziny mówi, że przedstawiciele innych krajów powinni przyjeżdżać do Norwegii i uczyć się, jak powinna wyglądać praca instytucji opiekującej się dziećmi.

Jeśliby poprosić Norwegów, żeby zrobili prezentację tego systemu, to będzie wszystko znakomicie wyglądało. Praktyka, z którą miałam okazję się zetknąć, pracując z panem konsulem, nieraz wygląda dramatycznie. Apelowanie, nawet do wyższych instancji, że dziecku dzieje się krzywda, nie przynosi rezultatu. Miałam taką sytuację, że zabrany siedmioletni chłopczyk po prostu niknął w oczach. Jeszcze trzy tygodnie po odebraniu mówił na spotkaniach z konsulem, że on niedługo wróci do domu, do rodziców, swojego psa, za którym też tęsknił, że to tylko tak na chwilę, kopał z konsulem w pokoju zabaw piłkę, bo to były akurat mistrzostwa świata. Obserwowaliśmy, jaki dramat dzieje się z tym dzieckiem, nieoddawanym z miesiąca na miesiąc. W raportach czytaliśmy o sennych koszmarach, moczył się już nie tylko w nocy, lecz również w dzień. Szkoła o tym informowała, kładł się na podłodze w pozycji embrionalnej, zaczął seplenić. Dziecko wróciło do rodziców po strasznej walce z tą instytucją, po 362 dniach, w stanie tragicznym. Konsul wielokrotnie interweniował, by cokolwiek zrobiono, prosił o pomoc bez skutecznej reakcji ze strony norweskiej. Jednak jestem przekonana, że jego konsekwencja przyczyniła się do powrotu chłopca do rodziny.

> Młodszy chłopczyk po czterech miesiącach w norweskiej rodzinie zastępczej miał łyse placki na głowie, wyskubywał sobie włoski. Polscy rodzice alarmowali, co się dzieje z ich synem. Barnevernet tłumaczyło, że... dziecko odreagowuje traumę z domu rodzinnego

Nie ma żadnego nadzoru nad tą instytucją?

Jeżeli Barnevernet podjęło decyzję, że tak ma być, bo tak jest dobrze, to znaczy, że jest dobrze. Nie może być dobry system, w którym urzędnik określa, co jest dobre, a co nie.

Czy kwestia udzielenia w Polsce azylu norweskiej matce, uciekającej przed urzędnikami Barnevernetu, którzy chcieli odebrać jej dziecko, nie miała wpływu na żądanie odwołania konsula? Czy nie jest to jakaś odwetowa akcja?

Byłaby to dość prymitywna reakcja.

A jak to było komentowane w Norwegii?

Jak najmniej. Podobnie jak teraz sprawa odwołania pana konsula. Jest cisza. Ukazał się tylko film w mediach elektronicznych, jak skandalicznie konsul został potraktowany przez norweską policję. W norweskich mediach jednak cisza.

Ale są zbierane podpisy przeciwko odwołaniu konsula Kowalskiego i nie tylko Polacy je składają.

Tak, Norwegowie się podpisują. W ogóle mam takie odczucie, gdy śledzę to w mediach społecznościowych, że Norwegowie potrzebowali takiego konsula, żeby się trochę podnieść, bo oni też widzą te nieprawidłowości. W 2015 r. 200 norweskich specjalistów wysłało do rządu skargę na to, jak pracuje Barnevernet, ale nic się nie zmieniło w tej kwestii. A jest duża grupa Norwegów świadomych tego, że to się powinno zmienić.

eprasa.pl df9b070253

W walczącym o pięć Oscarów filmie „Green Book" zupełnie nie przypomina Aragorna z „Władcy Pierścieni". Przed kamerą Viggo Mortensen jest jak kameleon. A poza planem to człowiek renesansu – poeta, malarz, kompozytor, fotograf

Jak kameleon

Fot. Shutterstock

eprasa.pl df9b070253

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Fot. Mat. prasowe

Dwadzieścia dodatkowych kilogramów, do tego aktorski warsztat i na ekranie nie ma śladu po przystojnym (mimo sześćdziesiątki w metryce), intrygującym blondynie z duńskim nazwiskiem. Ani po wspaniałym władcy z trylogii Tolkiena, sfilmowanej przez Petera Jacksona. Jest za to przyciężki, prostacki Tony – amerykański Włoch z Bronxu, kolejne wcielenie niezwykle ciekawego człowieka – Viggo Mortensena. Aktora, poety, fotografa, malarza, wydawcy... Porozumiewającego się swobodnie w kilku językach poznanych dzięki wieloletnim wędrówkom po świecie. Człowieka, który wydaje się nie bać żadnej pracy, pasji ani wyzwania. Kolejne zmiany to dla niego najwyraźniej koło napędowe.

WESSANY DO FILMU

Urodził się w Nowym Jorku. Matka Amerykanka i ojciec Duńczyk poznali się w Norwegii. Potem wędrowali, już z synem, przez Wenezuelę, Danię, na dłużej zatrzymali się w Buenos Aires. Tam w szkole podstawowej Viggo nauczył się mówić płynnie po hiszpańsku (dziś ma na koncie m.in. kilka tomików wierszy napisanych w tym języku, po angielsku zresztą też).

Po rozwodzie rodziców wrócił z matką do Nowego Jorku. Nim zaczął realizować marzenia o aktorstwie, zdobył licencjat na wydziałach iberystyki oraz nauk politycznych i... wyjechał do Europy. Mieszkał w Anglii, Hiszpanii i Danii, gdzie utrzymywał się, pracując m.in. jako kierowca ciężarówki i sprzedawca kwiatów.

Aktorskie początki nie były łatwe. Sceny z jego udziałem zostały wycięte m.in. przez Woody'ego Allena (z „Purpurowej róży z Kairu"). Ostatecznie zadebiutował w 1985 r. rolą amisza w „Świadku" Petera Weira. Od tamtej pory gra stale. I udało mu się znaleźć równowagę między kinem głównego nurtu a ambitniejszym repertuarem. Pojawił się w „Teksańskiej masakrze piłą mechaniczną 3", ale też w festiwalowym „Indiańskim biegaczu" Seana Penna.

Trafił również do Polski, gdzie Lech Majewski kręcił „Ewangelię według Harry'ego". Na malowniczych wydmach okolic Łeby aktor o mało nie stracił życia. Uparł się, że spędzi na nich noc w namiocie. Nad ranem, w ostatniej chwili, uratowała go ekipa, wyciągając z ruchomych piasków.

FIZYCZNOŚĆ ROLI

W latach 90. można go było zobaczyć m.in. u boku Demi Moore w „G.I. Jane", „Morderstwie doskonałym" z Gwyneth Paltrow, „Portrecie damy" z Nicole Kidman czy „Tunelu" z Sylvestrem Stallone'em. Wciąż stał jednak na drugim planie. Wyciągnął go z niego Peter Jackson.

Dla masowej publiczności stał się Aragornem z „Władcy Pierścieni". Nie dał się jednak zaszufladkować. Podejmował różnorodne wyzwania. Dzięki Davidowi Cronenbergowi dostał pierwszą nominację do Oscara (za „Wschodnie obietnice"). Drugą przyniosła mu niezależna amerykańska produkcja „Captain Fantastic". Najnowszy „Green Book" daje mu szansę na statuetkę złotego rycerza po raz trzeci, potwierdzając jego aktorską wszechstronność oraz umiejętność, także fizyczną, pełnego wejścia w rolę. By zagrać klubowego wykidajłę z Bronxu, nie tylko przytył 20 kg. Przejął też akcent i mentalność potomka włoskich imigrantów. Stał się Tonym.

Mortensen słynie ze spektakularnych form przygotowywania się do aktorskich zadań. Gdy miał zagrać członka rosyjskiej mafii we „Wschodnich obietnicach", na kilka tygodni, z plecakiem, w pojedynkę, bez znajomości języka, wyjechał do Rosji. Był w Moskwie, Petersburgu i na Syberii, skąd pochodził jego bohater. Uczył się akcentu, poznawał znaczenia lokalnych więziennych tatuaży. Po ostatnim klapsie, w pełnej charakteryzacji, poszedł do pobliskiego baru. Zrobił wielkie wrażenie.

Gdy szukał w sobie Aragorna, zabierał do domu filmowe fragmenty ekwipunku, dokonywał samodzielnych poprawek w zbroi, kilkakrotnie też dostawał upomnienia od policji za... wymachiwanie białą bronią na ulicy. Ponoć zdarzyło mu się nawet spać z mieczem, którym posługiwał się na planie... Chyba było warto. W 2015 r. zagrany przez niego Tolkienowski bohater zajął 15. miejsce w rankingu „100 najlepszych postaci filmowych" magazynu „Empire".

ARTYSTA WSZECHSTRONNY

Ale Mortensen to nie tylko aktor. Maluje, fotografuje, komponuje, pisze. Za część gaży z „Władcy Pierścieni" założył wydawnictwo Perceval Press, w którym publikuje niszowych artystów. Mieszka z dala od Hollywood, w Madrycie, z żoną, hiszpańską aktorką Ariadną Gil. Ma 30-letniego syna Henry'ego z poprzedniego małżeństwa z punkrockową piosenkarką Exene Cervenką.

Rola Tony'ego, jak podkreśla, miała dla niego szczególne znaczenie, bo „Green Book" to film o wartościach, którym sam hołduje: szacunku i otwartości na drugiego człowieka. „Ludzie nie dogadują się z sobą, bo się siebie boją. A boją się siebie, bo się nie znają. A nie znają się, bo nigdy się z sobą nie komunikowali. O tym właśnie jest »Green Book« i o to samo powinno chodzić w kinie. O porozumienie".

27/0119/F

eprasa.pl df9b070253

MocArty
RMF CLASSIC
2018

RMF Classic

Wejdź na
www.rmfclassic.pl

Zagłosuj i wygraj zaproszenia na Galę Finałową oraz wiele innych cennych nagród!

eprasa.pl df9b070253

Fot. Patti Perret/Universal Studios/M2 Films

„Zielona książeczka": symbol rasizmu

Choć „Green Book" jest sztampową i banalną opowieścią o przyjaźni dwóch ludzi z zupełnie różnych środowisk, to jednocześnie mówi nam o problemach rasowych w USA więcej niż naukowe elaboraty

ŁUKASZ ADAMSKI

„Zielona książeczka" czy raczej „Zielony Przewodnik Turystyczny dla Murzynów" jest symbolem prawnego usankcjonowania segregacji rasowej w południowych stanach USA. Książka została napisana przez nowojorskiego listonosza z Harlemu Victora Hugo Greena. Między rokiem 1936 a 1966 była wznawiana wielokrotnie.

Na mocy tzw. praw Jima Crowa przepisy poszczególnych stanów i miejscowości zakazywały małżeństw oraz konkubinatów Afroamerykanów z białymi i nawet głoszenia idei równouprawnienia. Segregacja rasowa zabraniała korzystania z tych samych szkół, restauracji, publicznych toalet, hoteli, a miejsca w autobusach dla czarnych były specjalnie oddzielone od reszty. Dopiero przyjęcie Civil Rights Act w 1964 r. i Voting Rights Act w 1965 r., podpisanych przez prezydenta Lyndona B. Johnsona, zniosły segregację rasową.

„Zielona książeczka" pomagała podróżującym samochodami Murzynom unikać nieprzyjaznych miejsc. Warto było wiedzieć, że część miasteczek na południu zabraniało Afroamerykanom poruszać się w miejscach publicznych po zachodzie słońca.

KUMPLOWSKA KOMEDIA

Mimo mrocznych czasów, w jakich „Zielona książeczka" powstała, „Green Book" jest klasycznym feel good movie. To ciepła i urocza komedia kina drogi zbudowana na dwóch przeciwstawnych bohaterach. Dwóch mężczyzn z różnych środowisk, którzy muszą się „dotrzeć" i zmienić chropowatą relację w prawdziwą przyjaźń? Podróż, która wyleczy duszę i odmieni każdego z bohaterów? Widzieliśmy to wiele razy nie tylko w kinie amerykańskim. O tym samym był francuski hit „Nietykalni".

Sukces tego filmu (trzy Złote Globy, w tym za najlepszą komedię roku, i pięć nominacji do Oscara) tkwi w społecznym tle i prawdziwej historii stojącej za tą polukrowaną przypowieścią. Ale nie tylko.

Dr Don Shirley (Mahershala Ali) był podziwianym kompozytorem i jazzowym pianistą. Mieszał muzyczne gatunki, był dogłębnie wykształconym erudytą, biegle władającym kilkoma językami. Pisał organowe symfonie i miał własny tercet muzyczny, z którym w latach 60. XX w. wyruszył w trasę po południowych stanach USA. Biali z południa go oklaskiwali.

eprasa.pl df9b070253

Zapraszali na koncerty. Celebrowali jego talent. Ci sami biali nie pozwalali mu jednak korzystać ze swoich toalet i jadać w restauracji z pozostałymi członkami tercetu (Rosjaninem i białym Amerykaninem). Wszystko przez segregację rasową. Dlatego Shirley zabrał z sobą w kilkumiesięczną trasę po rasistowskiej Ameryce znanego na nowojorskim Bronksie wykidajłę Tony'ego „Lipa" Vallelonga (Viggo Mortensen).

Znany do tej pory z takich komedii jak „Głupi i głupszy" reżyser Peter Farrelly nie wyważa tu żadnych drzwi. Kino drogi i debata o tolerancji zostały już dawno złączone. Gejowski wątek mieliśmy w „Lepiej być nie może" (1997), a film „Wożąc panią Daisy" (1989) eksploatował wątek rasowy. Różnica jest taka, że w „Green Book" to Afroamerykanin jest wykształconym pasażerem, mieszkającym w złotym apartamencie na Manhattanie, a kierowcą jest biały Włoch pochodzący z nizin społecznych. Reszta jest szablonowa. Shirley uczy wyjętego z kina o mafii makaroniarza ogłady, wysokiej kultury i niszczy jego uprzedzenia, Tony „Warga" zaś broni go pięściami i zaraża miłością do masowej muzyki Little Richardsa. Uczy go też jeść kurczaki z KFC i zgodnie z ulicznym kodeksem honorowym pcha do sprzeciwu wobec białego rasizmu. Jeżeli znacie kino o rasizmie amerykańskiego Południa ery segregacji rasowej, niewiele was tutaj zaskoczy. Dosyć sztampowa historia broni się natomiast wspaniałymi kreacjami aktorskimi i lekkim, inteligentnym humorem.

WIELKIE AKTORSTWO

Przeobrażony fizycznie do tej roli Viggo Mortensen jako drobny cwaniaczek wyjęty z „Ulic nędzy" Scorsese albo „Prawa Bronxu" De Niro doskonale opanował mimikę, gestykulację i akcent nowojorskich Włochów. Co ciekawe, prawdziwy Tony Vallalonga był aktorem. Jego syn Nick (współscenarzysta „Green Book") mówi, że to właśnie podróż z Shirleyem totalnie zmieniła ojca. Tony „Lip" nigdy nie odciął się od swojej dzielnicy, gdzie mieszkał niedaleko słynnego Dona Johna Gottiego. Zagrał małe role w „Ojcu chrzestnym", „Chłopcach z ferajny", „Donnie Brasco", a w „Rodzinie Soprano" wcielił się w gangstera Carmine'a Lupertazziego.

Również Ali dowodzi, że Oscar za „Moonlight" nie był pomyłką Akademii, i tworzy poruszającą rolę odciętego od „swoich ludzi" czarnoskórego geniusza. Zbyt białego dla czarnych i zbyt czarnego dla białych. Rola Shirleya wpisuje się zresztą w filmowe poszukiwania Alego, który w nowym sezonie „Detektywa" gra policjanta z przetrąconym moralnym kręgosłupem. Poznajemy go w różnych okresach życia na przełomie trzech dekad. Ali lubi postacie skomplikowane i niejednoznaczne. Aktora w Donie Shirleyu zaintrygowała właśnie jego enigmatyczność. „Był świetnie wykształcony, niezwykle oczytany, znał języki obce, mieszkał i studiował w Rosji i w Anglii. Jako Afroamerykanin budził zdumienie, grając muzykę klasyczną. Nie rozumiano, dlaczego nie gra muzyki popularnej, utożsamianej z Afroamerykanami" – mówił Ali.

Kłótnia dwóch przedstawicieli pogardzanych mniejszości (Włosi obok Polaków i Irlandczyków byli przez lata mocno pogardzaną mniejszością narodową w USA) nie tylko kipi od emocji i pokazuje cały wachlarz aktorskich umiejętności obu aktorów, lecz również mówi o rasowych problemach Ameryki więcej niż niejeden elaborat. W 2013 r., po ponad 50 latach przyjaźni, Tony Vallelonga i Don Shirley zmarli niemal w tym samym czasie. Tony odszedł 4 stycznia 2013 r. w wieku 82 lat, a Don – 6 kwietnia 2013 r. w wieku 86 lat. Cóż, bardzo hollywoodzka opowieść.

ZBYT MAŁO ANTYRASISTOWSKI?

Czy jest to więc kolejny antyrasistowski film hollywoodzki, jakich wiele powstało w ostatnich latach w fabryce snów? Tak, choć wzbudza też niechęć u krytyków wyczulonych i świetnie znających niuanse rasowych problemów Ameryki. Filmoznawca dr Michał Oleszczyk napisał na Facebooku, że jest to „film o tym, że jeśli czarnoskóry Amerykanin nauczy się ośmiu języków, zagra na fortepianie jak Mozart i zamieszka nad Carnegie Hall, to wówczas może (może!) dostąpi zaszczytu bycia zaproszonym na obiadek do domu białego rasisty z Bronxu". Krytyk opublikował też recenzję znakomitego czarnoskórego amerykańskiego krytyka filmowego Odiego Hendersona, zarzucającego filmowi wpisywanie akceptowalnego czarnoskórego bohatera w określony wizerunek z oczekiwań białych.

Cytuję tę opinię, bo nie jest ona odosobniona w USA. Podobne tezy głosi gniewny weteran afroamerykańskiego kina Spike Lee, którego „Czarne bractwo. BlacKkKlansman" jest nominowane do tegorocznych Oscarów w tych samych kategoriach co „Green Book". Znamienne, że w kategorii Najlepszy film oba tytuły zmierzą się z nakręconą niemal wyłącznie przez czarnoskórych twórców „Czarną panterą", która jest pierwszym filmem o superherosach (Marvel) nominowanym do najważniejszego Oscara.

Mimo tych niewątpliwych sukcesów i „czarnej fali" płynącej przez Hollywood pojawiają się głosy, że w fabryce snów wciąż panuje dyskryminacja. Jednak pierwsze dwie dekady XXI w. obfitują w kino mówiące o rasizmie wobec czarnych w każdej możliwej konfiguracji narracyjnej. Nominacje do Oscarów i statuetki w najważniejszych kategoriach zdobywały w ostatnich latach takie filmy jak „Mudbound" (Rees), „Selma" (DuVernay), „Django" (Tarantino), „Moonlight" (Jenkins), „Zniewolony" (McQueen) czy „Straight Outta Compton" (Gray). Czy to oznacza, że Afroamerykanie, jak Odie Henderson, histeryzują i nigdy nie będą do końca zadowoleni z pokazywania czarnych w Hollywood? Wiele jest wśród środowisk afroamerykańskich histerii, roszczeniowości (szkodliwa dla samych Afroamerykanów akcja afirmatywna) i nawet odwróconego rasizmu wobec białych.

Nie zapominajmy jednak, że w ostoi światowej demokracji, biblijnym „mieście na górze", prawie 200 lat po zniesieniu niewolnictwa wydawana była „Zielona książeczka" informująca, do której toalety i restauracji nie wolno było wejść czarnoskóremu, nawet wybitnemu muzykowi, chwilę wcześniej oklaskiwanemu przez białą widownię. Trudno mentalnie pokonać taką spuściznę rasizmu. Trudno ją też zrozumieć Europejczykom, a szczególnie Polakom żyjącym w kraju wolnym od rasowych problemów takiego kalibru.

eprasa.pl df9b070253

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Ludożercy Putina

„Ekspedycja" Wiktora Szenderowicza w Teatrze Telewizji! Są rzeczy stałe. Rosja jak była wielka, groźna i podmyta rozkładem, tak jest. A zarazem... A zarazem literaturę ma wciąż żywotną, ciekawą, podszytą niepokojem. Często obawą o samą siebie, a może przed samą sobą.

Autor kapitalnych „Aniołów i ludzi" jest otwartym kontestatorem putiniady. A jednak przestrzegam: nie idźcie mechanicznie za zajawkami. To prawda, opowieść o młodym, idealistycznym wysłanniku ONZ, który odwiedza ludożercze Plemię Końca Świata przekonany, że je nie tylko obdaruje, lecz również ucywilizuje, pasuje do relacji między putinowską Rosją a Zachodem. Ale czy tylko?

Nie lubię deszyfrowania wymowy utworów, ale w tym przypadku mnie korci. Dla jednych to będzie o niemożności ucywilizowania barbarzyńców, mielibyśmy więc uderzenie w nadoptymizm lewicy. Dla innych – szyderstwo z uzasadniania złych rzeczy tradycją, więc cios w narodowy konserwatyzm prawicy.

Tym się różni dobra literatura od średniej, że daje się czytać na różne sposoby. Nawet wspak. A możemy się też umówić, że to po prostu przypowiastka o naturze człowieka. Taka mająca długą tradycję, gęsta i mądra, mimo w sumie dość lekkiej formy. Dawno nie widzieliście rozumnej makabreski? To Teatr Telewizji wam ją pokazał.

Po chwilowej zadyszce na początku sezonu ten teatr wraca do formy. I mówi do nas o rzeczach ważnych. Narzekałem na przewagę historii nad współczesnością w widowiskach TVP. No to tu mamy kopniak od współczesności. Rosjanin Szenderowicz powinien zawstydzić nasze dramatopisarstwo.

Wojciech Adamczyk, reżyser „Rancza", umie opowiadać atrakcyjnie. Ta przypowiastka trwa dokładnie tyle, ile powinna. Ma prześmiewczą, umowną dekorację Marceliny Początek-Kunikowskiej i muzykę Pawła Lucewicza koniecznie imitującą bębny. Ma żartobliwe kostiumy Katarzyny Adamczyk i charakteryzację dostrojoną do absurdalnego stylu autora. Który każe ludożercom nawijać językiem nowoczesnych sloganów i paradoksów – nie szukajcie tu prawdopodobieństwa. Zarazem jesteśmy zaskakiwani zwrotami akcji – do samego końca. Równie szybko jak skręca akcja, galopują morały. Kolejne.

Sztuka o ludożercach lekka jak pianka? Tak, właśnie. Nie zawodzi Cezary Żak jako sofistyczny wódz, cyniczny i pozbawiony złudzeń, Marta Lipińska – jako rozkoszna w swojej absurdalności jasnowidząca teściowa wodza, i Martyna Byczkowska jako córka wodza, biologiczna i coraz lepiej wiedząca, czego chce, połączenie naiwności i okrucieństwa. Krzysztof Dracz, jak zawsze bezbłędny, jako mocno ucharakteryzowany szaman Wudu. Zaskakuje student Akademii Ignacy Liss w ujmującej roli młodego Paluszka, tęskniącego niejasno za tym, aby być innym człowiekiem. Żadne nie spycha sztuki ku farsie. Czują, że dystans, umowność to jedyna recepta na nią.

Adrian Zaremba miał najtrudniejsze zadanie. Rola Alberta, świeckiego misjonarza, to rola człowieka dobrego. No a dobrych grać bez sztampy najtrudniej. Z drugiej strony to nasz przewodnik po tym świecie, ktoś, kto nam przekazuje morały. Zaremba także posiadł sztukę bawienia bez szarży. I równocześnie – mimo całej zabawy postacią, jej umownością – sztukę bycia przejmującym. Chapeau bas dla młodego aktora.

Bo ta sztuka, na której śmiałem się na głos, jest przejmująca, smutna, nawet gdy bawimy się jej finałem. Ta zabawa to ostatnia pułapka dramaturga zastawiona na nas. Bo to jest przecież o przyzwoleniu na zło. Czy i my nie przyzwalamy?

Piotr Zaremba

57/1118/F

KONGRES RUCHU „EUROPA CHRISTI" 2019

1150. ROCZNICA ŚMIERCI ŚW. CYRYLA – 14 LUTEGO 2019

SYMPOZJUM:
Święci Cyryl i Metody – patroni Europy
Wizja św. Jana Pawła II

13-14 lutego 2019
Częstochowa, Jasna Góra

PROGRAM SYMPOZJUM

13 lutego, Kaplica Cudownego Obrazu Matki Bożej
21.00 – Apel Jasnogórski z udziałem Biskupów Czech, Słowacji, Ukrainy i Polski oraz uczestników sympozjum

14 lutego, Kaplica Różańcowa
10.00 – Rozpoczęcie Sympozjum Ruchu „Europa Christi": „Święci Cyryl i Metody – patroni Europy. Wizja św. Jana Pawła II. 1150. rocznica śmierci św. Cyryla"
Wprowadzenie – ks. inf. Ireneusz Skubiś – Moderator Ruchu „Europa Christi"
Przywitanie – o. Marian Waligóra, Przeor Jasnej Góry
Słowo wstępne – kard. Stanisław Dziwisz
Otwarcie sympozjum – abp Wacław Depo, Metropolita Częstochowski

Wykłady:
– „Życie i dzieło ewangelizacyjne świętych Cyryla i Metodego – patronów Europy" – bp Viliam Judák, Biskup Ordynariusz Nitrzański (Słowacja)

– „Encyklika «Slavorum Apostoli» św. Jana Pawła II jako bezcenny dar Papieża dla Kościoła powszechnego" – Ojciec Archimandryta Jan Sergiusz Gajek MIC, Zwierzchnik Kościoła Katolickiego Obrządku Bizantyjsko-Białoruskiego

– „Aktualność przesłania świętych Cyryla i Metodego dla współczesnej Europy" – dr Pavol Mačala (Słowacja), Stowarzyszenie Naukowe Personalizm (Lublin)

Udział w Sympozjum potwierdzili m.in:
abp Wacław Depo – Metropolita Częstochowski;
abp Ján Babjak SJ – Metropolita Kościoła Greckokatolickiego Słowacji; abp Jan Graubner – Metropolita Ołomuniecki (Czechy); abp Milan Šášik – Eparcha Mukaczewski Kościoła Katolickiego Obrządku Bizantyjsko-Rusińskiego (Ukraina)

Kaplica Cudownego Obrazu Matki Bożej
13.00 – Akatyst – abp Ján Babjak SJ, Metropolita Kościoła Greckokatolickiego Słowacji, i chór księży greckokatolickich św. Jakuba, Prešov (Słowacja)
13.30 – Msza św. koncelebrowana pod przewodnictwem kard. Stanisława Dziwisza; Homilia – abp Jan Graubner, Metropolita Ołomuniecki (Czechy)
15.00 – obiad

Organizatorzy:

Fundacja Myśląc Ojczyzna

Tygodnik Katolicki „Niedziela"

Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów

eprasa.pl df9b070253

Strome schody na wieżę

Żadna z reporterskich książek Macieja Zaremby nie mogła nas przygotować na doświadczenie, jakim jest lektura „Domu z dwiema wieżami”

Wojciech Stanisławski

Autobiografii powstają tysiące: ludzie mają wielką potrzebę zapisania, sobie i innym (sobie dla pamięci, innym w trybie legatu) tego, co było w ich życiu graniczne i codzienne, słodkich wód dzieciństwa, pierwszej bójki i pierwszego razu. Niemało jest „sag rodzinnych”: prób wytłumaczenia korzeni rodu, splotu tradycji, bagażu doświadczeń XX w. zebranych przez trzy pokolenia. Nieliczni próbują, stając na drugim brzegu dorosłości, zrozumieć to, na co patrzyli jako dzieci, odsłonić ukryte miejsca rodzinnej historii; nazwać to, co bolesne, poluzować zaciśnięte dawno węzły. Ale nawet wśród autorów, którzy wspięli się na ten trzeci stopień zmagania z przeszłością, rzadko zdarza się przykład takiej odwagi i dociekliwości, jak w książce Macieja Zaremby Bielawskiego podpisanej nie tylko nazwiskiem-pseudonimem, pod którym zyskał sławę, lecz i nazwiskiem rodowym, odziedziczonym po utraconym ojcu.

Żadna z jego reporterskich książek nie mogła nas przygotować na doświadczenie, jakim jest lektura „Domu z dwiema wieżami”, chociaż wszystkie, jakie ukazały się nad Wisłą, począwszy od „Polskiego hydraulika...”, były czytane, komentowane, chwalone. Wydawała go Agora, prawica z pełną zachwytu zgrozą cytowała jego rewelacje o nadużyciach, jakich dopuszcza się szwedzkie państwo opiekuńcze. Sam Zaremba jest ponad tymi sporami; zanim nadeszła sława, z żoną, pisarką Agnetą Pleijel, tłumaczył na szwedzki Herberta. Dla kraju, który go przyjął, stał się diagnostą, opisując w kilkunastu zbiorach reportaży jego rynek pracy, szkoły, szpitale, leśników i imigrantów. Odsłaniając dramatyczną historię szwedzkiej eugeniki (co zaczynało się marzeniem o doskonaleniu, skończyło się programami przymusowej sterylizacji), po raz pierwszy przywołał na okładce nazwisko ojca: Oskara Bielawskiego, wielkiego reformatora polskiej psychiatrii.

To pierwszy trop, zapowiedź splątania nurtów i ścieżek: Bielawski, doktor i oficer ze zubożałej kresowej szlachty – i syn, emigrant-wygnaniec w Szwecji, do której z PRL trafić można było właściwie tylko po Marcu? Tak, to ten splot, arcypolski, jak ze strofy Kleyffa: „Dowodem na to moja krew, / co tak jak wina dwa zmieszane, / jasno i ciemno jak nad ranem, / jasny luminal lub ten śpiew”. To motyw, który wydaje się nam, czytelnikom wielu wspomnień, tak znany, że potrafilibyśmy wymienić jego części składowe: najpierw podwójny szok Marca ’68, kiedy nie wiadomo, czy bardziej zdumiewa brutalność pałkarzy i gazet, czy ujawnienie przez jedno z rodziców wypartej, zatajonej prawdy o mimowolnym zakorzenieniu w Zagładzie. Potem kilka miesięcy spędzonych w zawieszeniu, w otumanieniu, z wiedzą o nieuchronnym wyjeździe, i wreszcie peron Warszawy Gdańskiej albo barak Okęcia, a w nim esbecy i celnicy, którzy przeczołgają po raz ostatni. Tyle tych wspomnień, ale z tym, co napisał Zaremba, równać się mogą chyba tylko niedocenione, niezwykłe „Grupy na wolnym powietrzu” Eli Barbura; może Grynberg.

Tyle że napisać „dziecko Marca”, to nic nie napisać, bo historia rodziny Bielawskich wymyka się wszystkim schematom: ojciec, agnostyk w wielkopańsko-wolteriańskim stylu, w kierowanym przez siebie szpitalu w Kościanie bronił krzyży na ścianach sal na przekór komunistom, którzy kazali je zdejmować; matka – lekarka rzuciła legitymację partyjną już po Październiku, za co oboje rodzice stracili pracę. Odtworzona przez syna historia Lili/Elżbiety z lat wojny na pozór da się zestawić z prawdą o innych ocaleniach, z historiami o zmaganiach Sprawiedliwych z Niemcami i szmalcownikami. W rzeczywistości jest tak niepojęta, że przyrównać ją można bodaj tylko do wspomnień wojennych Jana Kotta, w których również uderza nas absolutna nieprzewidywalność wydarzeń, a życie ludzkie toczy się niczym kropla wody drgająca na rozżarzonej blasze: w każdej chwili może zmienić bieg, wyparować lub ocaleć gdzieś na krawędzi.

Nie będą mieli pociechy z lektury tej książki ani tromtadraci, ani ojkofobi: pierwszym staną kością w gardle historie wojenne o gangach kryminalistów i policjantów tropiących Żydów w okupowanej Warszawie i przedwojenne jeszcze, o patologicznym antysemicie wybieranym większością głosów na burmistrza podkrakowskiego miasteczka. Drugim – lista 32 osób, które z narażeniem własnego życia w latach

eprasa.pl df9b070253

1941–1945 ocaliły Lilę i jej matkę przed śmiercią, plus marcowe wspomnienie o sekretarce w ministerstwie, „piersiastej tlenionej blondynie z masą czarnego tuszu wokół oczu" – najbardziej nieoczekiwanej Sprawiedliwej.

Autor „Domu z dwiema wieżami" prowadzi nas jednak dalej, wyżej: to nie jest opowieść o cieniu Zagłady, choć przywołanie go jest konieczne, podobnie jak wojennych losów Oskara Bielawskiego, więźnia oflagu – niepojętej wyspy, wyrwanej z realiów II wojny. To wysiłek odtworzenia charakterów i natur dwojga niepodobnych, niezwykłych ludzi, którzy usiłowali sami siebie stworzyć. To rzecz o samotnym, mimo posiadania rodziców i braci, dzieciństwie, o miłoszowskiej „skazie dobrego urodzenia", która naznaczyła tylu skazanych na osobność paniczów. To wreszcie opowieść o miłości tych dwojga, która jest jak z romansów arturiańskich: niemożliwa i wbrew światu, gorzka i rozdzielająca za życia, sięgająca poza śmierć.

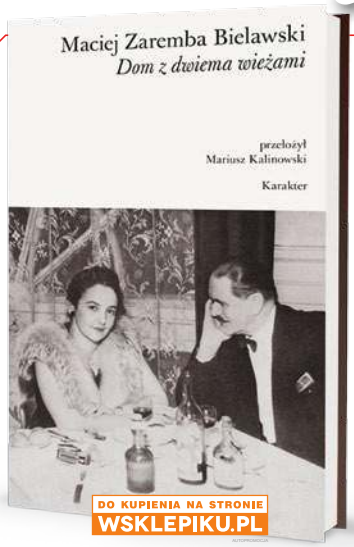

Maciej Zaremba Bielawski, „Dom z dwiema wieżami", tłum. Mariusz Kalinowski, Karakter, 2018

„Pięćdziesiąt lat później czuję kłucie w sercu, gdy schodząc rano na pomost, niechcący zrywam pajęczynę" – pisze Zaremba, stale zmagający się z Ananke, której palce, jak twierdzi, pachną atramentem, odczytujący listy, które czekały na niego przez kilka dekad. Czytając „Dom...", też nieraz poczujemy kłucie w sercach, poczujemy się bezradni. Nieraz zwiodą nas tony dwa, zmieszane, jasny luminal lub ten śpiew: język autora jest chłodny, męski, dociekliwy, a jednocześnie plastyczny, władny przywołać kolory gomułkowskich tekstyliów, zapach migdałów i smak cynku; to kamień owinięty w jedwab. Zaremba, z gniewem lub rozbawieniem trzaskający drzwiami terapeutów, u których szukał pomocy, sam zdołał w końcu – no cóż, syn profesora Bielawskiego! – otworzyć zamknięte drzwi swojej pamięci, sam wytłumaczył sobie dramat rodziców, sam siebie – no cóż, syn Lili i Oskara! – stworzył i odbudował.

„Dom z dwiema wieżami" nie zazna spokoju na naszych półkach: będziemy stawiali na zmianę obok Grynberga, „Wyznań" św. Augustyna, scenariuszy Bergmana. Zewsząd będziemy go zdejmowali, czerpiąc zeń odwagę do zmierzenia się z pamięcią własnego życia.

Dżinsy przed kinem Październik

Tytuł „najweselszego baraku w obozie" to w gruncie rzeczy dość dwuznaczne wyróżnienie i ubożuchna chwała. A jednak jesteśmy do niej w Polsce przywiązani, ba, nie wyobrażamy sobie, by ktoś mógł nam odebrać ten splendor, dwuznaczny jak order z kartofla. Węgry może? No gdzieżby... A jednak istnieje kraj, który mógłby się ubiegać na równi z nami o tę godność, przynajmniej w granicach Związku Sowieckiego: Gruzja niby też w żelaznym uścisku doktryny i służb, gdzie jednak, przynajmniej po odwilży, żyło się jakoś odrobinę lżej, łatwiej, dalej od Moskwy. Szczególnie w snobistycznym, uprzywilejowanym (choć, nie ma co się łudzić, skłonnym też do konformizmu) światku miejscowej elity artystyczno-naukowo-medialnej.

Gogi Gwaharia wrzuca nas w ten świat synów (względnie wnuków) wykładowczyń, rzeźbiarzy i reżyserów krążących po tbiliskim corso w pierwszych dżinsach, wchodzących w nastoletniość i dorosłość, a zarazem w coraz lepsze rozumienie rozpadającego się sowieckiego świata właściwie bez uprzedzenia i pierwszym doznaniem jest chaos: dziesiątki egzotycznych nazwisk, nawiązania do niekoniecznie znanych nam skandali, powieści i sztuk upewniają nas, że „Załzawione okulary" pisane były pierwotnie dla miejscowego czytelnika, a my zmagamy się z nimi z podobnym trudem, z jakim polonofil z Kaukazu przyswajałby anegdotki Janusza Głowackiego czy ploteczki młodoliterackie z nieodżałowanej „Lampy i Iskry Bożej".

W tym chaosie jest jednak metoda, warto się pogodzić z tym, że przez pierwsze pół godziny lektury pochłonie nas zgiełk. Nie tylko dlatego, że najlepiej czyta się o czasie młodości, że kalejdoskop scen i rozważań spisanych przez gruzińskiego filmoznawcę daje kapitalny ogląd granic wolności w prowincjonalnej republice ZSRS i świadectwo lat rozpadu kolosa (rozpadu, dodajmy, szczególnie dramatycznego na Kaukazie). Nostalgiczne wypominki w kolejnych rozdziałach i latach stają się coraz bardziej przypowieściami – osnutymi wokół jednego oglądanego w danym roku filmu, tylko pozornie meandrującymi, z pointą nieodmiennie zachwycającą i odbierającą na moment oddech jak wychylona za szybko szklanka wina. Słodki ptak młodości raz jeszcze na chwilę zniża lot nad placem Zamkowym i kinem Październik.

Gogi Gwaharia, „Załzawione okulary. 4 dekady historii Gruzji w 34 scenach", tłum. Magdalena Nowakowska, Kolegium Europy Wschodniej, 2018

eprasa.pl df9b070253

Adamski poleca

Szalona wizja!

Kino

Choć to najbardziej tradycyjny w formie film Yorgosa Lanthimosa, twórcy „Zabicia świętego jelenia" i „Lobstera", to każdy kadr jest naznaczony jego pazurem. Niepokojące, rozciągnięte ujęcia kamery, złowieszcza muzyka, nieustanne operowanie nastrojem podkreślającym narastającą paranoję świata głównych bohaterów i symboliczny finał. Gdyby historię przyjaźni królowej Anny Stuart i Sarah Churchill zrobiło BBC, dostalibyśmy ładny i bezpieczny kostiumowy film z polityczną intrygą w tle. Lanthimos nie lubi robić ugrzecznionych filmów, więc dał nam szalone spojrzenie na schyłek rządów schorowanej królowej, na której zakończyło się panowanie Stuartów. Anna miała 17 dzieci. Większość poroniła. Kilkoro zmarło niedługo po narodzeniu.

Wątek przyjaźni Anny (Olivia Coleman) z księżną Marlborough Sarah Churchill (Rachel Weisz) i oddanie cierpiącej na podagrę królowej pod opiekę służącej Abigail Masham (Emma Stone) służy greckiemu reżyserowi do utkania psychologicznego thrillera. To thriller zanurzony w ironiczny humor znany z „Lobstera". Jednak Lanthimos pilnuje, by z każdym kolejnym rozdziałem (przezabawnie tytułowanym) widz czuł coraz większy niepokój. Rozpisana na trzy kobiece postacie (każda ze wspaniałych ról zasługuje na Oscara) intryga jest godna najlepszych psychologicznych filmów Polańskiego.

Nie oceniam zgodności pokazanych w filmie zdarzeń z historycznymi faktami. Wiemy na pewno, że Abigail rzuciła wyzwanie swojej dawnej żywicielce i doprowadziła do jej upadku. Obie kobiety w bezwzględny sposób walczyły o dostęp do ucha coraz bardziej odseparowanej od polityki, dworzan i ludu królowej. Czy było to tylko ucho królowej, czy również jej serce? Lanthimos w konflikt wkomponowuje biseksualizm kobiecego tercetu. Czy Anna Stuart była rzeczywiście lesbijką? Zostawiam to historykom.

„Faworyta" jest fascynującym obrazem walki pod grubym królewskim dywanem najróżniejszych grup interesów. Widzimy, jak przeciwnicy wpływowego małżeństwa Churchillów, torysi Henry St. John i Robert Harley, wykorzystali konflikt między kobietami, by wpływać na królową. Ciekawie są też odmalowane wahania monarchini w czasie wojny z Francją czy podatkowej reformy królestwa. Coleman tworzy wybitną rolę cierpiącej kobiety, która każde ze zmarłych dzieci zmieniła na chowanego do klatki (zwróćcie uwagę na tę symbolikę w finale filmu) królika. Jej cierpienie duchowe miesza się z bólem fizycznym spowodowanym paskudną chorobą. Coleman każdy aspekt bólu odmalowuje na twarzy. W spojrzeniu, grymasie, słowach zamyka osobowość osaczonej królowej. Żadna z kobiet nie jest postacią jednoznaczną. Rozumiemy motywacje ich walki. Widzimy pulsującą miłość, nienawiść, oddanie i zawiść.

Nominowana w tym roku do 10 Oscarów „Faworyta" balansuje między groteską a barokowością kina kostiumowego. Przypomina mi zdobywcę ośmiu Oscarów – „Amadeusza" Miloša Formana, który również miał niewiele wspólnego z faktami, a pozostaje jednym z arcydzieł kinematografii.

„FAWORYTA", REŻ. YORGOS LANTHIMOS, DYSTR. IMPERIAL CINEPIX

Internet

Dulska w czasach Insta

Znacie Piotra Zarembę jako wybitnego politycznego komentatora i publicystę. Piotr jest też autorem świetnej politycznej historii Stanów Zjednoczonych i powieści „Zgliszcza". Czy znacie go jednak jako autora igrającego z klasyką polskiej literatury? Trójka nagrała słuchowisko „Kołtuneriada" w reżyserii Sebastiana Konrata. To wariacja Zaremby na temat „Moralności pani Dulskiej". Czegoż tu nie mamy?! Insta, Fejs, korpo, feminizm, gandzia, zygoty, gej polonista i do tego rekolekcje. A wszystko uroczo podlane samplami z hitów legendarnego hiphopowego składu Kaliber 44. Nie jestem specjalnym fanem słuchowisk radiowych. Wolę widzieć aktorów. Niemniej jednak tekstu Zaremby dobrze się słucha. Żwawy, ironiczny, dobrze zagrany, z konserwatywnym zacięciem i uwspółcześniony bez sztuczności – Zaremba jest uważnym obserwatorem popkultury, więc dobrze czuje język młodego pokolenia. Nie jest żadnym zgredkiem (w końcu i rozmowę o Harrym Potterze tu mamy) sztucznie naśladującym język nie swojego pokolenia. Dobra robota!

„KOŁTUNERIADA" DOSTĘPNA NA PODKAŚCIE NA STRONACH POLSKIEGO RADIA III

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl df9b070253

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

VOD

Nieudana satyra

Ten film powinien nakręcić David Cronenberg. Nie tylko dlatego, że twórca „Nagiego lunchu" czy „Muchy" jest mistrzem „body horroru". Kanadyjski wizjoner i filmowy outsider jest też przenikliwym szydercą, czego dowiódł w „Mapach gwiazd". Obok „Mulholland Drive" Davida Lyncha nie ma mocniejszej i radykalniejszej satyry na świat Hollywood. „Velvet Buzzsaw" miał być krwawą satyrą na świat nowoczesnej sztuki. Akcja jest również umieszczona w Los Angeles, a jedna z kluczowych scen rozgrywa się na słynnej górskiej alei Mulholland Dr. Celowo używam słów „miał być".

Film Dana Gilroya z satyrą ma wspólnego tyle, ile wiosenne przebudzenie z partią Biedronia. Intrygujące opakowanie ukrywa nicość. Gilroy jest ciekawym reżyserem. Szuka w kinie ważnych tematów, choć lubi się też pobawić masową popkulturą („Kong: Wyspa czaszki"). Po wymierzonym w tabloidowość mediów „Nocnym strzelcu" nakręcił społeczny „Roman J. Israel" ze znakomitą rolą Denzela Washingtona, gdzie w jednej scenie przepysznie pokazał zderzenie weterana walki o prawa czarnoskórych z czasów Martina Luthera Kinga z absurdalną poprawnością polityczną dzisiejszych lewicowych rewolucjonistów. Bohater filmu zostaje zganiony przez młode Afroamerykanki, że zwraca się do nich „siostry" i krzyczy na ich kolegów, że nie ustąpili paniom miejsc siedzących. Zostaje momentalnie oskarżony o... dyskryminację kobiet i seksizm. Ta krótka scenka dowiodła, że Gilroy potrafi patrzeć ponad utarte schematy ideologiczne swojego środowiska.

„Velvet Buzzsaw" jest ciosem w zblazowanych kreatorów sztuki współczesnej, którzy w przerwach między celebrowaniem własnego ego zamkniętego w ekskluzywnych willach na wzgórzach Hollywood promują coraz bardziej kuriozalne instalacje. Gdy jeden z bohaterów zostaje zamordowany przez wielką kulę z otworami stojącą w galerii, szkolna wycieczka dzieci uznaje zmasakrowane zwłoki za element instalacji. W tym filmie mordercami są, uwaga, znalezione na strychu obrazy!

Tak absurdalną fabułę może robić tylko ktoś niebojący się puszczenia lejców fantazji. Gilroy nie umie docisnąć pedału do deski. Zamiast szalonej jazdy bez trzymanki daje nam ciężkostrawną krwawą przypowieść. Bez polotu i hultajskiego machnięcia filmowym palcem.

Nie przekonuje mnie grający na histerycznych, przerysowanych nutach Jake Gyllenhall w roli uznanego krytyka sztuki ani mrużąca podstępnie oczy Rene Russo jako pazerna właścicielka galerii. Duet o wiele lepiej sprawdził się w „Nocnym strzelcu", gdzie Gilroy też balansował na granicy szyderstwa. W swoim pierwszym Netflixowym filmie Gilroy nie potrafi nawet zagospodarować epizodu Johna Malkovicha, który na końcowych napisach kręci się po plaży, robiąc patykiem kółka na piasku. Taki jest ten film. To kręcenie się Gilroya wokół własnej orbity. Bez ładu, składu, sensu i w przeestetyzowany sposób. Szkoda zmarnowanego potencjału.

„VELVET BUZZSAW"
DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Kiczowata głupota

DVD

Jestem fanem horrorów o egzorcyzmach. Przerażają mnie, bo wierzę w istnienie osobowego zła. Lubię też oglądać duchownych mojego Kościoła pokazanych jak superherosi w koloratkach. Cenię Jamesa Wana, który jako reżyser i producent „Obecności" oraz „Annabelle" stworzył ciekawe filmowe uniwersum. Dlatego właśnie połączona z obydwoma tytułami „Zakonnica" jest tak ogromnym zawodem. Nie tylko nie ma w tym filmie nic z klasyków gatunku jak „Egzorcysta". Ta produkcja w każdej minucie powiela najgorsze schematy trywializujących problem opętania infantylnych horrorów klasy C. Zamiast gry nastrojem i katolickiej optyki na demonologię mamy głupawe walki z potworami o twarzach zombie. Duchowny z Watykanu wygląda jak Indiana Jones, a przełożona rumuńskiego zakonu, gdzie wdarł się Szatan, wygląda jak hrabia Dracula. Jedyne, co zostaje, to okryć „Zakonnice" ślubem zamilczenia. No, ale nie można, bo jeszcze ktoś kupi płytę i będzie miał pretensje, że nie ostrzegałem!

„ZAKONNICA", REŻ. COLIN HARDY, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl df9b070253

Fot. Fratria

Misja dalej aktualna

W lutym br. mija 15. rocznica śmierci Ryszarda Kuklińskiego. Mimo to dyskusja o tym, kim był, co zrobił i kim jest dziś dla nas, nie zakończyła się. Nie pomogły filmy, książki ani głosy specjalistów, dyplomatów czy historyków. Nie pomogła nominacja Kuklińskiego na stopień generalski przez prezydenta Andrzeja Dudę

JAN PARYS

Dalej opinia publiczna jest podzielona w ocenie postępowania generała. Nie może to dziwić. Podział opinii publicznej w podejściu do Kuklińskiego wynika z różnych ocen komunizmu, z odmiennych ocen PRL jako państwa, z różnego podejścia do sojuszu Polski z USA i wreszcie z innej koncepcji państwa polskiego. Dla jednych to państwo jest wartością nadrzędną, dla innych jest przeszkodą w integracji z lepszym światem, kiedyś komunistycznym, a teraz z europejskim organizmem.

Z jednej strony ten, kto jest demokratą, powinien się cieszyć, że jest różnica poglądów, że jest debata, którą możemy się napawać. Sądzę jednak, że w tym wypadku odmienne punkty widzenia nie są powodem do dumy. Wręcz przeciwnie. Oznaczają bowiem, że Polacy na początku XXI w., po 30 latach od chwili, kiedy zaczęli budować niezależne państwo, nie mają uzgodnionych spraw podstawowych. Nie są zgodni, czym jest, czym powinno być, kiedy, jak i po co powstało niepodległe państwo polskie po upadku świata komunistycznego.

Problem polega na tym, że pod wpływem źle rozumianego uczestnictwa w Unii Europejskiej część polityków nabrała niechęci do tego, że istnieje państwo polskie, że się wzmacnia i bogaci, że zachowuje swoją tożsamość, właściwie to się go wstydzi, wolałaby, aby po nadrobieniu zacofania z czasów komunistycznych nasz kraj tak upodobnił się do zachodniej Europy, by stał się prowincją kierowaną z Brukseli.

Ryszard Kukliński, jak wielu polskich żołnierzy w XX w., uważał niepodległe państwo za najważniejszą wartość dla narodu i – jak bardzo wielu Polaków – był gotów za takie państwo oddać życie. Może to dobrze, że nie doczekał czasów, kiedy znani politycy z Polski walczą na forum międzynarodowym z demokratycznie wybranym polskim rządem i czynią wszystko, by państwo polskie było słabsze, narażone na zewnętrzne ingerencje. Sadzę, że takie postępowanie nie mieściło się w wyobraźni nie tylko Ryszarda Kuklińskiego, lecz również legionistów, żołnierzy września 1939 r., żołnierzy Armii Krajowej, żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, partyzantów z okresu powojennego zwanych „wyklętymi".

Wydaje mi się, że ta postawa niektórych polskich polityków manifestowana dziś w Brukseli jest wielkim zawodem dla rodzin tych, którzy za Polskę zginęli. Nawet w okresie PRL, kiedy Polska była krajem zależnym, niektórzy komuniści, jeżdżąc do Moskwy, wstydzili się tego, że zależą od obcych, ukrywali, że muszą słuchać obcych rozkazów. Dziś opozycja jeździ do Brukseli i potem z dumą opo-

eprasa.pl df9b070253

wiada, jak bardzo atakowała polski rząd, ile razy głosowała przeciwko własnej ojczyźnie, jak bardzo udało im się Polsce zaszkodzić za granicą. Ta różnica między postawą komunistów a postawą obecnej opozycji jest znakiem bardzo ciężkiej choroby części obecnej klasy politycznej.

ZMIENIĆ BIEG HISTORII

Chyba nie ma potrzeby, aby dziś przypominać szczegóły życia i działalności Ryszarda Kuklińskiego. To czyniono wielokrotnie. Poprzestanę na stwierdzeniu, że jego życie może być powodem do optymizmu dla każdego z nas. Wiele osób bowiem uważa, że żyjemy dziś w bardzo skomplikowanym świecie, w którym pojedynczy człowiek wydaje się drobiazgiem, że nie mamy na nic wpływu i właściwie nasze życie ma przez to coraz mniejszy sens. Biografia gen. Kuklińskiego jest dowodem, że jeden człowiek, nawet kiedy nie jest wielkim politykiem ani wodzem, może znaczyć bardzo wiele, może wręcz zmienić bieg historii w Europie. Bo Ryszard Kukliński wpłynął na stosunki Wschód–Zachód w trudnym okresie politycznej i militarnej rywalizacji.

Dla Ryszarda Kuklińskiego, jako doświadczonego oficera sztabu generalnego, było jasne, że tylko Stany Zjednoczone mają potencjał, który może zrównoważyć zagrożenie wojskowe ze strony ZSRS i tym samym powstrzymać komunistyczną ekspansję. Rosyjska koncepcja wojny nuklearnej w Europie była dla Kuklińskiego koszmarem. Bo wiedział, że w takim przypadku Polska będzie wielką ofiarą takiej wojny. Dlatego przekazał do USA radzieckie plany ataku na Europę i jednocześnie przekonywał strategów z USA do zbrojeń konwencjonalnych. Uważał, że kiedy państwa zachodnie będą silne militarnie i gotowe do obrony, to Moskwa nie zdecyduje się na atak. Po ewakuacji z Polski, podczas całego pobytu w USA, przekonywał, że to właśnie zwiększone zbrojenia konwencjonalne redukują ryzyko nuklearnego konfliktu. To był jego argument wobec pacyfistów i tzw. liberałów, którzy głosili potrzebę pokoju, rozbrojenia i jednostronnych ustępstw wobec Moskwy.

Nawet teraz, po latach, w USA docenia się znaczenie informacji otrzymanych od Kuklińskiego w zakończeniu zimnej wojny sukcesem. Wiadomo, że dzięki jego informacjom spotkanie Ronalda Reagana z sekretarzem Michaiłem Gorbaczowem w Reykjavíku w 1986 r. miało pomyślny przebieg. Delegacja amerykańska uświadomiła Rosjanom, że USA wiedzą o ich armii prawie wszystko i że armia radziecka nie ma szans nie tylko na skuteczny atak na Stany, lecz nawet na zaatakowanie Europy.

Biografia gen. Kuklińskiego jest dowodem, że jeden człowiek, nawet kiedy nie jest wielkim politykiem ani wodzem, może znaczyć bardzo wiele, może wręcz zmienić bieg historii w Europie

Czasem można przeczytać w internecie opinie, że – owszem – Kukliński pomógł wygrać USA zimną wojnę, ale nie wiadomo, co konkretnie zrobił dla Polski. Otóż warto przypomnieć, dziś już wiemy to na podstawie dokumentów, że ZSRS w grudniu 1980 r. planował interwencję militarną w Polsce przeciwko NSZZ „Solidarność". Na podstawie materiałów od Kuklińskiego prezydent USA skutecznie ostrzegał władze w Moskwie, że radziecka interwencja militarna w Polsce przeciwko „Solidarności" będzie oznaczać zerwanie wszelkich relacji USA z ZSRS. Zatem gdyby nie aktywność Kuklińskiego, to w 1980 r. los „Solidarności" i całego naszego kraju byłby tragiczny.

Od jesieni 1981 r. Ryszard Kukliński wraz z rodziną mieszkał w USA. Czasem podróżował do Europy, aby wykładać amerykańskim oficerom w Ramstein to, na czym polega radziecka strategia militarna. Wykorzystywał te podróże do spotkań z nieliczną grupą przyjaciół. Miałem okazję widywać Ryszarda m.in. w Szwajcarii, kiedy groził mu wyrok śmierci orzeczony w PRL.

BOHATER SUWERENNEGO PAŃSTWA

To bardzo smutne, że kiedy w 1989 r. powstał rząd z premierem desygnowanym przez „Solidarność", Kukliński dalej był ścigany przez kilka lat, już za nowej Polski. Wyrok komunistycznego sądu potwierdził minister z rządu Hanny Suchockiej, grożąc Kuklińskiemu aresztowaniem, gdyby przyjechał do kraju. Polska starała się wtedy o wejście do zjednoczonej Europy, zabiegała o gwarancje ze strony NATO, a Kuklińskiego dalej u nas ścigano na podstawie wyroku z innej epoki. Trzeba było dużej presji Zbigniewa Brzezińskiego, by Kukliński został od zarzutów uwolniony i by mógł wreszcie w 1998 r. odwiedzić ojczyznę. To pokazuje, jak długo były silne wpływy komunistyczne w Polsce, jak wielu ludzi nie chciało niepodległego państwa polskiego. Bo nie da się karać Kuklińskiego i budować suwerennego państwa. Nie da się budować sojuszu z USA i jednocześnie przekreślać czyn Kuklińskiego.

Niektórym wydawało się, że kiedy wyrok skazujący generała został unieważniony, to spór o niego zostanie zamknięty. Wielu przekonało nowe orzeczenie sądu. Inni – to znaczy zwolennicy kontroli sowieckiej nad Polską – stawali się coraz mniej liczni w miarę upływu czasu. Dziś zwolenników komunistycznego zniewolenia prawie już nie ma. Pojawiła się jednak nowa warstwa ludzi, którzy chcą suwerenne polskie państwo właściwie zlikwidować, którzy tym, co polskie, się brzydzą i którzy polskości się wstydzą, którzy chcą inne kraje wzmacniać kosztem własnej ojczyzny. Dlatego w 2019 r. można powiedzieć, że pamięć o dokonaniach Kuklińskiego jest potrzebna, że nie jest on tylko bohaterem z przeszłości, z czasów zimnej wojny. Czyn Kuklińskiego był i pozostanie znakiem walki o suwerenną Polskę, która – jak widać – nie jest zakończona ani w kraju, ani za granicą.

eprasa.pl df9b070253

Okazuje się, że media nie decydują o wyniku wyborczym. Tak naprawdę jedynie moderują debatę publiczną, a odbiorcy i tak wyciągają własne wnioski

Polityczna polaryzacja sprzyja Wiośnie

Z prof. Norbertem Maliszewskim, psychologiem społecznym, specjalistą ds. marketingu politycznego, rozmawia Ryszard Makowski

Czy Wiosna Roberta Biedronia oparta na antyklerykalizmie i pseudonowoczesnych hasłach ma szanse zdobyć znaczące poparcie?

Norbert Maliszewski: To poparcie szacowałbym na 7–10 proc. Takie liberalne poglądy prezentuje nisza wyborców, przede wszystkim z dużych miast. To są wykształceni ludzie, głównie z młodszego pokolenia.

Wiosna zagraża Platformie Obywatelskiej?

Platforma jest partią, która w oczach liberalnych wyborców się „zużyła" i nie jest w stanie odpowiedzieć na nowe trendy. Jest grupa ludzi, która od dawna szuka swojego przedstawiciela spoza kanonu polityków od lat nadających ton polskiemu życiu publicznemu. Dla nich Robert Biedroń jest autentyczny i wiarygodny. Choć oczywiście, gdy się prześledzi jego postulaty i obietnice, pojawia się znak zapytania dotyczący ich finansowania. Często te postulaty nie są spójne, ale niezadowolenie z braku reformowania się Platformy przez ostatnie lata może przeważyć na korzyść nowej, wyglądającej dynamicznie partii. Sondaże pokazują na początku duży potencjał Wiosny. Te wyniki pewnie ostatecznie będą niższe, ale z pewnością ma ona duże szanse na przekroczenie progu wyborczego.

Czyli nie jest to efemeryda, może zaistnieć na naszej scenie politycznej?

Co wybory pojawia się taka partia, która jest wyborem trzeciej drogi i formą protestu przeciwko polaryzacji na PiS oraz Platformę. Były ugrupowania Janusza Palikota, Ryszarda Petru i one przekraczały próg wyborczy. I teraz wszystko wskazuje na to, że będzie podobnie.

Partia znikąd – Nowoczesna – dysponowała budżetem na kampanię wyborczą rzędu 11–12 mln. Po pierwszej, okazałej konwencji Wiosny na Torwarze pojawiają się pytania o źródła finansowania.

Autopromocja x2

eprasa.pl df9b070253

Fot. Justyna Rojek/DDTVN/East News

Doradca Roberta Biedronia sprawnie porusza się na rynku marketingowym i jest skuteczny w zdobywaniu pieniędzy w zbiórkach bezpośrednich. Mogą to być środki wystarczające na wydatki kampanijne.

Czy w najbliższych miesiącach możemy się spodziewać eskalacji działań „ulicy i zagranicy"?

Na pewno opozycji sprzyja polaryzacja, wzniecanie emocji zamiast dyskusji o dobrych wskaźnikach gospodarczych, niskim bezrobociu, programach społecznych. Z punktu widzenia opozycji lepsza jest dyskusja o tym, że mamy sytuację kryzysową i ludzie wychodzą na ulicę. Opozycji zależy na tym, by ludzie mieli przekonanie o kryzysie w państwie. A po drugie, w kampanii do Parlamentu Europejskiego będzie silna linia ataku, że PiS wyprowadza Polskę z Unii Europejskiej i w związku z tym jest potrzebny głos zewnętrzny różnych autorytetów europejskich, które taką tezę będą popierać.

Skąd się bierze niechęć autorytetów Unii Europejskiej do obecnej Polski?

W Parlamencie Europejskim istnieją różne formacje polityczne. Tym, którzy należą do partii lewicowych, silna pozycja konserwatystów jest nie na rękę. Na przykład Frans Timmermans zamierza kandydować na szefa Komisji Europejskiej i jego linią polityczną jest straszenie premierem Węgier Orbánem oraz PiS. Nie chodzi mu o to, żeby konkurować z jakąś partią konserwatywną, tylko uderza w kontrkandydata z Europejskiej Partii Ludowej Manfreda Webera, który będzie potrzebował wsparcia Orbána, a w sytuacji kryzysowej nawet PiS. Krytyka bierze się często z linii partii, które te autorytety reprezentują.

Możemy chyba mówić o zbyt dużej ingerencji w nasze sprawy, choćby na przykładzie reformy sądownictwa?

Niestety Frans Timmermans postanowił zbudować swoją pozycję na sporze z Polską dotyczącym zakresu reformy naszego sądownictwa. Wielu polityków, w tym szef Komisji Europejskiej, było skłonnych do kompromisu, ale postawa Fransa Timmermansa to uniemożliwiła.

To, co się dzieje po 2015 r., wygląda jak z podręcznika astroturfingu. Czy Polska jest w stanie wojny hybrydowej?

Jestem daleki od skrajnych tez. Raczej szukam mechanizmów, które mają charakter racjonalny.

Astroturfing jest pojęciem opisującym działanie racjonalne. Chodzi o stworzenie pozorów ruchu obywatelskiego.

Nawet jeśli założyć tezę, że coś takiego ma miejsce, należy się temu przeciwstawiać z rozwagą. Mieliśmy przykład protestów grudniowych. Dzięki temu, że partia rządząca zachowała się w sposób rozsądny, zamiast stracić – zyskała. To swoista gra polityczna i każdy powinien umieć zająć stanowisko tak, żeby społeczeństwo korzystnie to oceniło.

Brak rozliczenia grudniowego puczu – zarówno jeśli chodzi o protestujących, jak i posłów okupujących salę obrad – nie jest dobrze oceniany przez żelazny elektorat PiS.

Żelazny elektorat PiS cały czas głosuje na tę partię. Po to, by mieć większość, potrzebne jest większe poparcie. Patrząc na ostatnie sondaże, PiS tego poparcia brakuje, by mieć samodzielną większość. Żelazny elektorat na pewno takiej większości nie daje.

W POLSCE PL

Wspieraj nas, oglądając w sieciach kablowych

NA POZYCJACH

upc

339 dekoder Mediabox

121 dekodery KAON i Horizon

eprasa.pl df9b070253

Nie gwarantuje samodzielnego rządzenia przez kolejną kadencję.

Jednak poszukiwanie przez dobrą zmianę mitycznego centrum może wreszcie zniechęcić ten żelazny elektorat.

Poszukiwanie centrum przez PiS jest uproszczeniem publicystycznym. Partia rządząca, chcąc poszerzyć elektorat, powinna postawić na konserwatystów o umiarkowanych poglądach. Centrum to osoby, które ideologicznie podzielają współczesny liberalizm. I to nie jest elektorat PiS. To jest skrót myślowy. Dzięki centrum wygrywa Platforma. Celem Prawa i Sprawiedliwości jest nie tylko zbieranie konserwatywnych wyborców, lecz również unikanie mobilizacji owego centrum, które głosuje przeciw PiS na PO.

Czy Grzegorz Schetyna zostanie wkrótce zdetronizowany jako przywódca opozycji?

To może nastąpić po słabym rezultacie Platformy czy szerszej koalicji pod auspicjami PO w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Tylko wybory mają taką siłę, żeby zmienić przywódcę.

W wyborach do PE Platforma ma szanse na dobry wynik.

W dużej mierze zależy to od tego, jakie powstaną koalicje. Jeśli powstanie duża koalicja europejska z PSL, SLD, Nowoczesną i oczywiście Platformą, to ma szanse na wynik zbliżony do partii rządzącej. Jednak przy braku takiego porozumienia PiS może mieć dużo lepszy wynik niż rozdrobnione ugrupowania. Poza tym projekt Roberta Biedronia może pokrzyżować szyki Platformie i ten efekt psychologiczny, jakim byłoby wygranie wyborów do Parlamentu Europejskiego, może nie zaistnieć.

A czy nie zaszkodzi Platformie takie ostentacyjne bratanie się z premierami mającymi pezetpeerowską przeszłość?

Sojusz z politykami wywodzącymi się bezpośrednio z PRL może być trudny do zaakceptowania dla części elektoratu PO. Dla osób młodszych Leszek Miller, Włodzimierz Cimoszewicz czy Marek Belka są wyłącznie politykami o poglądach lewicowych.

Czy Donald Tusk wróci do polskiej polityki?

Donald Tusk na pewno powróci do polskiej polityki. Pytanie kiedy. Wydaje się, że będzie czynnie obecny jako swoisty mentor zarówno podczas wyborów do Parlamentu Europejskiego, jak i do Sejmu oraz Senatu. Najbardziej prawdopodobne jest to, że wystartuje w przyszłorocznych wyborach prezydenckich.

PiS cały czas utrzymuje przewagę w sondażach. Czy w pana ocenie ta tendencja utrzyma się do jesiennych wyborów?

Wydaje się, że wskaźniki społeczno-gospodarcze są na tyle korzystne, iż ta tendencja powinna się utrzymać. Zasadnicze pytanie brzmi, czy uda się utrzymać samodzielne rządy, czy będzie konieczność szukania koalicji choćby z Ruchem Pawła Kukiza.

Czy w Polsce jest możliwe pojednanie narodowe?

Nie sądzę, aby było możliwe. To, co może się zmienić, to tylko charakter debaty. Podziały zawsze będą. Jest tylko pytanie, o co będą spory. Czy będą to spory emocjonalne, symboliczne, czy może konkretne, np. o zasady przyznawania 500+. Im Polacy będą dojrzalsi, tym częściej będą to kwestie portfelowe, a nie symboliczne.

Czy warunkiem uspokojenia nastrojów społecznych jest repolonizacja mediów?

Konsekwencje repolonizacji byłyby niekorzystne dla partii rządzącej. Zmobilizowałoby to dodatkowo elektorat akcyjny opozycji i wywołało kolejną falę krytyki ze strony przywódców europejskich oraz ze strony Donalda Trumpa.

Przywódcy europejscy, jak ostatnio Angela Merkel, chronią swój rynek medialny przed obcym kapitałem.

Łatwo być moralnym zwycięzcą a faktycznym przegranym. Partia rządząca już się tego nauczyła, że warto być pragmatycznym, a nie przegrać mimo słuszności w pewnych sprawach.

To jednak media podgrzewają emocje.

W 2015 r. PiS wygrało wybory mimo znacznie gorszego układu w mediach. Okazuje się, że media nie decydują o wyniku wyborczym. Tak naprawdę jedynie moderują debatę publiczną, a odbiorcy i tak wyciągają własne wnioski.

W POLSCE PL
Wspieraj nas, oglądając w sieciach kablowych
VECTRA NA POZYCJI 825

eprasa.pl df9b070253

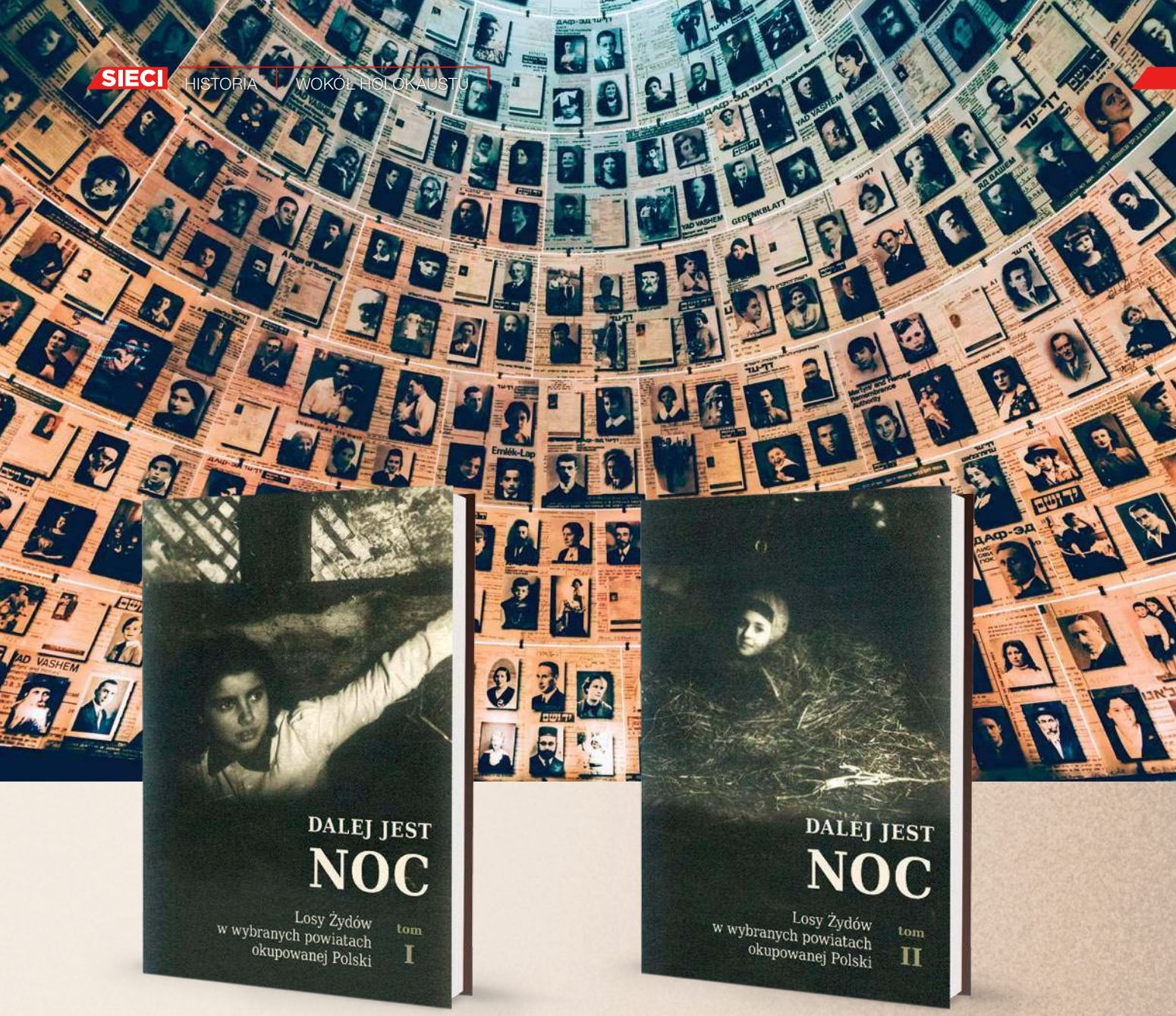

Historia mocno skrzywiona

Kluczowym mankamentem książki Jana Grabowskiego i innych historyków Centrum Badań nad Zagładą jest podporządkowanie jej wcześniej założonej tezie o masowym udziale Polaków w zbrodniach przeciw Żydom. Jak wskazuje IPN, świadczą o tym dobór, sposób wykorzystania oraz interpretacja źródeł

Fot. Shutterstock

eprasa.pl df9b070253

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Nakładem Instytutu Pamięci Narodowej ukazała się właśnie pierwsza pozycja będąca zapowiedzią nowego polsko-angielskiego czasopisma „Polish-Jewish Studies". Autor, dr Tomasz Domański z kieleckiej delegatury IPN, podejmuje się w niej krytycznej – choć z uwagi na małą objętość publikacji skrótowej – recenzji wydanej prawie rok temu kontrowersyjnej książki „Dalej jest noc" przedstawiającej w dwóch tomach strategie przetrwania Żydów podczas okupacji niemieckiej w Generalnym Gubernatorstwie.

Przypomnijmy, że w pracy tej historycy z Centrum Badań nad Zagładą przy Instytucie Filozofii i Socjologii PAN opublikowali wyniki swoich badań nad wojennymi losami Żydów na terenie dziewięciu powiatów: od mazowieckiego Węgrowa, poprzez Łuków i Biłgoraj, po małopolski Miechów, Nowy Targ i kilka innych miejsc. Z przedstawionych przez nich szacunków wynika, że wojnę na tych terenach przeżyło mniej niż 2 proc. ludności żydowskiej, która mieszkała tam do lata 1942 r., a więc do czasu, gdy Niemcy rozpoczęli akcję likwidacyjną gett. Autorzy twierdzą też, że większość Żydów, którzy ukrywali się po likwidacji gett, zginęła z rąk Polaków lub przy ich współudziale. I to właśnie ta teza – stanowiąca zresztą fundament całej pracy – stała się przedmiotem ostrych sporów. Tym bardziej że niektórzy autorzy – przede wszystkim sprawujący naukowy nadzór nad publikacją Jan Grabowski i Barbara Engelking – już wcześniej znani byli z bardzo dyskusyjnych i wyrazistych poglądów na temat stosunków polsko-żydowskich. Nic dziwnego, że te poglądy musiały wywrzeć duży wpływ na dobór oraz interpretację materiałów źródłowych, do których sięgnięto podczas badań.

W swoich publicznych wypowiedziach Engelking twierdziła np., że śmierć Polaka nie może się równać ze śmiercią Żyda (bo dla Żyda śmierć to „metafizyczna tragedia"), a ludzie o prawicowych poglądach mają „inny genotyp". Z kolei sam Grabowski znany jest przede wszystkim z rozpowszechniania od wielu lat liczby 200 tys. Żydów, którzy mieli – wedle jego szacunków – zostać zamordowani przez Polaków podczas ostatniej wojny. Gdyby z góry przyjąć tę liczbę za prawdziwą (a chętnie podchwyciły ją światowe media), wówczas należałoby uznać, że współudział Polaków w Holokauście miał charakter masowy, a zatem jesteśmy współwinni Zagłady. Musiałoby to przynieść Polsce poważne konsekwencje polityczne i zapewne finansowe.

Wielokrotnie pisałem o tym, że dotychczasowym wyliczeniom Grabowskiego trudno ufać. Nie tylko dlatego, że rzucane przez niego liczby zamordowanych Żydów są z sobą sprzeczne i musiałyby oznaczać, iż w Polsce co krok dochodziło do pogromu w stylu Jedwabnego. Ale przede wszystkim dlatego, że – jak wykazał Jakub Kumoch, ambasador RP w Bernie, z zawodu specjalista od badań ilościowych – Grabowski nie potrafił wskazać źródła swoich wyliczeń.

Mimo to (a może właśnie dlatego) Grabowski uchodzi – podobnie jak Jan Tomasz Gross – za niekwestionowany autorytet w sprawach polsko-żydowskich. Choć staje się coraz bardziej oczywiste, że jego „autorytet" ma podłoże polityczne, a nie metodologiczne.

ROK PO PREMIERZE

Na oficjalną odpowiedź ze strony IPN w postaci recenzji musieliśmy czekać dość długo, bo aż do stycznia. Premiera książki pod redakcją Grabowskiego i Engelking odbyła się bowiem w kwietniu zeszłego roku, a więc niemalże w apogeum polsko-izraelskiego konfliktu wokół ustawy defamacyjnej. Książka mogła się więc stać kolejnym granatem wrzuconym między Polaków a Żydów. Oczywiście jest pytanie, czy autorzy i wydawcy celowo wybrali taki termin premiery, aby zwiększyć zamieszanie wokół kontrowersyjnej publikacji. Jeśli tak, to z pewnością nie złagodziło to i tak bardzo skomplikowanych relacji polsko-żydowskich.

Z tego punktu widzenia opóźniona reakcja IPN może się wydawać uzasadniona. Być może obawiano się dalszej eskalacji, uznając, że wszelkie próby podważania zawartych w książce tez i liczb, nawet jeśli okażą się uzasadnione, będą odrzucane a priori jako przejaw „antysemityzmu".

Polemiki nie ułatwiało też dość niecodzienne zachowanie wydawcy, który nieliczne egzemplarze przedpremierowe rozesłał wyłącznie do rąk zaufanych recenzentów. Aby, broń Boże, nikt nie zepsuł premiery jakimikolwiek krytycznymi uwagami. Bo krytykować, jak się okazało, jest co.

> Weryfikacja źródeł wykorzystanych przez Grabowskiego i pozostałych autorów wykazała, że wiele z nich potraktowano wybiórczo, skrótowo, a podawane cytaty wyrywano z szerszego kontekstu

ŻONGLERKA ŹRÓDŁAMI

Tomasz Domański z IPN podjął się dość benedyktyńskiej pracy i przejrzał część źródeł, które wykorzystali w swojej publikacji historycy z Centrum Badań nad Zagładą. Na razie tylko część, bo wymaga to ogromnego nakładu czasu i pracy. Weryfikacja niektórych źródeł była utrudniona, ponieważ zdarzało się, że autorzy – opierając się np. na materiałach z powojennych procesów wytoczonych za udział w okupacyjnych zbrodniach – odsyłali zbiorczo do akt sądowych, nie podając konkretnych stron, z których cytowali interesujące ich zeznania. W liczących nierzadko po kilkaset stron aktach trudno

Autopromocja

eprasa.pl df9b070253

było odnaleźć zacytowane fragmenty. Nie jest też jasne, czy wynikało to z niefrasobliwości, czy może było celowym utrudnieniem weryfikacji źródeł. Faktem natomiast jest, iż weryfikacja przeprowadzona przez Domańskiego wykazała, że wiele źródeł traktowanych było wybiórczo, skrótowo, podawane cytaty wyrywano z szerszego kontekstu, przeinaczając tym samym ich treść, zdarzały się nawet czysto publicystyczne „uzupełnienia" źródeł – rzecz trudna do pomyślenia w pracy naukowej. Niekiedy historycy, korzystając z akt sądowych, cytowali zeznania, które zostały w trakcie procesu uznane za niewiarygodne, jednak nie informowali o tym swoich czytelników. Bywało też tak, że część źródeł, niepasujących najwyraźniej do założonej wcześniej tezy, pomijano.

Ta dość dowolna żonglerka źródłami ma – według Domańskiego – dowodzić, że Polacy byli aktywnymi współsprawcami Holokaustu i dość powszechnie oraz entuzjastycznie angażowali się w mordowanie Żydów. Niemcy występują w książce często w roli biernych obserwatorów, może nawet i podżegaczy, jednak stojących z boku. Tak jest w zacytowanej przez Dariusza Libionkę relacji z Proszowic w powiecie miechowskim. Czytamy tu, że już we wrześniu 1939 r. Polacy wskazywali Niemcom domy Żydów i zaganiali ich na rynek do pracy fizycznej. Niemcy mieli jedynie się śmiać i robić zdjęcia. Jednak relacja Meira Goldsteina, na której opiera się Libionka, mówi, że wprawdzie Polacy pokazali Niemcom, gdzie modlą się Żydzi, a potem im „dokuczali", ale samą akcję przeprowadzili Niemcy. „Niemcy – pisze Goldstein – powynajdowali i powyciągali Żydów w tałesach i powyprowadzali ich na rynek i na targowisko i tam kazali im zamiatać ulice".

Z wielu innych relacji, zwłaszcza tych z okresu Judenjagd („polowania na Żydów"), pomijano, jak zauważa Domański, wzmianki o udziale w tych akcjach niemieckich żandarmów, eksponując w zamian polską policję granatową. Nie negując współudziału policji granatowej w zbrodniach, trudno jednak nie zauważyć, że była to formacja podległa władzom niemieckim (oficjalne struktury państwa polskiego przecież nie istniały) i działająca na ich rozkazy. Nie sposób też nie dostrzec, że funkcjonariusze tej policji, zwykle przedwojenni policjanci, byli zmuszeni do służby w jej szeregach pod groźbą represji i kary śmierci za dezercję lub utratę broni.

Znamienne jest tu okaleczenie przez Barbarę Engelking cytatu szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Reinharda Heydricha, który 29 czerwca 1941 r., tuż po ataku na Związek Sowiecki, w swoich wytycznych dla oddziałów Einsatzgruppen zalecał, aby „dążeniom do samooczyszczenia kręgów antykomunistycznych lub antyżydowskich w rejonach niedawno zajętych nie stwarzać przeszkód". Engelking w tym miejscu kończy cytat, choć zmienia to jego wymowę. Heydrich mówi bowiem dalej, że antyżydowskie zachowania „należy wywoływać, nie pozostawiając śladów, w razie potrzeby intensyfikować i kierować na właściwe tory, jednak w taki sposób, aby miejscowe koła samoobrony nie mogły się później powoływać na zarządzenia lub dane im polityczne obietnice".

Nie zdejmuje to – rzecz jasna – odpowiedzialności miejscowej ludności za udział w pogromach antyżydowskich, ale odbiera jej działaniom spontaniczny oddolny charakter.

TEMATY TABU

Domański zwraca też uwagę, że uwypukleniu udziału ludności polskiej w zbrodniach dokonywanych na Żydach towarzyszy całkowite niemalże przemilczenie przypadków, w których sami Żydzi stawali się instrumentem w rękach Niemców. To bardzo trudny i ryzykowny politycznie temat, jednak jego pominięcie musi poważnie zaburzać obraz okupacyjnej rzeczywistości.

Ludność poddana niemieckiej okupacji znajdowała się bowiem w warunkach ekstremalnej presji. Ta presja w stosunku do Żydów poddawanych masowej zagładzie była wielokrotnie silniejsza niż w przypadku Polaków, jednak w obu przypadkach była czynnikiem silnie wpływającym na postawy poszczególnych osób. I często demoralizującym. Niedostrzeganie tego elementu jest ogromnym – być może zamierzonym – mankamentem pracy Grabowskiego i grupy historyków z Centrum Badań nad Zagładą.

W pracy tej pojawia się motyw polskiej tłuszczy spontanicznie wypędzającej Żydów z domów i denuncjującej ich Niemcom. Dariusz Libionka w swoim rozdziale przytacza makabryczną historię Jankiela Libermana, który w lutym 1944 r. został zamordowany kluczem kolejowym przez ukrywającego go dotąd Aleksandra Kuraja, ojca dziewięciorga dzieci. Kuraj miał być szantażowany przez miejscowego sołtysa, że jeśli nie pozbędzie się Libermana, to zostanie złożony na niego donos. Donos oznaczał śmierć nie tylko dla Libermana, lecz także dla ukrywającego go Kuraja i jego rodziny.

W POLSCE PL
Wspieraj nas, oglądając w sieciach kablowych
NA POZYCJACH
upc
339 dekoder Mediabox
121 dekodery KAON i Horizon

eprasa.pl df9b070253

O odpowiedzialności za pomoc Żydom przypominały porozwieszane w każdej wsi ogłoszenia okupanta.

Libionka, opisując tę tragiczną historię, nie wspomina o jej kontekście. Otóż rok wcześniej w dwóch okolicznych wsiach Niemcy zamordowali za udzielenie pomocy Żydom trzy polskie rodziny. Zostały one zadenuncjowane przez jednego z ukrywających się Żydów, który nie wytrzymał psychicznie i ujawnił się podczas niemieckiej obławy. Licząc na uratowanie własnego życia, wskazał oprawcom rodziny, które go wcześniej ukrywały. Jak pisze Domański, Libionka wspomina wprawdzie o tym dalej w swoim rozdziale, ale nie wiąże tej historii z późniejszym zabójstwem Libermana.

Ostrożność wokół tematu postaw żydowskich pojawia się – według Domańskiego – w wielu innych miejscach. Podobnie jest np. z relacją mieszkanki Zborowa Marii Cukier, która wyskoczyła z pociągu deportacyjnego w pobliżu Złoczowa i została postrzelona w nogę przez niemieckiego wartownika. Opisująca w swoim rozdziale jej historię Anna Zapalec wspomina, że ostatecznie Maria Cukier została opatrzona w złoczowskim szpitalu miejskim. Pomija za to dwa inne istotne fakty opisane w relacji Cukier. Otóż ranna Maria wspomina, że początkowo zgłosiła się do miejscowego Judenratu, gdzie odmówiono jej jakiejkolwiek pomocy, a po opatrzeniu ran w polskim szpitalu schronienia udzielił jej miejscowy ksiądz, który po dwóch tygodniach ukrywania oddał ją pod opiekę zaufanych znajomych oraz zaopatrzył w gotówkę i żywność.

POMOC ZA PIENIĄDZE

Nikt nie zaprzecza, że wśród Polaków – zwłaszcza w warunkach brutalnej okupacji – znaleźli się liczni szmalcownicy i szubrawcy, gotowi do pomocy w wyłapywaniu ukrywających się Żydów, ale nie były to postawy powszechne, a w każdym razie nie jedyne, jak zdają się – wbrew źródłom historycznym – sugerować autorzy recenzowanej przez Domańskiego książki.

Oczywiście przyznają oni, że – owszem – zdarzały się przypadki pomocy, ale jeśli już, była to pomoc wyłącznie z chęci zysku. Domański przytacza wiele przykładów manipulowania źródłami. Jeden z nich znajduje się w rozdziale o powiecie miechowskim opracowanym przez Libionkę. Znajdujemy tu m.in. relację na temat ukrywania przez małżeństwo Macieja i Marianny Koniecznych grupki żydowskich uciekinierów z likwidowanego getta. Libionka pisze, że w bunkrze u Koniecznych Żydzi „siedzieli w siedem osób, a jedzenie otrzymywali raz dziennie. Borys Ickowicz, który też tam się ukrywał, wspomina o zapłacie w pieniądzach i wartościowych rzeczach". Może z tego wynikać, że Konieczni pomagali, ale tylko z powodów finansowych.

Tymczasem po zajrzeniu do źródeł okazuje się co innego. Cytowany przez Libionkę Ickowicz w swojej relacji napisał: „Sześć miesięcy przed zakończeniem wojny nasze pieniądze i wartościowe rzeczy się skończyły. Nie zostaliśmy wyrzuceni na pewną śmierć". Z kolei współtowarzysz Ickowicza Szymche Olmer pisał o Koniecznym tak: „On nigdy nie akceptował żadnych pieniędzy z wyjątkiem kosztów i wiedziałem, że nas nie ratuje z powodów finansowych. Pan i pani Konieczna byli religijni i liberalni i ratowali nas z powodów humanitarnych. Państwo Konieczni wyjaśnili swoim dzieciom, że ludzkie życie jest święte i ich obowiązkiem jest nas uratować". Trzeba przyznać, że zajrzawszy do źródła, kontekst całej sytuacji jest zupełnie inny, niż przedstawił to Libionka.

W rozdziale tego samego autora czytamy również o Dawidzie Wolgelernterze ukrywającym się u Magdaleny Kozioł. Dowiadujemy się od Libionki, że Dawid Wolgelernter i jego brat Chaim „otrzymywali coraz gorsze jedzenie, pomimo że musieli za nie słono płacić, a wreszcie z dnia na dzień wymówiono im kryjówkę". Jednak sam Wolgelernter napisał nieco więcej o pobycie u Magdaleny Kozioł. „Pani Magda nas nie puściła, powiedziała trudno, co będzie z wami, to będzie ze mną [...]. U p. Magdaleny byliśmy 16 miesięcy [...]. P. Magdalena trzymała nas bezinteresownie, gdyż myśmy żadnych pieniędzy nie mieli".

> Nikt nie zaprzecza, że wśród Polaków znaleźli się liczni szmalcownicy i szubrawcy, ale nie były to postawy powszechne, a w każdym razie nie jedyne

NAJPIERW BYŁA TEZA

W recenzji Tomasza Domańskiego możemy znaleźć znacznie więcej przykładów podobnych nieścisłości czy wręcz manipulacji źródłami, a dotyczy to – przypomnijmy – zaledwie części źródeł, które zostały dotąd przez niego przejrzane. Domański wskazuje również na rozmaite niedociągnięcia metodologiczne autorów. Kluczowym mankamentem jest jednak podporządkowanie pracy wcześniej założonej tezie o masowym udziale Polaków w zbrodniach przeciw Żydom. Jak pisze Domański, świadczy o tym dobór, sposób wykorzystania i interpretacja źródeł.

Barbara Engelking zaznaczyła wprawdzie, że książka ma pokazać wyłącznie „żydowską stronę medalu", jednak nawet przy tak wąskim założeniu nie spełnia ona i tej funkcji, ignorując część dostępnych relacji oraz pomijając złożoność postaw ludzkich podczas Holokaustu.

Nic zatem dziwnego, że praca ta wywołuje wielkie kontrowersje. Brak ukazania szerszego kontekstu omawianych wydarzeń to główny zarzut, który Domański stawia Grabowskiemu, Engelking i pozostałym autorom. Kiedyś podobny zarzut w sprawie pogromu w Jedwabnem postawił Grossowi Marek Chodakiewicz. Jego odpowiedź na „Sąsiadów" została jednak zignorowana, gdyż w myśl obowiązującej wykładni wyjątkowość zła wyrządzonego Żydom podczas Holokaustu nie pozwala na jakąkolwiek kontekstualizację.

I tym razem będzie zapewne podobnie. Ale nie oznacza to, że powinniśmy rejterować i rezygnować z poszukiwania prawdy historycznej.

eprasa.pl df9b070253

To już nie do końca Belgia

Bruksela zmieniła się radykalnie na przestrzeni ostatnich 20–30 lat. To nie jest już to samo miasto. Jeśli nie uda nam się zintegrować muzułmanów, będziemy podążali w kierunku modelu wielokulturowego z równoległymi społeczeństwami, które nie będą miały z sobą praktycznie nic wspólnego – mówi belgijski senator, polityk liberalnego Ruchu Reformatorskiego i były sekretarz generalny Lekarzy bez Granic **Alain Destexhe**, autor głośnej książki „Imigracja i integracja. Zanim będzie za późno...", w rozmowie z Aleksandrą Rybińską

Dlaczego zdecydował się pan napisać tę książkę? Należy pan do partii rządzącej w Belgii, tej samej, co premier Charles Michel, który niedawno podpisał w Marrakeszu pakt migracyjny ONZ, co doprowadziło do protestów i rozpadu koalicji rządzącej. Dla pana ugrupowania masowa imigracja nie była dotychczas aż tak dużym problem dla kraju.

Alain Destexhe: To nieprawda. Ponadto napisałem swoją książkę, zanim rozpętała się debata wokół paktu migracyjnego ONZ. Skończyłem ją pisać akurat w chwili, gdy zaczęto o tym mówić, a jej przygotowanie zajęło mi prawie pięć lat, bo to problem szeroki i złożony. W mojej książce poruszam wszystkie aspekty tej sprawy, nie tylko same liczby, lecz także istniejące szlaki migracyjne, kwestię łączenia rodzin, prawa do azylu, kryzysu uchodźczego z 2015 r., kwestię islamu, wielokulturowości oraz konsekwencje społeczne i gospodarcze przyjęcia i nieudanej integracji imigrantów. Chodziło mi o sporządzenie pełnego obrazu sytuacji w Belgii. Nikt nigdy przede mną tego nie zrobił. To oczywiście praca krytyczna, a większość publikacji na ten temat ma wydźwięk wyraźnie proimigracyjny.

Właściwie dlaczego? Kilka lat temu kanclerz Niemiec Angela Merkel przyznała przecież otwarcie, że integracja imigrantów, głównie z krajów muzułmańskich, się nie powiodła...

Podobnie jak David Cameron i Nicolas Sarkozy. Tyle że w międzyczasie mieliśmy kryzys uchodźczy w 2015 r. W mojej książce krytykuję panią kanclerz i jej decyzję, by otworzyć granice. Decyzję, którą podjęła bez konsultacji z europejskimi partnerami Niemiec czy z niemieckim parlamentem. To dość ekstrawaganckie, by jedna osoba mogła samodzielnie podejmować tak ważną i brzemienną w skutkach decyzję. W imieniu 500 mln Europejczyków. Ponadto w Belgii, jak w większości krajów Europy, mamy polityczną poprawność, co powoduje, że nie debatujemy otwarcie o wrażliwych i trudnych kwestiach jak imigracja czy islam.

Problemem jest dla pana nieudana integracja czy odrzuca pan samą ideę wielokulturowości?

Tłumaczę w mojej książce, że od 2000 r. do Belgii napłynęło więcej migrantów – biorąc pod uwagę liczbę ludności, a Belgia liczy 11 mln mieszkańców, niż do krajów sąsiednich. Czy to do Holandii, Francji, czy Wielkiej Brytanii. 75 proc. tej imigracji umyka kontroli belgijskich władz. To przede wszystkim łączenie rodzin, a istnieje przecież dyrektywa europejska, która tę kwestię reguluje. To znacznie ogranicza nasze pole manewru. Potem mamy azylantów oraz nielegalnych imigrantów, którzy rzadko składają wnioski o pobyt. Z tych elementów składa się ¾ imigracji do Belgii. Po pierwsze więc: do Belgii napływa więcej migrantów niż do krajów sąsiednich. Po drugie: umykają oni kontroli władz. A po trzecie: część tych ludzi nie integruje się ani ekonomicznie, czyli nie pracują i żyją z zasiłków, ani kulturowo, czyli żyją zgodnie z wartościami swoich krajów pochodzenia, a nie z wartościami zachodnimi czy europejskimi.

Wydawało mi się dotąd, że otwartość na migrantów to świadoma decyzja elit politycznych.

Niestety tak. Ale tych skutków po prostu nikt nie przewidział. Po roku 2000 przeprowadzono trzy reformy, które doprowadziły do sytuacji, jaką mamy dziś. Pierwsza ułatwiła łączenie rodzin, co doprowadziło do licznych nadużyć. Utworzyło się coś, co Anglosasi nazywają „chain migration" – „łańcuch migracyjny". To był pierwszy błąd. Drugim były dwie operacje legalizacji pobytu nielegalnych imigrantów. To była bardzo zła decyzja, bo większość tych imigrantów przeszła na zasiłki, czyli nie zintegrowała się z rynkiem pracy. Na dodatek spowodowało to,

eprasa.pl df9b070253

Fot. Mat. prasowe/Olivier Polet

że wielu migrantów pomyślało: w Belgii łatwo zdobyć pozwolenie na pobyt i zasiłek. Jedźmy tam. Zadziałało więc jak magnes. A trzecią złą decyzją była reforma ułatwiająca uzyskanie obywatelstwa. Po trzech latach pobytu można zostać Belgiem, a w przypadku potwierdzonych uchodźców politycznych – w ciągu zaledwie dwóch lat. Belgia ma pod tym względem chyba najbardziej łagodne przepisy na świecie. W 2011 i 2012 r. część tych przepisów została wprawdzie z powrotem zaostrzona, ale było już za późno, bo demografia zrobiła swoje.

Czyli?

Milion obywateli więcej. Przeszliśmy od 10 do 11 mln mieszkańców wskutek migracji. W Brukseli, stolicy Europy, jedna trzecia mieszkańców to nowi obywatele, czyli ludzie, którzy nie urodzili się w Belgii. To całkowicie zmieniło strukturę demograficzną kraju, a szczególnie stolicy. To także stworzyło problem społeczeństw równoległych, istniejących w izolacji od reszty, utrzymujących z nią niewielki kontakt. Tłumaczę w mojej książce, że to nie przypadek, iż to właśnie z Belgii najwięcej dżihadystów wyruszyło walczyć w szeregach Państwa Islamskiego w Syrii. Jesteśmy, biorąc pod uwagę liczbę ludności, krajem najbardziej dotkniętym przez dżihadyzm w Europie.

Bruksela, a szczególnie dzielnica Molenbeek, rzeczywiście kojarzy się po zamachu na Bataclan w Paryżu z islamskim fundamentalizmem. Sytuacja jest aż tak poważna?

Uważam, że tak. Część muzułmanów nie jest zintegrowana i nie akceptuje naszych wartości. W konsekwencji borykamy się z problemem rosnącego antysemityzmu, który nie wywodzi się z tzw. starej skrajnej prawicy europejskiej, tylko właśnie ze społeczności muzułmańskiej. Mamy nierówność między kobietami a mężczyznami i wiele innych problemów. Wspomniała pani o Molenbeek jako wylęgarni fundamentalistów gotowych do przemocy, zapomina się jednak o tym, że mamy także fundamentalizm islamski, który nie cechuje się przemocą, ale to też jest fundamentalizm. Salafici, Bracia

eprasa.pl df9b070253

Muzułmańscy. Ci ludzie nie dokonują zamachów, lecz żyją coraz bardziej na marginesie społeczeństwa. To ogromny problem, o którym prawie nikt nie mówi. W niektórych dzielnicach Brukseli niemal połowa kobiet nosi burki, mężczyźni ubierają się jak w krajach muzułmańskich, a meczety są pełne. To już nie jest do końca Belgia.

Zwolennicy wielokulturowości twierdzą, że to wina państwa albo rasizmu w społeczeństwie, który utrudnia integrację cudzoziemców.

Nie zgadzam się. Państwo wykonało ogromny wysiłek zarówno gospodarczy, jak i finansowy, by tych ludzi zintegrować. Większość z nich otrzymuje zasiłki. W mojej książce nie zrzucam jednak odpowiedzialności na migrantów. Ci ludzie po prostu chcą lepszego życia i trudno mieć im to za złe. Odpowiedzialne są elity polityczne. To one pozwoliły na to, by ta sytuacja zaistniała, a następnie się utrwaliła. W przypadku socjalistów był to zabieg celowy, by osłabić partie centrum oraz prawicę. W końcu ludzie pochodzący z migracji najczęściej głosują właśnie na lewicę.

Chce pan powiedzieć, że lewica zrobiła z migrantów swoich politycznych klientów i zapewniła sobie tym samym stały elektorat?

Migranci głosują na lewicę, bo są na ogół ubożsi niż średnia społeczeństwa, ale mamy tu też do czynienia z klientelizmem, który przybiera dość ekstremalną formę w takich gminach jak Molenbeek. Region brukselski odnotował na przestrzeni ostatnich 10-15 lat wyraźny wzrost ludności, o ok. 1 proc. rocznie. To dużo jak na miasto europejskie tych rozmiarów. A stało się tak głównie za sprawą imigracji lub dzieci rodzących się w rodzinach imigranckich. Jakie to ma skutki? Podam przykład. Belgijski system szkolnictwa dzieli się na dwie części: szkoły katolickie i szkoły publiczne. Prawie połowa uczniów w Belgii chodzi do szkół katolickich, a druga połowa do publicznych. W tych pierwszych mamy obowiązkowe dwie godziny lekcji religii katolickiej tygodniowo. W publicznych można wybierać między sześcioma religiami lub uczestniczyć w lekcjach etyki. W szkołach publicznych regionu brukselskiego 48 proc. uczniów uczęszcza na lekcje religii muzułmańskiej. To są imponujące liczby. Demografia miasta się zmieniła, ale to nie wszystko. Region brukselski także ubożeje. PKB na mieszkańca był kiedyś w stolicy wyższy niż we Flandrii czy w Walonii. Dziś jest odwrotnie.

Mówił pan wcześniej, że trudno o dane statystyczne dotyczące migracji w Belgii. To skąd ma pan te wszystkie liczby?

To są dane oficjalne, wyjęte z oficjalnych badań i statystyk. Tyle że ja ich nie interpretuję w ten sam sposób, jak interpretują je organizacje pozarządowe, broniące praw migrantów, które umniejszają problem. Sprawdziłem napływ imigrantów nie tylko na przestrzeni jednego roku, jak to zwykle się robi, tylko na przestrzeni 10–15 lat. Wówczas widać, że napływ imigrantów z obcych kręgów kulturowych jest ogromny. Co ważne, ci przybysze zostają w Belgii na stałe, nie podążają dalej do państw sąsiednich ani nie wracają do swoich krajów pochodzenia. To prawda, że większość imigrantów w Belgii to Europejczycy, ale ci ludzie zostają u nas co najwyżej na kilka lat i wracają do siebie. Jeśli jednak są to imigranci z Afryki czy Bliskiego Wschodu, to u nas zostają. Zaledwie 1 proc. imigrantów z USA zostaje w Belgii. W przypadku Gwinejczyków to 90 proc. Uczelnie, NGO-sy i media są proimigracyjne. Nie mamy tak naprawdę prasy prawicowej. Dlatego problem jest umniejszany w debacie publicznej. Liczby są przedstawiane tak, by służyły zwolennikom otwartych granic.

Znów pozwolę sobie przywołać słowa pani kanclerz Angeli Merkel, która oświadczyła niedawno, zresztą już któryś raz z rzędu, że imigranci i tak już tu są, nic nie da się na to poradzić, a islam jest częścią Niemiec, częścią Europy...

Islam nie jest częścią Europy, to muzułmanie są częścią Europy. Islam w żadnym razie nie jest częścią historii ani tradycji europejskiej. Nawet trochę. Gdy patrzę na rozwój islamu na świecie, to nie widzę, by rozwijał się w kierunku islamu umiarkowanego, oświeconego. Osobiście uważam, i tłumaczę to w mojej książce na ponad 50 stronach, że nie doczekamy się powstania czegoś w rodzaju islamu europejskiego. To kierunek marginalny w świecie islamu.

To dość pesymistyczna diagnoza. Jest jakieś wyjście z tej sytuacji?

Diagnoza jest pesymistyczna, to prawda. Tytuł mojej książki brzmi: „Imigracja i integracja. Zanim nie będzie za późno...". To znaczy, że jest już późno, ale wciąż nie jest za późno. Apeluję o dość radykalny odwrót obecnej tendencji w 15 krokach. Najważniejsze z nich to: ograniczenie łączenia rodzin, rewizja konwencji genewskiej i utrudnienie zdobycia obywatelstwa. Bruksela zmieniła się radykalnie na przestrzeni ostatnich 20–30 lat. To nie jest już to samo miasto. Jeśli nie uda nam się zintegrować muzułmanów, będziemy podążali w kierunku modelu wielokulturowego z równoległymi społeczeństwami, które nie będą miały z sobą prawie nic wspólnego. O różnych systemach wartości, tradycjach i zwyczajach. Pozostanie tylko prawo. Jestem przeciwnikiem wielokulturowych społeczeństw. Belgia to kraj frankofoński i flamandzki, imigranci powinni się integrować i przyjąć kulturę belgijską jako swoją.

Inaczej co grozi Belgii? Dezintegracja?

Tak. Będziemy mieli społeczeństwo rozparcelowane, w którym nie ma już wspólnych wartości.

Może tożsamość, którą Belgia oferuje obcym, jest zbyt słaba, by wygrać z wartościami, które przywieźli ze swoich krajów pochodzenia?

Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie. Flamandzka tożsamość wciąż jest bardzo silna, jak jest w Walonii, szczerze, nie wiem. A jeśli chodzi o Brukselę, to trudno mówić dziś o istnieniu jakiejś ugruntowanej, lokalnej tożsamości. Osobiście uważam, że stolica zaszła już dość daleko na drodze do modelu wielokulturowego. Może nawet za daleko. I nie ma już z tej drogi odwrotu.

eprasa.pl df9b070253

Romuald Orzeł, prezes wydawnictwa Fratria, Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen, Adam Burak, dyrektor wykonawczy biura komunikacji korporacyjnej, i Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej"

W biznesie potrzeba odwagi

*Jeśli rozwija się jakakolwiek polska firma, rozwijają się też Orlen i polska gospodarka – mówi **Daniel Obajtek**, prezes PKN Orlen, w rozmowie z Maciejem Wośko, redaktorem naczelnym „Gazety Bankowej"*

5 lutego minął rok, od kiedy podjął się pan poprowadzenia narodowego czempiona na stanowisku prezesa zarządu PKN Orlen. Kluczowymi wydarzeniami tych 12 miesięcy było rozpoczęcie procesu fuzji Orlenu z Lotosem, rozpoczęcie Programu Rozwoju Polskiej Petrochemii, rozwój stacji paliw z promocją polskich produktów, dywersyfikacja dostaw surowców... Które z nich są dla pana najważniejsze?

Daniel Obajtek: Obejmując funkcję prezesa PKN Orlen, zadeklarowałem, że moim priorytetem jest wzmacnianie pozycji koncernu w kraju i za granicą oraz wzrost jego wartości dla akcjonariuszy. Pamiętam o tej deklaracji każdego dnia. Ten rok przyniósł wiele ważnych decyzji we wszystkich obszarach działalności, które będą miały przełomowe znaczenie dla przyszłości koncernu. Mam satysfakcję, że niektóre podjęte działania już procentują, co przekłada się na bardzo dobre wyniki finansowe.

I to wbrew głosom malkontentów, które pojawiały się zaraz po pana nominacji...

Szczerze mówiąc, nie bardzo już chcę do tego wracać. Ale skoro pan to przypomniał, to faktycznie pierwsze tygodnie były wyzwaniem. Musiałem się przekonać, jakie są możliwości zmian, zaproponować nowy kierunek rozwoju. Spotkałem się z atakiem niektórych mediów i zarzutami, że największą spółką w Europie Środkowo-Wschodniej będzie zarządzać człowiek PiS.

To akurat się zgadza, jest pan przecież człowiekiem Prawa i Sprawiedliwości.

Nigdy się tego nie wypierałem. Jestem członkiem PiS i utożsamiam się z jego programem gospodarczym, ale jednocześnie pamiętam, że kieruję spółką giełdową i ponoszę odpowiedzialność przed akcjonariuszami. Nie zapominajmy jednak, że PKN Orlen to największa polska firma, dlatego

eprasa.pl df9b070253

realizując projekty biznesowe, również bierzemy pod uwagę rozwój gospodarczy kraju. To zresztą działa w obie strony. Wystarczy przypomnieć sukces pana premiera Mateusza Morawieckiego w uszczelnieniu szarej strefy w obrocie paliwami. Skuteczne wdrożenie i egzekucja tych przepisów wpłynęły na wzrost sprzedaży paliw przez PKN Orlen. Skorzystał na tym budżet państwa. Orlen w 2018 r. z tytułu różnych podatków do budżetu państwa wpłacił ponad 36 mld zł, podczas gdy w 2015 r. było to ok. 10 mld zł mniej. To najlepiej pokazuje, że realizacja celów biznesowych może i powinna współgrać z interesem narodowym.

Uspokajał pan nastroje po odejściu poprzedniego zarządu?

Orlen wiele zawdzięcza prezesowi Wojciechowi Jasińskiemu. To nie jest tak, że koncern zaczął się zmieniać dopiero po mojej nominacji. Nigdy nie wypowiem się negatywnie o działalności prezesa Jasińskiego, którego niezwykle cenię i szanuję.

Zamyka pan jednak swój pierwszy rok zarządzania Orlenem i otwiera kolejny.

Jeśli pyta pan, co jest dla mnie najważniejsze, to wszystkie procesy, które rozpoczęliśmy, traktuję równorzędnie. Wynikają one właśnie z koncepcji opracowanej i przedyskutowanej rok temu. I się uzupełniają. Ważne są połączenie Orlenu z Lotosem, rozbudowa przemysłu petrochemicznego, z którą wiąże się rozbudowa produkcji nawozów, inwestycje na Litwie, wykup czeskiego Unipetrolu, inwestycje w Płocku, Trzebini i Jedliczach. Także ekspansja na rynkach zewnętrznych – a ta wiąże się z potrzebą budowania rozpoznawalności marki. Stąd nasze inwestycje w sponsoring międzynarodowego sportu, jakim jest Formuła 1, do której wraca znakomity polski zawodnik Robert Kubica.

Choć polityka sponsoringowa Orlenu dostarczała w minionym roku sporo emocji...

To też element pracy koncepcyjnej. Podeszliśmy do sponsoringu trochę inaczej, renegocjowaliśmy kontrakty, bo musimy wiedzieć, jak wydawane są nasze pieniądze.

Wróćmy do biznesu. List intencyjny w sprawie przejęcia Grupy Lotos okazał się trzęsieniem ziemi.

Podpisanie listu jest sprawą prostą – znacznie więcej energii potrzeba, by sprostać założonemu planowi.

Może i tak, ale choć od lat mówiono o potrzebie budowy jednego, narodowego koncernu paliwowego, nikt tak daleko jeszcze nie doszedł.

W spółkach za rządów Platformy Obywatelskiej brakowało decyzyjności. Gdyby którykolwiek prezes ogłosił potrzebę fuzji Lotosu z Orlenem, to na drugi dzień siła polityczna, która tak bardzo podkreślała wagę gospodarki, „zielonej wyspy" i liberalizmu, odwołałaby go z hukiem. Ta fuzja powinna być ponad polityką, ponad podziałami partyjnymi – jest ważna dla przyszłości Orlenu, Lotosu oraz całej gospodarki polskiej i w tym regionie Europy. Jeśli dziś ktoś protestuje przeciw temu procesowi, działa na niekorzyść polskiej gospodarki.

Zdjęcia: Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl df9b070253

Wciąż czekamy na decyzję Komisji Europejskiej.

Za nami dziesiątki analiz, dokumentów, opracowań, wniosków, spotkań z Komisją Europejską. Pokazaliśmy nasze specyficzne uwarunkowania biznesowe, gospodarcze, geopolityczne... Proces postępuje zgodnie z planem. Zrobię wszystko, żeby zakończył się sukcesem. Trzeba było tylko odwagi, by podjąć decyzje, które pozwoliły ten proces rozpocząć. Determinację wykazujemy, dywersyfikując dostawy ropy. Jeszcze kilka lat temu prawie 100 proc. dostaw pochodziło z kierunku wschodniego, zmniejszyliśmy ten wolumen do 70 proc. Obecnie pozyskujemy ropę z wielu innych kierunków. Kupujemy takie gatunki ropy, z której w najbardziej ekonomiczny sposób uzyskujemy produkt potrzebny naszemu rynkowi. Liczy się i cena, i jakość ropy.

Akcjonariusze to zauważają, a cena akcji Orlenu została ustabilizowana.

Do mediów, do opinii publicznej trafia informacja o może 15 kluczowych procesach, które dzieją się w PKN Orlen. Tymczasem w tle są dziesiątki, setki działań, w których realizujemy pewną wizję rozwoju koncernu.

Dlatego wymienił pan prawie wszystkich prezesów spółek zależnych w koncernie i obniżył wynagrodzenia o 20 proc.?

Wzmacniamy spółki zależne. Część z nich restrukturyzujemy. Optymalizujemy zatrudnienie w tych spółkach, by budowały swoje kompetencje i zabezpieczały biznes całej grupy. Nie możemy pozwolić, żeby wyprowadzono „na zewnątrz" wszystkie zadania, bo kiedyś te niezwiązane z grupą spółki odsączą zysk Orlenu. Chcę budować siłę grupy i zostawić w niej zysk. Wracając do zmian kadrowych, to gdyby ich nie było, nie udałoby się tak sprawnie przeprowadzić tylu procesów. Nie dokonałem tego przecież sam. To cały zarząd, cała kadra dyrektorska, ale przede wszystkim to zasługa 20 tys. pracowników, którzy na co dzień wdrażają te wszystkie projekty. Z nimi można je przeprowadzić i wprowadzać tak nowatorskie programy jak „Orlen w portfelu", który jest skierowany do inwestorów indywidualnych. Nie jestem osobą, która z założenia zwalnia ludzi. Ale jeśli organizuję spotkanie z zarządami spółek, to wymagam od prezesów, by potrafili odpowiedzieć na proste pytania. Nie zatrudniamy celebrytów, którzy nie znają wyników prowadzonych przez nich spółek, wysokości odpisów amortyzacyjnych, działań strategicznych, planów zarządzanej spółki... Oczywiście to rady nadzorcze decydują o zmianach zarządów spółek. Jako prezes PKN Orlen mogę udzielać rekomendacji.

Ma pan doświadczenia z Energi, której był pan prezesem.

Orlen to zupełnie inna firma. To zupełnie inne procesy. W Enerdze potrzebę połączenia spółek, bo było ich w grupie za dużo, kwestię urynkowienia podejścia do „zielonych certyfikatów", konieczność przeprowadzenia zmian technologicznych widać było na pierwszy rzut oka. W Orlenie wszystko jest znacznie bardziej złożone, ponadwymiarowe, międzynarodowe. W grupie Orlen mamy szóstą co do wielkości spółkę w Czechach, największą na Litwie. Jesteśmy polską spółką strategiczną.

PKN Orlen jest spółką akcyjną, która jednak działa w imieniu akcjonariuszy. Kilkakrotnie z prezesami spółek z udziałem skarbu państwa rozmawialiśmy na temat godzenia interesu narodowego i biznesowego. Pana zdaniem to są dwa różne pojęcia czy można jednak między nimi znaleźć wspólny mianownik?

Trzeba je oczywiście łączyć. Każdy obywatel Polski korzysta z Orlenu, nawet nieświadomie. Korzysta z produktów Orlenu – petrochemii, paliw. Łączymy interes ekonomiczny spółki i interes narodowy. Zarządzanie firmą o tak wyjątkowym znaczeniu nie tylko z uwagi na skalę działania, lecz również strategiczną rolę w budowaniu siły polskiej gospodarki, wiąże się ze szczególną odpowiedzialnością wobec wszystkich grup interesariuszy. Jeżeli np. dywersyfikujemy dostawy ropy – znajdujemy lepszy, bardziej atrakcyjny ekonomicznie surowiec, działamy w interesie ekonomicznym spółki. Uniezależniamy też kraj od dostaw z jednego kierunku, rozwijamy gospodarkę, zapewniamy bezpieczeństwo dostaw i produkcji.

Produkty polskich producentów na stacjach Orlenu, wspieranie gospodarczego patriotyzmu – to interes narodowy czy biznesowy?

I jedno, i drugie. Jeśli my „robimy biznes" z polskimi producentami, oni też nas wybierają – tankując paliwo, inwestując, angażując się w programy lojalnościowe. Jeśli rozwija się jakakolwiek polska spółka, rozwijają się też Orlen i polska gospodarka. Nie można tego bagatelizować w firmie, która realizuje obroty na poziomie 110 mld zł.

To dlaczego przez tyle lat na polskich stacjach nie było polskich kanapek, polskich soków, jabłek, polskich produktów?

No przecież gospodarka nie miała być narodowa, kapitał nie miał mieć narodowych barw. Nie było żadnych narzędzi umożliwiających wspieranie takich projektów. Ci, którzy się tu zacementowali, bali się spotykać z polskimi przedsiębiorcami, bo po co ryzykować... Orlen był dla tych, którzy byli w Orlenie i mieli tu być na zawsze. Nikomu nie zależało na wprowadzaniu konkurencji. Dziś pracujemy w Orlenie z zespołem doświadczonych i zdeterminowanych ludzi, którzy dostali szansę i zwyczajnie chce im się pracować, korzystają z tej szansy, realizując strategię narodowego czempiona.

eprasa.pl df9b070253

Jak się tworzy aferę

„Gazeta Wyborcza", a za nią inne media zrobiły aferę z zatrudnienia Karola Kosa na stanowisku dyrektora technicznego w Oddziale KGHM COPI. Zarzucano, że Kos nie tylko zajął stanowisko bez wymaganych kwalifikacji, lecz jeszcze uzyskał nieformalną wysoką pozycję w koncernie, gdyż jest chrześniakiem jednego z polityków PiS

Postawiono tezę, że to właśnie dlatego tolerowano ingerowanie przez niego w przetargi o wartości ponad 3 mln zł na zakup i dostawę sprzętu oraz oprogramowania. Gdy zaś o owych nieprawidłowościach miał poinformować władze koncernu Grzegorz Mach, dyrektor naczelny KGHM COPI i przełożony Karola Kosa, to jego zastrzeżenia zignorowano. Co więcej – dyrektor Mach został „za karę" zwolniony.

Tak opowiedziana historia zabrzmiała sensacyjnie, ale niewiele miała wspólnego z rzeczywistością. Dla atakujących nie miało znaczenia to, że Karol Kos posiada kwalifikacje, aby zajmować stanowisko dyrektora ds. technicznych COPI, może się bowiem pochwalić wieloletnim stażem pracy w sektorze informatycznym – przez sześć lat był m.in. pracownikiem oddziału IBM we Wrocławiu.

Jeśli natomiast chodzi o sprawę owych przetargów, była ona przedmiotem wewnętrznej kontroli Pionu Bezpieczeństwa i Przeciwdziałania Stratom. Oceniono, że ingerencje dyrektora Kosa nie miały znamion działań celowych i nie doszło do nadużycia zajmowanego stanowiska. A zmiany, które wprowadzono w przetargach, nie spowodowały strat finansowych w Polskiej Miedzi: jeden został unieważniony, w drugim zmieniono tryb przetargu, a w trzecim doszło do opóźnienia we wdrożeniu rozwiązania. Niemniej, aby uniknąć podobnych zarzutów w przyszłości, dyrektor techniczny został odsunięty od procedur przetargowych.

Także okoliczności odejścia z pracy dyrektora Grzegorza Macha są mniej sensacyjne niż to, co opisały media. Przede wszystkim dyrektor Mach miał umowę o pracę na czas określony i po prostu ten kontrakt się zakończył. Ponadto kontrola Pionu Bezpieczeństwa wykazała, że Mach sprawował niedostateczny nadzór nad postępowaniami zakupowymi. Dlatego podjęta została decyzja o zmianie procedur zakupowych, części pracowników cofnięto uprawnienia przetargowe, innych odsunięto od pełnionych funkcji, a kilka osób zwolniono. W sprawie Macha skierowano też do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa.

COPI to zresztą niejedyny podmiot podlegający nadzorowi centrali koncernu miedziowego. Prezes KGHM Marcin Chludziński po objęciu stanowiska wprowadził systematyczny nadzór nad wszystkimi jednostkami Polskiej Miedzi. To zadanie departamentów audytu, kontroli wewnętrznej, jak również wspomnianego wcześniej Pionu Bezpieczeństwa i Przeciwdziałania Stratom. Ponadto w KGHM wdrożony został system przeciwdziałania stratom i powołano pełnomocników ds. etyki oraz antykorupcji. Ich zadaniem jest „analiza i weryfikacja wszelkich sygnałów, a także napływających zgłoszeń o działaniach niezgodnych z prawem, regulacjami wewnętrznymi lub etyką biznesu oraz nadzór nad przestrzeganiem kodeksu etyki Grupy Kapitałowej". Sprawa, którą opisała prasa, była jedną z dziesiątków takich wewnętrznych kontroli. Zamiast wspierać koncern w działaniach wyjaśniających i oczyszczających, niektóre media – poszukując sensacji – wyciągnęły ogólne i krzywdzące KGHM wnioski.

„Poprawa sytuacji jest po prostu koniecznością. Grupa musi być nowocześnie zarządzana, a to oznacza wyższą efektywność, innowacyjność, zarówno w sferze wydobycia surowców, jak i przerobu rudy miedzi" – podkreśla Marcin Chludziński, prezes KGHM. Działania Chludzińskiego już zaczęły przynosić wymierne efekty. Udało się ujawnić wiele nieprawidłowości, np. przy zakupach złomu tzw. mafii złomowej. To, co jest racjonalnym działaniem zarządu, nie podoba się wielu grupom i środowiskom biznesowo-towarzyskim, które od lat tuczą się na majątku KGHM. Mają bowiem przed oczami wizję utraty ogromnych dochodów i będą z pewnością przeciwdziałać uszczelnianiu oraz optymalizacjom wszystkimi możliwymi sposobami, choćby przez inicjowanie nieprzychylnej kampanii w mediach, której celem jest dyskredytowanie KGHM i osób wprowadzających nowoczesne rozwiązania przeciwdziałania nadużyciom.

Ataki medialne na KGHM można więc traktować jako element obrony partykularnych interesów przez różne wpływowe grupy biznesowe. Władze koncernu zapewniają, że z działań kontrolnych nie zrezygnują i będą ściśle współpracować z organami ścigania, gdyż uporządkowanie sytuacji w KGHM jest niezbędne, aby poprawić efektywność całej Grupy Kapitałowej i sprawnie konkurować na rynkach globalnych.

Kajetan Kutnowski

eprasa.pl df9b070253

Jedna karta, siedem walut

Wystarczy karta wydana przez PKO BP, służąca do płatności w Polsce, aby podczas wyjazdu zagranicznego płacić w walucie danego kraju. Pod warunkiem że jest to kraj należący do jednego z siedmiu obszarów walutowych – mówi Anna Gutowska z PKO Banku Polskiego

Jeszcze kilka lat temu wyjazdy zagraniczne oznaczały konieczność zakupu walut w kantorach. Wiązało się to często ze sporymi kosztami, zwłaszcza jeśli trzeba było kupować jedną z tzw. walut światowych, a następnie na miejscu wymieniać dolary czy euro na walutę lokalną. Potem pojawiły się karty, które są wygodniejsze, ale ich używanie nadal może się wiązać z dodatkowymi kosztami wynikającymi z przeliczeń. Teraz jest jeszcze jedna możliwość – łącząca płatność kartą z zakupami waluty w kantorze.

„Każda karta wydana w PKO BP posiada funkcję wielowalutową. Poprzez serwis internetowy iPKO klient może otworzyć rachunek walutowy, który

eprasa.pl d9b070253

jest prowadzony bezpłatnie, a następnie podpiąć pod ten rachunek kartę, której na co dzień używa. Wystarczy zasilić rachunek walutą i już można płacić, np. euro za skipass czy cappuccino na stoku podczas wypadu na narty do Włoch" – wyjaśniała Anna Gutowska z Departamentu Produktów Klienta Indywidualnego w PKO BP w programie „Kapitał ma Narodowość" w Telewizji wPolsce.pl.

Podpięcie karty, która służy na co dzień do krajowych płatności w złotówkach, np. pod rachunek w euro, nie oznacza, że od tej pory przy płatnościach w sklepie będą pobierane waluty.

„Nasza karta jest tak skonstruowana, że identyfikuje walutę, w której płacimy. Jeśli więc płacimy w euro, to karta identyfikuje tę walutę i dokonujemy płatności w euro, a środki pobierane są z rachunku walutowego. A więc jeśli we wspomnianych Włoszech zapłacimy gdzieś 10 euro, to taka właśnie kwota zostanie pobrana z rachunku walutowego, bez kosztów przewalutowania. Ale jeśli zapłacimy w Polsce, to karta zidentyfikuje, że płacimy w złotych, i pobierze środki z podstawowego rachunku oszczędnościowo-rozliczeniowego" – mówiła Gutowska.

Bank obecnie oferuje rachunki dla siedmiu walut – poza euro jeszcze dla dolara, funta, franka szwajcarskiego oraz koron szwedzkiej, norweskiej i duńskiej. I pod kartę używaną do płatności w Polsce można podpiąć każdy z nich oraz – jeśli takie jest życzenie klienta – wszystkie siedem.

„Jeśli ktoś jedzie na narty do Włoch i przewiduje, że będzie podróżował przez Szwajcarię, może podpiąć pod kartę rachunek i w euro, i we frankach. A potem, po zasileniu rachunków, będzie mógł płacić jedną kartą zarówno w euro, jak i we frankach" – tłumaczyła Anna Gutowska z PKO BP.

Jeśli klient posiada jedną z wymienionych walut, to może zasilić rachunek poprzez wpłatę w oddziale. To możliwe w wybranych placówkach PKO BP. Znacznie łatwiejszą metodą jest skorzystanie z kantoru internetowego banku.

„Nasz kantor internetowy jest dostępny z poziomu aplikacji mobilnej IKO. Można z niego skorzystać również za pośrednictwem serwisu internetowego. Klienci bardzo chętnie korzystają z kantoru. Podczas pierwszego roku jego istnienia wykonali 680 tys. transakcji na łączną kwotę 2,6 mld zł" – mówiła Gutowska.

Karta pobiera środki z rachunku walutowego tylko wtedy, gdy na tym rachunku coś jest. W innym przypadku zachowuje się jak zwykła karta płatnicza, co oznacza pobranie środków w złotych z rachunku oszczędnościowego, a następnie przewalutowanie.

„Dzięki dostępowi do kantoru z poziomu bankowości mobilnej możemy kupić walutę, np. stojąc w kolejce w sklepie. Jeśli za granicą robimy zakupy i stojąc w kolejce do kasy, zorientujemy się, że nie mamy dostatecznych środków na koncie, możemy dokonać od razu zakupu walut" – wyjaśniała Anna Gutowska w Telewizji wPolsce.pl.

Ci, którzy chcą kupić środki po wybranym z góry kursie, mogą ustawić powiadomienie i kiedy cena spadnie do wybranego poziomu, dostaną wiadomość od banku. Wtedy będą mogli wejść do serwisu i dokonać zakupu.

Kartą można płacić, ale przy jej użyciu można także wypłacać gotówkę z bankomatu. Wówczas środki również są pobierane z rachunku w walucie używanej w danym kraju, ale należy się liczyć z prowizją, jaką za wypłatę pobiera operator danego bankomatu.

Liczba walut, w których można płacić kartą PKO BP, będzie zwiększana.

„Rozwijamy naszą ofertę i wsłuchujemy się w potrzeby naszych klientów. Dlatego pracujemy nad rozszerzeniem koszyka walut dostępnych w kantorze internetowym oraz nad odpowiednim poszerzeniem oferty rachunków walutowych" – powiedziała Anna Gutowska.

Warto dodać, że kantor internetowy służy do kupowania walut w razie potrzeby, ale jeśli ktoś za granicą oszczędnie wydawał nabyte wcześniej euro czy dolary, może skorzystać z kantoru i je sprzedać. I tutaj również jest wiele możliwości – mianowicie można waluty wymienić na złotówki, ale można także dokonać wymiany na każdą z innych walut. Jeśli komuś zostały euro po wakacjach, lecz na ferie wybiera się do Szwajcarii na narty, może dokonać wymiany bezpośrednio na franki. Są jednak osoby, które środki pozostałe z jednego wyjazdu chcą zachować na wakacje na przyszły rok. Mogą je trzymać na koncie walutowym, które zwykle nie jest oprocentowane, ale mogą także założyć rachunki oszczędnościowe w walutach i przelać tam niewydane środki. Aczkolwiek w przypadku rachunków oszczędnościowych w walutach trzeba się liczyć z opłatami, więc – jak zawsze – warto wszystko dokładnie policzyć.

Ale nie trzeba wcale jeździć za granicę, aby korzystać z karty wielowalutowej PKO BP. Za jej pomocą można płacić także w internecie. Jeśli ktoś często robi zakupy w zagranicznych sklepach internetowych i nie chce tracić na przewalutowaniach przy tego typu przelewach, może bez problemu używać karty wielowalutowej. Oczywiście kiedy już zabraknie środków w walutach obcych, można znowu skorzystać z kantoru internetowego PKO BP.

Marek Siudaj

Fot. Shutterstock

eprasa.pl df9b070253

NFOŚiGW stworzył ogólnopolski, efektywny system doradztwa energetycznego

Styczeń 2019 r. Szkolenie kandydatów na energetyków gminnych w WFOŚiGW w Poznaniu

fot. WFOŚiGW w Poznaniu | 36/0119/F

NFOŚiGW stworzył ogólnokrajowy efektywny system wsparcia rozwoju niskoemisyjnej gospodarki, wdrażania odnawialnych źródeł energii (OZE) oraz poprawy efektywności energetycznej

Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej jest wiodącym partnerem projektu „Ogólnopolski system wsparcia doradczego dla sektora publicznego, mieszkaniowego oraz przedsiębiorstw w zakresie efektywności energetycznej oraz odnawialnych źródeł energii". Projekt ten jest realizowany ze środków Funduszu Spójności jako poddziałanie 1.3.3 Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko (POIiŚ) w pierwszej osi priorytetowej Zmniejszenie emisyjności gospodarki. Partnerami projektu są 15 wojewódzkich funduszy ochrony środowiska i gospodarki wodnej oraz Województwo Lubelskie.

Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej jest Instytucją Wdrażającą (IW) dla podstawowych elementów pierwszej osi priorytetowej (energetycznej) Zmniejszenie emisyjności gospodarki i drugiej osi priorytetowej (ekologicznej) Ochrona środowiska, w tym adaptacja do zmian klimatu w bieżącym okresie planistycznym Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko (POIiŚ 2014–2020). Zadania NFOŚiGW jako Instytucji Wdrażającej zostały określone w odpowiednich porozumieniach z ministrem energii (dla pierwszej osi) i ministrem środowiska (dla drugiej osi).

W ramach pierwszej osi priorytetowej wsparcie uzyskują działania obejmujące m.in. zwiększenie efektywności wykorzystania energii pierwotnej, poprawę efektywności energetycznej sektora publicznego i mieszkaniowego (w tym zmniejszenie emisyjności) oraz obniżenie energochłonności przedsiębiorstw i zwiększenie wytwarzania energii ze źródeł odnawialnych.

Realizacji celów pierwszej osi priorytetowej sprzyjają działania doradcze

eprasa.pl df9b070253

i popularyzujące wiedzę w zakresie efektywności energetycznej oraz odnawialnych źródeł energii. Dlatego w ramach pierwszej osi priorytetowej POIiŚ wyodrębniono poddziałanie 1.3.3 „Ogólnopolski system wsparcia doradczego dla sektora publicznego, mieszkaniowego oraz przedsiębiorstw w zakresie efektywności energetycznej oraz OZE".

Celem tego projektu jest promocja gospodarki niskoemisyjnej w Polsce. Wsparcie doradcze przyczynia się do wdrażania zrównoważonej energetyki – efektywności energetycznej oraz OZE. Projekt obejmuje prowadzenie działań szkoleniowo-doradczych i zwiększających świadomość społeczeństwa (w tym grup, którym jest dedykowane wsparcie w ramach POIiŚ oraz Regionalnych Programów Operacyjnych [RPO]), w zakresie efektywności energetycznej i wykorzystywania odnawialnych źródeł energii. System jest oparty na utworzonej strukturze doradców świadczących usługi z poziomu lokalnego i regionalnego. Struktura, w której jest aktualnie zatrudnionych ok. 80 doradców, swoim zasięgiem obejmuje cały kraj. Doradcy, którzy są dostępni w każdym regionie kraju, udzielają nieodpłatnych konsultacji i porad dla projektów oraz koncepcji inwestycyjnych powstających na danym terenie.

Wsparcie doradcze jest finansowane ze środków Funduszu Spójności UE. Budżet projektu ogólnopolskiego doradztwa energetycznego (poddziałanie 1.3.3 POIiŚ) wynosi 30 mln euro, w okresie programowania 2014–2020. Umowa o dofinansowanie (określająca również zadania NFOŚiGW) została zawarta 3 marca 2016 r. pomiędzy ministrem energii (Instytucją Pośredniczącą [IP]) a NFOŚiGW (beneficjentem).

Ogólnopolski system wsparcia doradczego jest dla Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, który pełni w nim funkcję Partnera Wiodącego, jednym z kluczowych zadań.

W schemacie organizacyjnym Funduszu wyodrębniono Wydział Projektu Doradztwa Energetycznego. 15 wojewódzkich funduszy ochrony środowiska i gospodarki wodnej oraz Województwo Lubelskie mają status Partnerów. Budowa i realizacja ogólnopolskiego systemu doradztwa energetycznego jest unikatowym i ważnym zadaniem NFOŚiGW. Unikatowym, ponieważ po raz pierwszy w prawie trzydziestoletniej historii Narodowego Funduszu jesteśmy beneficjentem środków finansowych.

Zadanie to jest ważne, gdyż Fundusz ma świadomość, że dobrze realizowane zadania doradcze i przekazywana na odpowiednim poziomie wiedza techniczna, organizacyjna i finansowa w obszarze efektywności energetycznej oraz OZE dadzą kilkakrotnie większy efekt niż realizacja za te same pieniądze pojedynczych inwestycji. U osób mających związek z projektem wypracuje bowiem odpowiednie nawyki myślenia i działania według zasad zrównoważonego zarządzania energią.

Od 2016 r. doradcy wsparli przygotowanie i wdrażanie ok. 1,8 tys. Planów Gospodarki Niskoemisyjnej (PGN), które są dokumentami o charakterze strategicznym i mają na celu określenie wizji rozwoju gmin uwzględniającej oszczędność energii końcowej, wzrost wykorzystania odnawialnych źródeł energii, ograniczenie emisji dwutlenku węgla oraz emisji innych zanieczyszczeń do powietrza na danym obszarze. PGN ma służyć gminie, jej mieszkańcom i innym interesariuszom. Realizacja dobrego jakościowo PGN pozytywnie wpłynie na rozwój gospodarczy regionów i kraju. PGN wymaga stałego nadzoru przez gminy i okresowej aktualizacji.

W ramach działań informacyjno-promocyjnych zorganizowano 135 konferencji, którymi objęto 16,5 tys. osób w całym kraju. Organizacja konferencji, udział w wydarzeniach organizowanych przez Partnera Wiodącego i Partnerów współpracujących, wystąpienia i prezentacje na ogólnokrajowych oraz regionalnych konferencjach cieszą się dużym zainteresowaniem odbiorców, są skutecznym sposobem dostarczania informacji i równego wsparcia dla grupy odbiorców projektu.

W ramach projektu udzielono 27 tys. indywidualnych konsultacji i 21 tys. porad. Dzięki temu udało się wesprzeć przygotowanie ponad tysiąca nowoczesnych, służących środowisku inwestycji.

Prowadzone są szkolenia dla kandydatów na energetyków gminnych, których zadaniem będzie wspieranie samorządu i lokalnej społeczności w działaniach z zakresu oszczędzania energii, efektywności energetycznej, planowania energetycznego i poprawy jakości powietrza. Planuje się wykształcenie 1,4 tys. energetyków gminnych w całym kraju. Będzie to jeden z podstawowych efektów realizacji projektu.

Od 2017 r. w ramach projektu prowadzone są szkolenia dla pracowników socjalnych ośrodków pomocy społecznej prezentujących niskokosztowe rozwiązania dla oszczędności energii w gospodarstwach domowych. Dotychczas w ramach projektu zorganizowano 137 szkoleń, w których uczestniczyło ponad 3,1 tys. osób. Przedsięwzięcie to wpisuje się w zadania ograniczania ubóstwa energetycznego.

Z syntezy raportu GUS (czerwiec 2018 r.)

Polityka efektywności energetycznej i działania na rzecz jej poprawy

Spośród działań proefektywnościowych najbardziej znaczące są przedsięwzięcia wspierane ze środków krajowych poprzez fundusze ochrony środowiska oraz ze środków Funduszu Spójności Unii Europejskiej w ramach Regionalnych Programów Operacyjnych i Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko. Stymulująco na poprawę efektywności energetycznej w przemyśle wpływa modyfikowany system „białych certyfikatów", wdrożony ustawą o efektywności energetycznej. Kampanie informacyjno-edukacyjne Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, również Ministerstwa Energii podnoszą świadomość i wiedzę w zakresie możliwości poprawy efektywności energetycznej i służą praktyczną pomocą obywatelom oraz instytucjom.

eprasa.pl df9b070253

Polska ma największy potencjał wzrostu w Europie

Choć na tegorocznym, już 49. Światowym Forum Ekonomicznym w Davos zabrakło kilku „wielkich" nazwisk, wydarzenie wciąż jest jednym z najważniejszych spotkań przedstawicieli świata biznesu i polityki. Uczestniczyła w nim, zabierając głos, większość prezydentów i premierów reprezentujących najbardziej rozwinięte kraje świata. W tym roku po raz pierwszy uczestnicy forum spotykali się w Domu Polskim, gdzie dyskutowali o wyzwaniach globalnej gospodarki

37/0119/F

Dom Polski w szwajcarskim Davos powstał z inicjatywy Banku Pekao S.A. i PZU S.A. Jest czytelną informacją o rosnącej roli naszego kraju na forum światowym. W oficjalnym otwarciu wziął udział prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda. W czasie forum pod adresem Promenade 58 w Davos w dyskusjach o kolejnej fazie globalnej rewolucji przemysłowej, sztucznej inteligencji, robotyzacji czy wyzwaniach związanych z ekonomicznymi podziałami społecznymi w erze globalizacji oraz zmianach klimatu wzięła udział duża część przedstawicieli ponad 100 rządów i 3 tys. reprezentantów firm oraz liderów międzynarodowych organizacji. To także miejsce spotkań z klientami i funduszami inwestycyjnymi, które są zainteresowane zwiększaniem swojej ekspozycji na Polskę.

„Dom Polski pokazuje sukces polskiej gospodarki, która od 30 lat nieprzerwanie się rozwija i jest już zaliczana do grupy rynków rozwiniętych. To znak tego, że polskie firmy stają się coraz bardziej międzynarodowe i wychodzą odważnie za granicę. Bank Pekao chce im w tej ekspansji pomagać, również poprzez udział w takich wydarzeniach jak Światowe Forum Ekonomiczne w Davos" – powiedział prezes Banku Pekao Michał Krupiński.

Polish House gościł przedstawicieli światowego biznesu już pierwszego dnia forum, na zorganizowanym przez Bank Pekao S.A. panelu „4. Rewolucja przemysłowa na rynkach wschodzących i AI jako akcelerator wzrostu" – jednej z głównych debat rozpoczynających 49. Światowe Forum Ekonomiczne w Davos.

Gospodarka 4.0 określana jest jako czwarta rewolucja przemysłowa: po epoce maszyn parowych, masowej produkcji oraz automatyzacji. Oznacza integrację systemów cyfrowych z fizycznymi – internet ludzi, rzeczy, usług i danych.

Uczestnicy panelu zorganizowanego przez Bank Pekao podkreślali, że Polska jest dobrze przygotowana do wyzwań, które niesie rewolucja 4.0.

„Polska dzięki swojemu wysokiemu potencjałowi intelektualnemu jest w stanie dokonać przeskoku z tradycyjnego modelu gospodarki do nowoczesnej gospodarki cyfrowej" – podkreślił we wstępie do debaty Michał Krupiński, prezes Banku Pekao S.A.

„Ten przeskok już się dokonał w usługach finansowych, gdyż banki z Polski oferują jedne z najnowocześniejszych rozwiązań mobilnych na świecie" – dodał Michał Krupiński.

Prezydent RP Andrzej Duda w swoim przemówieniu zauważył, że Polacy chętnie korzystają z możliwości, jakie niesie z sobą rozwój nowych technologii.

„Polski system bankowy reprezentowany w Davos przez Bank Pekao należy do najbardziej innowacyjnych na świecie. Można powiedzieć, że w Polsce mamy do czynienia z bardzo pozytywnym sprzężeniem pomiędzy twórcami nowych technologicznych rozwiązań a konsumentami. Mamy potencjał, żeby tworzyć innowacje, a także otwartość i gotowość, aby z nich korzystać i w ten sposób przyczyniać się do dalszego rozwoju. Myślę, że jest to sytuacja stwarzająca unikatowe warunki dla innowacji, której mogą nam z całą pewnością pozazdrościć inne kraje" – mówił prezydent Polski.

Rolę naszego kraju w europejskiej i światowej gospodarce dostrzegamy nie tylko my sami.

„Polska posiada największy potencjał wzrostu w całej Europie" – powiedział wprost moderator debaty Henrik von Scheel, uznawany przez „Financial Times" za jednego z wiodących autorytetów w zakresie strategii i konkurencyjności.

eprasa.pl df9b070253

„Stoimy przed wyzwaniem, aby ta zglobalizowana, cyfrowa gospodarka była dobra dla wszystkich, a nie wyłącznie dla 20–30 proc. populacji" – zwrócił z kolei uwagę Nouriel Roubini, profesor ekonomii, który przewidział kryzys subprime. „Właściwą odpowiedzią nie jest protekcjonizm, więcej barier w handlu, ale zapewnienie ludziom dobrej edukacji i niezbędnych umiejętności" – podkreślił.

Forum w Davos to nie tylko dyskusje. Wbrew zarzutom o „nic niewnoszącej gadaninie" owoce tych spotkań są bardzo konkretne. Podczas tegorocznego forum Bank Pekao S.A. rozpoczął współpracę z firmą Synerise S.A. oraz z Warsaw Genomics – spółką biotechnologiczną Uniwersytetu Warszawskiego.

Strategiczne partnerstwo Banku Pekao z firmą Synerise, która stworzyła innowacyjną platformę zaawansowanych usług analitycznych opartych na sztucznej inteligencji (AI), ma na celu rozwój cyfryzacji społeczeństwa. Proces ten jest możliwy dzięki edukacji oraz udostępnianiu najnowocześniejszych technologii i rozwiązań analitycznych służących bankowi, a także jego klientom. Do współpracy zaproszono Microsoft, który zapewnia potrzebne do realizacji programu zaplecze technologiczne.

Pierwszym obszarem rozpoczętej współpracy jest AI Schools & Academy, program kształcenia dzieci i młodzieży z zakresu sztucznej inteligencji. Ma on inicjować projekty edukacyjne budujące cyfrową świadomość i kompetencje wśród uczniów oraz ich nauczycieli. Rolą banku w programie będzie stworzenie uczestnikom możliwości wykorzystania w praktyce nabytych umiejętności poprzez udział w konkursach, hackathonach oraz stażach.

„Utrzymanie szybkiego wzrostu gospodarczego wymaga zbudowania trwałej i długoterminowej przewagi konkurencyjnej opartej na produktywności, dostępności wykształconych kadr oraz szerokim zastosowaniu najbardziej zaawansowanych technologii – w szczególności w obszarach analityki danych oraz sztucznej inteligencji. Edukacja w tym zakresie to kluczowy element rozwoju cyfrowego społeczeństwa oraz przewagi konkurencyjnej gospodarki, które aktywnie chcemy wspierać" – powiedział prezes Banku Pekao Michał Krupiński podczas uroczystego podpisania umowy partnerskiej na Światowym Forum Ekonomicznym w szwajcarskim Davos.

Drugi obszar rozpoczętej współpracy Banku Pekao i Synerise to inicjatywy mające wspierać małe i średnie przedsiębiorstwa w wykorzystaniu szansy, jaką dają cyfryzacja oraz zaawansowane rozwiązania dotyczące analityki danych.

„Wspólnie z naszymi partnerami chcemy tworzyć i popularyzować innowacyjne programy edukacyjne dla dzieci i młodzieży, pomagające im w cyfrowym rozwoju. Budujemy również najbardziej innowacyjne rozwiązania w zakresie analityki danych oraz sztucznej inteligencji, które dzięki bardzo dobrej znajomości potrzeb klientów przez Bank Pekao oraz bogatemu doświadczeniu w zakresie kreowania nowych usług pozwalają tworzyć wspólnie unikalny w świecie finansów model oferty cyfrowej" – powiedział Jarosław Królewski, prezes Synerise.

Współpracując z Warsaw Genomics – spółką biotechnologiczną UW, realizującą innowacyjne badania genetyczne, m.in. oceniające ryzyko zachorowania na raka – Pekao chce się zaangażować w działania zmierzające do zwiększenia świadomości Polaków w kwestii profilaktyki nowotworowej, a w konsekwencji do zwiększenia wykrywalności nowotworów oraz poprawy skuteczności leczenia tej choroby.

Badania realizowane przez Warsaw Genomics w ramach Ogólnopolskiego Programu Oceny Ryzyka Zachorowania na Raka „BadamyGeny.pl" pomagają całościowo określić ryzyko pojawienia się raka oraz ułatwiają jego wczesne wykrywanie i skuteczne leczenie.

„Bank Pekao S.A. chce być nie tylko liderem innowacyjności w polskiej bankowości, lecz również angażować się w innowacyjne przedsięwzięcia prowadzące do poprawy jakości życia Polaków" – powiedział Michał Krupiński. „Chcemy współpracować z wyróżniającymi się innowacyjnymi firmami i wspierać inicjatywy ważne społecznie, dlatego zdecydowaliśmy się na partnerstwo z Warsaw Genomics. Cieszymy się, że możemy promować w Davos tak unikatowe i innowacyjne w skali światowej polskie inicjatywy oraz osiągnięcia rodzimych naukowców".

Warto być w Davos

Udział polskich firm w Światowym Forum Ekonomicznym w Davos z pewnością przyczynia się do zmiany postrzegania polskiej gospodarki – stajemy tam wraz z największymi graczami globalnymi, by mówić o naszych sukcesach. Choć z roku na rok skraca się odległość między Davos a polskimi forami w Krynicy, Rzeszowie czy w Gdyni – to konferencja w Szwajcarii pozwala nam zaprezentować się przed najbogatszymi i najważniejszymi uczestnikami światowego rynku. Przez wiele lat polski biznes nie był oficjalnie obecny w Davos i dopiero zrepolonizowany Bank Pekao SA przeciera szlaki naszym przedsiębiorcom. W tym roku reprezentanci Polski właśnie dzięki inicjatywie Pekao i PZU mogli zaprosić partnerów do Domu Polskiego. Szczególnie cieszą spotkania i debaty w Polish House poświęcone nowym technologiom i przemysłowi 4.0 – to także stawia nas w czołówce krajów regionu skupionych na rozwoju i badaniach.

Maciej Wośko, *„Gazeta Bankowa"*

eprasa.pl df9b070253

MICHAŁ KUŹMIŃSKI*

(R)ewolucyjnie w kuchni

Milion lat wstecz i 30 m w głąb jaskini Wonderwerk w RPA. To na gorący początek. Na finał kosmiczna perspektywa przyszłości. Pomiędzy nimi, na 340 stronach, fascynująca, potoczysta, a zarazem wypełniona mnóstwem naukowych informacji opowieść o gotowaniu. O nauce w kuchni i od kuchni. O przełomach, które zaczęły się od ognia ujarzmionego w palenisku.

Autor serwuje (w wystawny i zarazem smakowity sposób) nie tylko wiedzę (którą ewidentnie jest zafascynowany), lecz (im dalej w lekturę) coraz bardziej oszałamiające dodatki w postaci anegdotycznie doprawionych, a jednocześnie bardzo treściwych, przepisów.

Jako sprawny dziennikarz (twórca i wieloletni kierownik działu Nauka „Tygodnika Powszechnego") potrafi zaintrygować czytelnika, pociągnąć go za sobą. Zarazem jego odwołujące się do gotowania wykłady mogą zasmakować bardzo szerokiemu i różnorodnemu gronu odbiorców.

Jedni się zagłębią w (dopełnione wypowiedziami naukowców) działy, pokazujące kuchnię od strony: antropologii i paleontologii; biologii i mikrobiologii; medycyny i dietetyki; fizyki i chemii, a w finale materiałoznawstwa i astronautyki. Inni podążą drogą „przez żołądek do człowieka" i wczytają się np. w przepisy na stek po kromaniońsku czy rozżarzony bakłażan. W „Arce dla ziaren" odkryją ogień w płynie. Żurek doprowadzi ich do mikrobów. Poznają tajemnice nowojorskiego chleba bez wyrabiania, a przy zupie miso zastanowią się, co straszy w glutaminianie sodu. Będą też mogli ocenić nalewkę vieux garçon: nie tylko dla starych kawalerów; odkryć gar słodkich atomów i bezy na miedzi, by w końcu dotrzeć m.in. do koktajlu astronautów. A także księżycowego ciasta z owocami, którym delektowali się uczestnicy ostatniej misji na Księżyc w grudniu 1972 r.

By pokazać styl, w jakim autor przedstawia przepisy, zatrzymajmy się przy fragmencie dotyczącym współczesności, chętnie doprawiającej potrawy „ogniem w płynie". Po wykładzie na temat kapsaicyny, która „w warunkach naturalnych chroni zamknięte w strąkach nasiona papryczki chili przed grzybami i wszelkimi innymi ich potencjalnymi konsumentami", docieramy do przepisu na „olio picante: tajną broń włoskiej kuchni", którą autor radzi mieć zawsze pod ręką. A potem, już z flakonikiem wypełnionym własnoręcznie przygotowaną oliwą z ekstraktem chili, możemy się zabrać do „ekspresowego, banalnego i genialnego dania: spaghetti aglio, olio e peperoncino, które przy okazji będzie hołdem także dla innych nasion: ziaren pszenicy durum oraz pieprzu".

Jolanta Gajda-Zadworna

** Autor książki „Nauka w kuchni. Przełomowe historie sztuki kulinarnej"*

Spaghetti aglio, olio e peperoncino

W dużej ilości osolonej wody ugotuj al dente makaron spaghetti (taka ilość, jaka zmieści się w kółku między kciukiem a palcem wskazującym zetkniętymi czubkami, będzie w sam raz dla dwóch osób). Na dużej patelni rozgrzej – niezbyt mocno! – oliwę z oliwek, wrzuć do niej posiekany na plasterki czosnek i papryczkę chili (możesz użyć suszonych płatków chili), przesmaż tylko tyle, żeby czosnek nie zaczął zmieniać koloru – jeśli przesadzisz, uruchomisz lawinę reakcji karmelizacji, a potem pirolizy, która zamieni smakowite aromaty w gorzki koszmar. Dodaj makaron, podrzuć kilka razy, żeby otuliła go aromatyczna oliwa, posyp świeżą nacią pietruszki i grubo zmielonym pieprzem. Raduj się.

Fot. Grażyna Makara, Shutterstock

eprasa.pl df9b070253

SŁODKO-SŁONY

Placek z niespodzianką

ANNA MONICKA

Zaczęło się od tego, że w naszej ulubionej pizzerii była kolejka na dwie godziny i trzeba było czekać. Zapachy z co rusz ładowanego pieca sprawiły, że głód – znacznie większy niż się wydawało – ścisnął mi żołądek. Na szczęście na stoliku stały w szklance domowe grissini, chrupkie paluchy do przekąsek. Ale nie włoskie, sprzedawane w pudełkach, lecz tutejsze, jeszcze ciepłe, pieczone z pociętych na paski spodów do pizzy, nasmarowane tylko oliwą i posypane grubą solą.

– O, apetyt ci dopisuje – zauważył złośliwie mąż, kiedy po kilku minutach zastał mnie nad pustym kubkiem. Zupełnie nie wiem, jak to możliwe, ale zjadłam wszystkie paluchy. I kolejne zamówiłam do domu, bo smakowały mi chyba nawet bardziej niż sama pizza.

Potem zaczęłam piec w domu, bo to szybka akcja, a łakomstwo wzięło górę nad zmęczeniem. Ćwierć kilograma mąki – pszennej lub żytniej, niepełna szklanka ciepłej wody, 15 g drożdży, po łyżeczce cukru i soli, łyżka oliwy – jeśli chodzi o podstawowe składniki, to tyle. Drożdże rozpuszczamy w połowie wody z cukrem i trzema łyżkami mąki, odstawiamy do wyrośnięcia, resztę mąki przesiewamy (to ważne, żeby była napowietrzona), mieszamy z solą i wysypujemy na stolnicę. Wlewamy do środka zaczyn, resztę wody oraz oliwę i wyrabiamy. Ciasto powinno ładnie wyrosnąć przez godzinę, dzielimy je na placuszki i jeszcze raz zostawiamy na trochę, po czym rozwałkowujemy. Ciasto na grissini po prostu tniemy i pieczemy, a jeszcze ciepłe smarujemy odrobiną oliwy i posypujemy grubą solą. Paluchy po upieczeniu są genialnym dodatkiem do bulionów, barszczu, zup kremów, mogą też być przekąską, jeśli owiniemy je szynką parmeńską i przewiążemy pasemkami rukoli.

Jeśli marzy nam się pizza – ta z szynką parmeńską, posmarowana sosem pomidorowym i posypana płatkami parmezanu – też jest niczego sobie, ale dla mnie klasyką pozostaje niezmiennie zwykła margherita, czyli placek posmarowany sosem pomidorowym, z plasterkami mozzarelli, oprószony oregano. Na cieście można ułożyć jeszcze pomidorki koktajlowe, a po upieczeniu udekorować je świeżymi listkami bazylii. A poza tym – jak to z pizzą – każdy może sobie na placku upiec to, co lubi.

WILCZYM OKIEM

Drop wąsacz

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Drop zwyczajny *Otis tarda*, nazywany dawniej dropiem wąsaczem, z racji długich, białych pęków piór wyrastających u nasady dzioba samców jest ptakiem niezwykle oryginalnym i intrygującym.

Przede wszystkim jest ptakiem wielkim i majestatycznym. Ze względu na rozmiary, wyprostowaną postawę i zamiłowanie do biegu przez pola oraz stepy nazwałbym go europejskim strusiem, gdyby nie to, że drop umie latać i jest przy tym najcięższym z ptaków do tego zdolnych – samce osiągają nawet 18 kg i ponad metr wysokości.

Wyjątkowość dropia objawia się na każdym kroku. Oddam na moment głos Larsowi Jonssonowi, autorowi atlasu „Ptaków Europy i obszaru śródziemnomorskiego": „Bardzo płochliwy; kroczy dostojnie z wyprostowaną szyją; żerujące stado można z oddali pomylić z owcami lub sarnami. [...] Tokujący samiec zdumiewająco przekształca swój wygląd, zmieniając się w końcu w widoczną z odległości 3 km wielką kulę z białych piór". Dość niezwykłe jak na ptaka, który do niedawna występował w Polsce.

Przez wieki dropie były charakterystycznym elementem polskich stepów i pól oraz cenioną, choć niełatwą do zdobycia z racji płochliwości, zwierzyną. Skrzetuski, wracając z poselstwa na Krym, podczas noclegu nad Omelniczkiem, oprócz „gotowych ćwierci baranich", pardew i suhaka miał do dyspozycji także „kilka dropiów upolowanych w czasie dnia". Na polowanie z chartami na dropie cieszyła się także Basia, wyruszając do Chreptiowa, do stanicy Wołodyjowskiego.

Jeszcze w latach 30. XX w. dropie tworzyły w Polsce populację kilkuset osobników, stopniowo było ich jednak coraz mniej. W latach 80. na skutek wielu czynników, w tym zmian w rolnictwie, wymagające dużych, spokojnych przestrzeni dropie w Polsce ostatecznie wyginęły. Obecnie największa populacja dropi, gatunku zagrożonego w całym swoim zasięgu, żyje w Hiszpanii. Można je spotkać także na Węgrzech, we wschodnich Niemczech, na Ukrainie i w Rosji.

Wszędzie jednak liczebność dropi się zmniejsza. Do niedawna nie widziano też szans na powrót tych ptaków w Polsce. Być może wkrótce się to zmieni: chociaż drop nie jest ptakiem leśnym, do przywrócenia tego gatunku naszej naturze przygotowują się Lasy Państwowe, odnoszące już sukcesy w restytucji głuszców.

Fot. Shutterstock (x2)

eprasa.pl df9b070253

Rozkład sił

PIOTR SKWIECIŃSKI

Choć w natłoku skandali oraz konfliktów, którymi jesteśmy ostatnio zalewani, łatwo można zacząć kolejne tego typu informacje wypychać z własnej świadomości, to namawiam, żeby nie traktować w ten sposób sprawy Europejskiego Centrum Solidarności. Bo inaczej niż w wypadku innych głośnych ostatnio wydarzeń wynika z niej wiele.

Komentatorzy często popełniają błąd, uznając, że sprawa Centrum to po prostu gdańska specyfika. Oczywiście ta specyfika istnieje. Oczywiście afera ECS wpisuje się w politykę zamordowanego Pawła Adamowicza, konsekwentnie zmierzającego do maksymalnego ograniczenia wpływu Warszawy na gdańskie sprawy, z nieprzypadkowym nawiązywaniem do tradycji Wolnego Miasta. Oczywiście dominacja lokalnego układu polityczno-biznesowego, wspieranego przez większość lokalnych weteranów „Solidarności" o głośnych nazwiskach, jest nad Motławą szczególnie silna. I bez wątpienia doprowadziła ona do wytworzenia oraz popularyzacji szczególnej narracji historycznej, w myśl której, lekko tylko ironizując, pełnoprawnymi i w zasadzie jedynymi spadkobiercami ruchu antytotalitarnego lat 80. są obecnie PO i KOD (to, że po stronie przeciwnej pojawiają się podobne uroszczenia, to temat odrębny i mniej istotny, bo strona rządowa nie ma ani śmiałości, ani instrumentów do upowszechniania takich wizji na dużą skalę).

Sprawa ECS to nie jest triumf społeczeństwa obywatelskiego. To poglądowy przykład nieformalnej prywatyzacji publicznych placówek kulturalnych

Tylko że to, co dla Gdańska i ECS specyficzne, tonie w morzu tego, co w całej sytuacji jest uniwersalne, typowe dla całej Polski. Zauważmy, że rdzeniem kontrowersji, tym, co bezpośrednio spowodowało próbę ingerencji Ministerstwa Kultury, nie była wystawa stała Centrum. Ona wzbudza emocje, wielu prawicowców byłoby skłonnych ją pozmieniać, ale to nie ona spowodowała obecny kryzys. Gdyby jedyną przyczyną zbulwersowania władzy centralnej była przesadna jej zdaniem koncentracja wystawy na historycznych postaciach w PiS niepopularnych, to władza zagryzłaby wargi i nie próbowała frontalnego starcia. Przecież politycznym nakazem dnia jest w partii rządzącej unikanie starć, sytuacja z ECS zupełnie nie pasuje do tej koncepcji.

Eksplozję spowodowało to, że niezależnie od narracji wystawy głównej Centrum stało się, i to manifestacyjnie, czymś w rodzaju, w sensie logistycznym, kwatery głównej antypisowskiej opozycji, a także ważnym elementem jej zaplecza propagandowo-intelektualnego. I zauważmy, że nie jest to gdańska specyfika. Podobną rolę zaczęło odgrywać m.in. warszawskie muzeum POLIN, a także, na mniejszą skalę, wiele podporządkowanych samorządom placówek kulturalnych w całym kraju. Swego czasu na łamach „Wyborczej" otwarcie wzywano kierownictwa instytucji kulturalnych, aby nie oglądając się na własną apolityczną misję, otwarcie angażowały się politycznie „przeciw kaczyzmowi". Wzywający nie ukrywali nadziei, że spowoduje to konflikt tych instytucji z władzą, co zaogni sytuację w skali krajowej i doprowadzi do jakiejś rewolucji z artystyczno-intelektualną awangardą na przedpolach barykad. I ten pomysł jest konsekwentnie realizowany.

Również nie jest gdańską specyfiką niemal otwarcie deklarowana koncepcja, w myśl której, jeśli idzie o takie placówki, rola rządu ma się ograniczać do grzecznego płacenia rachunków, a żadnego, nawet realizowanego w sposób najbardziej koncyliacyjny, wpływu na to, co się w takich placówkach dzieje, władza centralna ma nie wywierać. Owe placówki mają być oddane w wieczny pacht lokalnym elitom, które de facto mogą się na nich uwłaszczyć. W bardzo, dodajmy, komfortowej formie – czyli w dość popularnej na całym świecie formule prywatyzacji zysków przy upaństwowieniu ryzyk i kosztów. Za rządów PO taką politykę oddawania przez państwo całych sfer życia publicznego rozmaitym elitom w zamian za gwarancje ich trwałego poparcia dla ówczesnych rządzących uprawiano, dodajmy, w znacznie większej skali.

Propozycja resortu kultury, który chciał zagwarantowania sobie prawa do nominacji wicedyrektora Centrum i autonomii dla podległego mu pionu nie była może zręczna; niełatwo wyobrazić sobie sprawne kierowanie tak rozparcelowaną placówką. Ale zarazem była umiarkowana, trudno się w niej dopatrzeć jakichś dyktatorskich czy zwłaszcza totalizujących ambicji. Stanowiła też próbę jasnego ukazania sytuacji prawdziwej – to znaczy tego, że dotąd wpływ na ECS miała wyłącznie jedna strona polskiego konfliktu. I właśnie dlatego musiała być odrzucona – bo strona opozycyjna lubi się cieszyć dominacją, udając, że tej dominacji nie ma. Ot, po prostu wszyscy ludzie uczciwi i mądrzy zachowują się w określony sposób, czyli walczą z uzurpatorską w swojej istocie władzą.

No i jest jeszcze jeden powód, dla którego warto zapamiętać sprawę ECS. Sukces zbiórki mającej załatać wyrwy uczynione w budżecie Centrum przez ministra Glińskiego pokazuje nie tylko skalę emocji antyrządowo nastrojonej części społeczeństwa. Pokazuje też, jak w tym społeczeństwie wygląda rozkład bogactwa i jak ów rozkład koreluje z podziałem politycznym.

Bardzo poglądowa była ta lekcja.

Fot. Andrzej Wiktor

116/0119/F

eprasa.pl df9b070253

POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

JUŻ NIE DAM SIĘ LICHWIE

Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl

eprasa.pl df9b070253

Rodziny wielodzietne opłacą emeryturę Biedronia

Na emeryturę pana Biedronia złożą się m.in. dzieci, które urodzą się w tym roku – jeśli zdołają przeżyć plan ich unicestwienia. Biedroń nie chce tłoku wśród żyjących, chce tłoku wśród wegetujących

W roku 2041 Robert Biedroń przejdzie na emeryturę. Z czego będzie ją pobierał? Od kogo? Wiemy, że wpłaty, jakie wnosimy co miesiąc na swoje ubezpieczenie, nie są odkładane na nasze emerytury, ale wydawane na świadczenia dla emerytów obecnych. A nasze będą opłacane z podatków, które płacić będą za 10, 20 i 40 lat dzisiejsze dzieciaki. Wiemy, że będzie coraz gorzej, bo populacja Polaków dramatycznie spada, emerytów przybywa, pracujących ubywa. Coraz mniej liczni będą musieli finansować coraz liczniejszych. Emerytury będą zatem coraz niższe. O ile w ogóle będą, o ile nie nastąpi generalna katastrofa i brak wypłacalności ZUS oraz całego państwa. Zachodni analitycy zapowiadają, że wkrótce w Polsce urośnie potężna rzesza staruszków z głodowymi emeryturami.

Na emeryturę pana Biedronia i jego przyjaciół przez kilkadziesiąt lat łożyć będą dzisiejsze dzieciaki, zwłaszcza te z rodzin wielodzietnych. Przyszli emeryci powinni więc – choćby z tego względu – życzyć Polsce jak największej liczby Polaków. Tymczasem w swym wyrazistym programie obyczajowej jatki Robert Biedroń chce, by zabicie dziecka w łonie matki było możliwe na każde życzenie, z każdego powodu. Prawa kobiet znowu mają być limitowane rozmiarem kobiety, zbyt małe kobiety pójdą pod nóż. Pieniędzy na emerytury będzie jeszcze mniej.

Na emeryturę pana Biedronia złożą się m.in. dzieci, które urodzą się w tym roku – jeśli zdołają przeżyć plan ich unicestwienia. Biedroń nie chce tłoku wśród żyjących, chce tłoku wśród wegetujących.

Wesoły ekonomiczny program partii Biedronia do oceny się nie nadaje, ale obyczajowy jest wyrazisty. A doświadczenie pan Biedroń ma, w czasach gdy był bardziej szczery, mówił roześmiany w telewizyjnym wywiadzie, że gej musi często zmieniać partnerów, bo ma naturę zdobywcy. W gimnazjach zaś propagował fisting. Jeśli ktoś nie wie, co oznacza ten pochodzący od angielskiego słowa „fist" („pięść") termin, niech sprawdzi, opisywał nie będę. Albo zapyta dzieci, którym już może biedroniowi seksedukatorzy w szkole to wytłumaczyli, zachęcając do eksperymentowania.

Jako rodzice trojga dzieci od 1 stycznia mamy z żoną dożywotnie prawo do Karty Dużej Rodziny, która daje rozmaite ulgi. Może nie oszałamiające, ale realne i istotne. I daje jeszcze coś – poczucie przynależenia do najważniejszej dziś w Polsce elity: elity dużych rodzin. Najważniejsze są w niej rodziny wielodzietne, rodzice, którzy dali życie całej gromadzie dzieciaków, wykarmili je i wychowali. Czasem kosztem swych karier zawodowych czy statusu materialnego. Inwestując w miłość i w przyszłość. Dobrze, że polskie państwo zaczęło ich doceniać i im pomagać.

Pomysł 500+ jest znakomity, ale poprawmy go, rozwińmy. Niech 500+ otrzymują dzieci z rodzin, które nie osiągają wystarczających dochodów, by im tę sumę potrącić z podatków. Ale rodzicom, którzy płacą podatki wyższe niż 500 zł miesięcznie, prościej i taniej jest owe 500+ z podatku odliczać. Zamiast pobierać i potem oddawać. Prościej, taniej, a przede wszystkim bardziej roztropnie i kulturotwórczo. Wtedy państwo nie będzie łaskawym „dawcą", tylko wykonawcą podstawowej zasady, że dziecko jest szczęściem, ale i zasługą, wysiłkiem rodziny, za który należy się ulga w płaconym podatku w wysokości 6 tys. zł rocznie. A rodzice będą się czuć bardziej podmiotowo, co może mieć rozliczne dobre skutki.

Na koniec pytanie dziwne. Tak proste, że nikt go nie zdaje. Mamy równość wobec prawa wszystkich obywateli? To dlaczego dyskryminujemy dzieci? Dlaczego można się opodatkować ze współmałżonkiem, a nie można wspólnie z własnym dzieckiem? I nie chodzi mi o żadne łaskawe ulgi, tylko o potraktowanie obywatela nieletniego jak każdego innego obywatela Rzeczypospolitej. To przecież najprostszy sposób wzmocnienia rodziny. I najbardziej sprawiedliwy, bo odzwierciedlający życiowe realia rodziców przez 20–30 lat utrzymujących kilkoro dzieci. I najlepsza zachęta, by swą rodzinę powiększać. A to może być dla Polski być albo nie być.

Na emeryturę pana Biedronia łożyć będą najhojniej rodziny wielodzietne – w tym i następnym pokoleniu. Pod warunkiem że jego seksedukatorzy nie dotrą wcześniej do dzieci i nie wmówią im, że fisting jest lepszym sposobem na życie.

Maciej Pawlicki

116/0119/F

eprasa.pl df9b070253

POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

JUŻ JESTEŚMY BEZPIECZNE

Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl

eprasa.pl df9b070253

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Myśl Feliksa Konecznego

Pisane prawie 100 lat temu prace profesora są nad wyraz aktualne. Powoli sięga do jego dorobku mądra młodzież, odnajdując w nim pomoc w zrozumieniu współczesnego świata

To przykre, ale nawet okrągła 70. rocznica śmierci prof. Feliksa Konecznego (1 listopada 1862 – 1 lutego 1949) została przemilczana przez media, także publiczne. O tytanicznej pracy naukowej krakowskiego uczonego, o jego oryginalnej myśli historiozoficznej, zwieńczonej sformułowaniem „praw dziejowych" dyskutowało jedynie wąskie grono naukowców i publicystów konserwatywnych podczas okolicznościowej konferencji w Warszawie. Była to impreza wręcz prywatna, pozbawiona oficjeli, patronów, sponsorów i mecenasów, zorganizowana jedynie z wielkiego szacunku oraz wdzięczności dla uczonego. Przebogaty dorobek profesora, nie do końca jeszcze opracowany i opublikowany (np. recenzje teatralne), nie może w pełni zabłysnąć w społeczeństwie, gdyż tak jak był dla komunistów niewygodny w początkach PRL, tak pozostał niechciany w III RP. Dopiero teraz, powoli, sięga do jego dorobku mądra młodzież, odnajdując w nim pomoc w zrozumieniu współczesnego świata.

Tak, pisane prawie 100 lat temu prace profesora są nad wyraz aktualne. Bo takie zagadnienia i pojęcia jak cywilizacja, naród, państwo, społeczeństwo, religia, prawo, etyka, zaprezentowane według własnej, oryginalnej metody badawczej profesora, zachowują swój ponadczasowy wymiar. Ale najpierw trzeba się o tym przekonać. Kto się przełamie i dotrze do zbioru liczącego dziesiątki książek, artykułów, referatów profesora, nie może wyjść z podziwu i dumy, że Polska miała tak wielkiego uczonego. I warunek drugi – trzeba zaakceptować oraz uznać za własne przekonanie Konecznego o szczególnej roli naszej cywilizacji, zwanej łacińską lub zachodnią, a katolicyzm przyjąć jako „religię intelektu i intencji".

Uczestnicząc we wspomnianej konferencji, wyposażony w wiedzę o profesorze, wyćwiczoną w trakcie licznych prelekcji i spotkań, jakie odbywałem po Polsce, skoncentrowałem się na praktycznej stronie dokonań uczonego. A ta wymaga stawiania pytań zasadniczych, egzystencjalistycznych, nie tych jednak z gatunku Sorena Kierkegaarda czy Jeana Paula Sartre'a, odrzucających nadprzyrodzoną naturę człowieka. Feliks Koneczny stał na gruncie supremacji sił duchowych nad materialnymi, co jest immanentną cechą cywilizacji chrześcijańskiej.

By pojawiły się te praktyczne pytania, potrzebne jest też zastosowanie kilku metod badawczych profesora oraz narzędzi, za pomocą których uzasadniał swoje poglądy. Nieco o nich pisałem na tych łamach. To np. aposterioryzm i aprioryzm. Aposterioryzm to inaczej metoda indukcyjna, która pozwala rozumowi poznawać i oceniać rzeczywistość. Dlatego tak ważne dla nas w poznaniu rzeczywistości są fakty, daty, nazwiska, dokumenty, dowody, namacalne potwierdzenia okoliczności i poznanie tysięcy ważnych szczegółów, których nie wolno nam przeoczyć w dążeniu do poznania obiektywnej prawdy. Na przeciwległym biegunie znajduje się aprioryzm, metoda poznania apriorycznego, czyli sposób myślenia polegający na dedukcji. Z jednej więc strony mamy, jak mówią historycy i prawnicy, „twarde dowody", z drugiej zaś – „narrację", jakąś opowieść, bajkę zbudowaną na emocjach.

Pierwsze zapowiadane pytanie wydaje się tu oczywiste. Zawierzasz opowieściom, bajkom czy doświadczeniu, sprawdzonym, zbadanym faktom? Czy czujesz się przedmiotem, pionkiem w życiu, czy podmiotem, personą, tym, który chce na życie wpływać? Żyjesz sam, tylko dla siebie i rodziny czy także z innymi ludźmi i dla ludzi? Wolisz różnorodność życia, jego wyjątkowość, oryginalność, niepowtarzalność czy monotonię, jednostajność, spokój dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa? Chcesz, by państwo decydowało za ciebie, wybierasz omnipotencję tegoż państwa czy wolność osobistą i wpływ na własne państwo poprzez przyjazne ci rozwinięte społeczeństwo? Wybierasz dobro, moralność czy zło? Wybierasz prawdę, tę nadprzyrodzoną, której światłem jest Bóg, i prawdę wśród ludzi czy kłamstwo oraz manipulację? Czy cenisz sobie zdrowie i materialne szanse na polepszenie własnego losu, czy jest ci to obojętne? Czy zgadzasz się, że powszechna równość byłaby największą niesprawiedliwością? Jeżeli mówisz tak, czy zatem sprawiedliwość nazwiesz sprawiedliwym rozdziałem nierówności? Wybierasz piękno, wewnętrzne, duchowe i zewnętrzne w sztuce, malarstwie, teatrze czy brzydotę? Doceniasz swój naród, który kształtował się przez wieki, walcząc o swój byt, przetrwanie, naród posiadający własne terytorium, granice, historię, język, kulturę, obyczaj, i jego bohaterów czy czujesz się bardziej Europejczykiem lub kosmopolitą, obywatelem świata, obojętnym na pamięć o swoich przodkach i losy tych, którzy po tobie nastaną? Oto jeden z praktycznych wymiarów myśli prof. Feliksa Konecznego.

eprasa.pl df9b070253

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Czarna dziura i... wolność

Witold Gadowski

Dziura się powiększa, niedługo może się stać niebezpieczna. Nie chodzi mi wcale o globalne ocieplenie i dziurę ozonową. Powiększa się przepaść pomiędzy gnającą do przodu technologią i coraz to nowymi gadżetami służącymi do komunikacji oraz przetwarzania danych a rozwojem ludzkiej mentalności i etyki.

Mówiąc najprościej, refleksja dotycząca nowych przestrzeni, jakie otwierają się przed człowiekiem, nie nadąża za eksplozją techniki. Pozornie nie ma w tym żadnego problemu, jednak gdy się zastanowimy nad tym głębiej, to ujrzymy zagrożenie. Wsiąkamy w nową rzeczywistość bez żadnego zabezpieczenia. To tak jakbyśmy wylądowali na nowej planecie i nie tylko nie znali jej topografii, lecz nawet nie wiedzieli, po co ją eksplorujemy. Wsiąkamy, cyfrowe awatary zastępują nasze prawdziwe tożsamości, a nasze życie coraz mocniej wypełnia wirtualna przestrzeń. Korzystamy z nowych narzędzi i one zaczynają coraz mocniej dominować nad naszym życiem.

Czy jednak wszyscy nie zdajemy sobie sprawy z kierunku i dynamiki nowych zjawisk? Już pojawiło się pojęcie wojny informacyjnej, internet zapełniają rzesze opłaconych pracowników tworzących fikcyjne tożsamości służące do produkowania treści i wpisów w dyskusjach dotyczących najbardziej newralgicznych kwestii. Coraz trudniej się przebić przez zamulające treści i budzące silne emocje wątki. Czy to wina bezosobowych robotów?

To nielogiczne, a zatem ktoś jednak obejmuje ten świat, ktoś kreuje nowe środowisko. Ono jest jak niezbadana siła, która wysysa informacje o nas, gromadzi je i przetwarza. Ktoś panuje nad budowaniem rzeczywistości, w którą całkiem nieświadomie wkraczamy.

Spiskowa teoria? Możliwe, istotne jednak jest to, do czego może doprowadzić zwiększająca się luka między naszą mentalnością i poziomem wewnętrznej refleksji a szalejącą technologią kontaktów wymiany informacji i kreowania opinii. Mamy coraz mniej czasu na refleksję i ocenę zdarzeń, coraz więcej „faktów" musimy po prostu przyjmować na wiarę.

Czeka nas „Nowy Wspaniały Świat", który niedługo zaoferuje nam konieczność uczestniczenia w globalnej sieci biotransmisyjnej. Każdy otrzyma swój kod, każdemu zostanie wszczepiony czip, a ci, którzy odmówią uczestnictwa, staną się banitami współczesnego świata.

Jak to się ma do naszej wolności i prawa do wymykania się globalnej inwigilacji? Do którego momentu pozostaniemy autonomicznymi jednostkami? Bezkrytyczna zgoda na technologiczne szaleństwo musi przynieść swoje wymierne skutki.

Praca u podstaw

Lech Makowiecki

Klęska romantycznych, krwawo stłumionych niepodległościowych zrywów zmusiła naszych przodków do zmiany metod działania; trudno walczyć z trzema europejskimi potęgami naraz! Polacy pod zaborami skupili się więc na pracy u podstaw, starając się przechować w pamięci narodu naszą historię, tradycję i świat wartości. Podstawą przetrwania polskości stały się rodzina (patriotyczne wychowanie), Kościół (dbający o ciągłość wiary i tożsamości) oraz kultura (niebywały rozkwit literatury, malarstwa i muzyki – nawiązujący do czasów polskiej świetności). Pozytywiści wzięli też kurs na ekonomiczne konkurowanie z zaborcami. Związany z Poznaniem naukowiec biznesmen Hipolit Cegielski ujął to w następujący sposób: „Podstawą materialną narodu jest ziemia, przemysł i handel. Kto ziemię, przemysł i handel oddaje w ręce cudzoziemców, ten sprzedaje narodowość swoją, ten zdradza swój naród...". Gorąco polecam tę dewizę współczesnym politykom!

Termin „gospodarna Wielkopolska" nie wziął się znikąd: w Poznańskiem – mimo nierównych szans – wygrywaliśmy konkurencję z Niemcami. I to zarówno biznesowo, jak i demograficznie... A kiedy nasi wrogowie wzięli się za łby, kolejny romantyczny zryw (Piłsudski), połączony z pragmatycznym „lobbingiem" (Dmowski, Paderewski) i mobilizacją mas w 1920 r. (Witos, Kościół) pozwoliły wybić się Polsce na prawdziwą niepodległość. Imponujący dorobek dwudziestolecia międzywojennego świadczył o ogromnym potencjale polskich uczonych i inżynierów, o wysiłku edukacyjnym i pracowitości/kreatywności całego narodu. Zbrakło nam kilku, kilkunastu lat, aby (bez dotacji z UE!) wejść do grona gospodarczych i militarnych potęg Europy.

Kolejni okupanci (Niemcy, ZSRS) wymordowali najlepszych z nas: naukowców, inżynierów, lekarzy, profesorów... Przerwano patriotyczny ciąg pokoleń, wprowadzając na ich miejsce przywiezione na bagnetach sowieckie „elity". Ich potomkowie i wychowankowie do dziś szkodzą Polsce oraz Polakom.

eprasa.pl df9b070253

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

My i oni

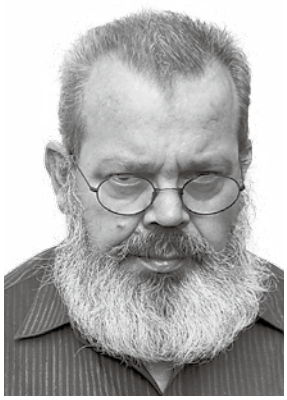

Aleksander Nalaskowski

Mój znajomy spawacz powiedział, że są takie rzeczy, których pospawać się nie da. I tego się trzymam

Onegdaj zaprzyjaźniłem się ze spawaczem spod Warszawy. Oczytany, szlachetny człowiek. Podobnie jak ja zadurzony po uszy w Podlasiu. Ale to nie jest zwykły ślusarz. To mistrz świata w swoim fachu, a rzekłbym nawet: poeta spawalnictwa. O tej technice wie wszystko i jest bodaj jednym z tych przypadków, które zaprzeczają tezie, że nie można o czymś wszystkiego wiedzieć. On wie i kropka. To widać po jego pracy i wiedzy rozległej, dla mnie laika pozbawionej granic. Bywa, że oprócz tematów literackich, historycznych czy politycznych (i tu wykazuje się biegłością oraz wielkim oczytaniem) mówimy o spawaniu. Wtedy dużo się uczę. Mam okazję wyjątkową, to korzystam. On, mistrz świata, uczy majsterkowicza amatora. Stąd wiem, że pewne materiały spawa się z najwyższym trudem, a innych pospawać nie można. Po prostu nie można. Bo można zespawać pękniętą szynę kolejową, można pospawać uszkodzone przęsła mostu, tytanowe konstrukcje, aluminium, ale nie da się pospawać betonu ze stalą. W tym felietonie spawanie to polityczna metafora.

Polska jest pęknięta na pół. I im bardziej wołamy o jedność, o pospawanie Polski, tym dotkliwiej odczuwamy, że to zupełnie niemożliwe. W każdym razie ja straciłem już nadzieję na taki cud. A po rozmaitych doświadczeniach przestałem nawet chcieć takiej jedności. Głupie jest bowiem żądanie rzeczy niemożliwych. Przełamana Polska może da się pospawać na poziomie poprawności politycznej. Tak jak uznano, że Anglikami są wszyscy bez względu na kolor skóry. Ale ja znam sporo angielskich domów, w których zwyczajny i daleki od wytworności rasizm ma się znakomicie. Poprawność polityczna zamyka go jednak w czterech ścianach. Ale czy to znaczy, że nie istnieje?

Bez wątpienia jest jakaś nasza (moja?) Polska i Polska ich. Trwa wyścig, kto komu narzuci swoją. Niby rozwiązaniem są wybory, ale nie znam takich przegranych, którzy by się z wynikiem wyborów pogodzili. A już w ogóle nie znam przypadku, by wygrani i przegrani z sobą radośnie i serdecznie współpracowali dla dobra wszystkich. Wszak wybory to tylko jedna z wielu możliwości wpływania na rzeczywistość. Bo przecież są jeszcze internet, telewizje, hejt, fake newsy. Doświadczamy tego na co dzień. Bo żyjemy pod hasłem „Wprawdzie oni wygrali wybory, ale my im tak będziemy dowalać, że aż sczezną".

Dlatego nie da się tego pospawać w jakąś całość. I ja nawet sobie tego nie życzę. Po prostu nie chcę być nigdzie z Kuźniarem, Stasiukiem, Saramonowiczem, Stuhrem, Palikotem, Schetyną, Sadurskim czy Pochanke albo Olejnik, Pawlikowskim, Michnikiem etc. Nie potrafię zapomnieć, co mówili, jak się zachowali, co podeptali. Nie tylko nie czuję z nimi żadnej więzi, lecz jej sobie po prostu nie życzę. Nie wpuszczam ich do mojej Polski. My mamy Popiełuszkę, a oni Adamowicza, my mamy naszego papieża, a oni Owsiaka, my mamy prawa natury, a oni LGBT, u nas są kapłani, a u nich pedofile, my mamy „Wesele" Wyspiańskiego, a oni „Wesele" Smarzowskiego. My mamy Marsz Niepodległości, a oni parady równości, my mamy Jasną Górę, a oni pomroczność jasną. My mamy Pileckiego, a oni Grossa. Te Polski mają swoje gazety, swoje teatry, swoich ekspertów, swoje kodeksy moralne, swoją historię, geografię i języki. To nie do pospawania! Bo tu już dawno nie ma żadnego złotego środka ani miejsca, które akceptowaliby wszyscy bez wyjątku. Nie ma takiego spawacza.

Nawet nie mamy się jak ani gdzie spotkać, bo żyjemy w różnych Polskach i z różnymi zegarkami. Kiedyś było jeszcze takie umowne miejsce – burzyliśmy się w kraju, ale nań nie donosiliśmy. Ale i to padło. Określenie „targowica" nabrało już nowego znaczenia. Tak jak „bolszewia", „wataha" czy „profesor". Tak samo jest z lojalnością, wiernością i przekonaniami. U nich to Giertych, Marcinkiewicz, Niesiołowski i legion innych, a u nas – „zakon PC", którego drogi są tylko pod górkę. Mamy różne standardy publiczne. Oni są w stanie powiedzieć bezkarnie każde kłamstwo wprost do kamery, bo już dawno odarli słowa ze znaczeń. A my za prawdę bywamy sekowani, pokazywani palcami i uznawani za oszołomów. Oni każą nam co rusz kogoś przepraszać. Za wojnę, za Holokaust, za dziki, puszczę, mowę nienawiści i „nietolerancję". Oni mogą lżyć toruńskiego redemptorystę, drwić z polskich matek i szydzić z religii. Za nic nigdy nie przeprosili. Bo oni nie znają takiego słowa.

Bezzasadnie i nienawistnie dzielę? Nie szukam zgody? Nie namawiam do jedności? Być może, ale mój znajomy spawacz spod Warszawy powiedział, że są takie rzeczy, których pospawać się nie da, i nikt o zdrowych zmysłach nie będzie nawet próbował. I tego się trzymam. Od wszystkiego są fachowcy.

Autopromocja

eprasa.pl df9b070253

PRZEZ ŚWIETLIK

Wzór na nienawiść

Zastanawiam się, co powoduje, że spośród wielu osób w telewizji publicznej, szczególnie w programie „W tyle wizji", jedna budzi większe emocje niż pozostałe. Co jest takiego w Magdzie Ogórek, że budzi nienawiść agresywnego stadka spod TVP większą niż inni? Jedna z czołowych podtelewizyjnych agresorek napisała, że jest pięćdziesiąt kilo cięższa od Magdy. To oczywiście może być przyczyną, mężczyzna nigdy do końca nie pojmie emocji między kobietami, więc nawet nie próbuję. Drobna kobieta jest też stosunkowo bezpieczniejszą ofiarą dla ulicznego stadka niż stukilogramowy facet, któremu mogą puścić nerwy. Pewnie i to wyraźna motywacja. Doktor Ogórek jest ładna i inteligentna. Protestujący nie zawsze, więc mogą być na nią o to ciut źli. Ale chyba jest coś jeszcze.

Naganiane przez „Wyborczą" do agresji wobec dziennikarzy o innych poglądach towarzystwo nie może wybaczyć Magdzie Ogórek tego, że bliższy był jej kiedyś inny obóz polityczny. Że była ich, a teraz już nie jest. To niejedyny taki przypadek. Zauważyłem niegdyś, że szczególną niechęć wśród medialnej lemingozy budzi Jacek Saryusz-Wolski. Przecież był w Platformie Obywatelskiej, wprowadzał Polskę do Unii, a potem stwierdził, że on nie zmienił poglądów, tylko PO oszukała ludzi i nie chce dłużej firmować tego swoim nazwiskiem. Spory hejt spadał też swego czasu na Jarosława Gowina. Przecież od zawsze prezentujący umiarkowanie konserwatywne poglądy powinien co najwyżej zniknąć ze sceny politycznej, gdy PO miała konserwatyście do zaoferowania tyle, ile bolszewicy kułakom.

Wiktor Świetlik

W filmach o mafii najokrutniej traktuje się tych, którzy nie chcą już być w przestępczej rodzinie

Dla ludzi o normalnym podejściu do polityki zmiana poglądów jest czymś, co się zdarza, w końcu nikt z nas nie jest krową. Ja poza stosunkiem do paru spraw, np. neoliberalizmu amerykańskiego, raczej poglądów nie zmieniałem. Łatwo sprawdzić. Ale nie uważam z tego powodu, że ludzie nie mogą się zmieniać. Do komunizmu zraziła się spora część pokolenia '68, niektórzy z nich zostali nawet ostrymi antykomunistami. Ronald Reagan zaczynał jako liberalny demokrata. Piłsudski wysiadał z socjalistycznego pociągu, a Jan Rokita o 180 stopni zmienił zdanie w sprawie lustracji. Tak po prostu bywa. Czasem jest to oznaka konformizmu, czasem doświadczeń, a czasem uczciwości intelektualnej, podobnie jak trwanie przy poglądach miewa różne przyczyny.

Zupełnie jednak inaczej jest w ustrojach totalitarnych czy środowiskach przestępczych. Wystarczy pooglądać filmy o mafii. Tam morduje się nie tylko zdrajców, lecz nawet tych, którzy nie chcieliby już być w przestępczej rodzinie, chcieliby iść własną drogą. No w końcu każdy ma swoje wzorce.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

W POLSCE PL
Wspieraj nas, oglądając w sieciach kablowych
CYFROWY POLSAT
NA POZYCJI 196

eprasa.pl df9b070253

„Dołek” dla jednych, dla innych bezkarność

Czy przyklejanie szefowi zespołu, który pracuje nad wyjaśnieniem tragedii z 10 kwietnia 2010 r., odium afer, korupcji, przekrętów, jest zabiegiem świadomym i celowym?

JAN POSPIESZALSKI

Bartka, byłego asystenta Antoniego Macierewicza, widziałem kilkanaście razy. Częściej rozmawiałem z nim telefonicznie, ustalając np. obecność jego szefa w programie „Warto rozmawiać”. Sprawiał wrażenie pracowitego, zaangażowanego, młodego człowieka. Z pewnością więc dla wielu czytelników „Sieci” ubiegłoroczny tekst „Pilnowanie dobrej zmiany”, opisujący jego powiązania z sitwą żerującą na Polskiej Grupie Zbrojeniowej i Ministerstwie Obrony Narodowej, był przykrym zaskoczeniem. Tym bardziej że materiał ten (chcę wierzyć, że bez woli autorów) wpisywał się w antyrządową kampanię totalnej opozycji i medialnej orkiestry antypisu, prowadzonej pod hasłem #Misiewicze.

Ubiegłotygodniowy artykuł w „Sieci” – „Dołek Bartłomieja M.” – ukazujący lewe interesy grupy, która oplotła młodego szefa gabinetu politycznego MON, wygląda na rzetelny i dobrze udokumentowany. Jednak całostronicową ilustrację byłego rzecznika MON z czarnym paskiem na oczach, w towarzystwie ministra Antoniego Macierewicza, odbieram jako manifest polityczny. Tym razem wszystko wskazuje na to, że autorzy, opatrując swoje doniesienia właśnie takim zdjęciem, nie robią tego przez przypadek. Dziennikarze śledczy, nawet jeżeli są tylko adresatami i redaktorami materiałów, które dostają od służb (a niestety w większości tzw. śledztw dziennikarskich tak się dzieje), powinni być ludźmi inteligentnymi, a przynajmniej umiejącymi wyciągać wnioski. Za takich uważam Marka Pyzę i Marcina Wikłę. Dlatego przy tekście o przekrętach dobór zdjęcia eksponującego wizerunek polityka, jednego z najbardziej bohaterskich i najbardziej zaangażowanych w zwalczanie rosyjskich wpływów w Polsce, odbieram jako uderzenie w niego i wartości, które on reprezentuje. Jeżeli zaś autorzy materiały, na które się powołują, dostali od funkcjonariuszy służby związanej z jednym z ośrodków wpływów w obecnym obozie władzy, zaryzykuję twierdzenie, że doświadczeni dziennikarze śledczy dali się użyć do obrzydliwej operacji mającej na celu marginalizację polityczną Antoniego Macierewicza. Biorąc pod uwagę, że po odejściu z MON Macierewicz koncentruje się na dokończeniu prac komisji smoleńskiej, należy zadać pytanie, czy przyklejanie szefowi zespołu, który pracuje nad wyjaśnieniem tragedii z 10 kwietnia 2010 r., odium afer, korupcji, przekrętów, jest zabiegiem świadomym i celowym.

I druga sprawa – Bartłomiej M. siedzi w areszcie, a tabloidy i cała orkiestra antypisu mają ubaw po pachy. W gazetach, na portalach roi się od haniebnych tekstów pastwiących się nad aresztantem. Niektóre nagłówki napawają takim obrzydzeniem, że wstyd je tu przytaczać. Nie pamiętam, żeby o najgroźniejszych zwyrodnialcach, mordercach, bandziorach (Trynkiewicz, Stefan W.) media wypisywały takie obrzydliwości, w takim stopniu odczłowieczały zatrzymanego.

I jeszcze jedno – tekst z ubiegłego tygodnia posługuje się w tytule określeniem „dołek”, knajacką nazwą aresztu, jakby autorzy chcieli za wszelką cenę podkreślić, że Bartłomiej M. jest za kratami. Istotnie, to godne podkreślenia, gdyż Bartłomiej M. siedzi, kiedy na wolności hula sobie cała zgraja mecenasów od złodziejskiej reprywatyzacji. Robert N. odpowiedzialny za niewyobrażalną krzywdę lokatorów, często starszych ludzi, wyszedł na wolność, wpłacając kaucję.

Właśnie słyszymy o zatrzymaniu byłego prezesa Lotosu Olechnowicza. O nieprawidłowościach w Grupie Lotos wiewiórki mówiły już od dawna. Opublikowany 15 października 2016 r. raport z audytu wskazywał na uzasadnione podejrzenie spowodowania szkody o wartości ok. 10 mln zł w majątku Grupy Lotos i konieczność zawiadomienia prokuratury. Trzy miesiące później dyrekcja Lotos Serwis pewną firmę widniejącą na liście spółek zastrzeżonych (wskazaną przez audytorów do zbadania przez prokuraturę) rekomenduje do kontynuowania współpracy. Prokuraturę zawiadomiono dopiero po pół roku. Zatrzymanego prezesa Lotosu (pod zarzutem spowodowania strat na kwotę nie mniejszą niż 240 tys. zł) natychmiast wypuszczono za poręczeniem majątkowym.

W którym przypadku zachodzi większe prawdopodobieństwo powstania wielkich strat oraz niebezpieczeństwo matactwa i kto ma więcej do ukrycia? Długoletni prezes wielkiego koncernu, nominat postkomunistów, czy pracujący kilka miesięcy w zarządzie spółki młody farmaceuta?

eprasa.pl df9b070253

Nagroda „po nazwisku”

Jerzy Jachowicz

Wielki Laur Odwagi to wyróżnienie ustanowione przez Stowarzyszenie Obywateli RP, przyznane po raz pierwszy na początku tego roku. Zanim powiemy, kto został pierwszym laureatem, prześledźmy przebieg ostatniego etapu rywalizacji.

W finale pozostały dwie panie – Hanna Lis, wieloletnia była dziennikarka telewizyjna, oraz Ewa Siedlecka, była dziennikarka „Gazety Wyborczej”, a obecnie tygodnika „Polityka”. Zdecydowano się na wybór „odważnej” dziennikarki, ponieważ punktem odniesienia były niedawne zachowania manifestantów pod telewizją publiczną wobec dziennikarki tej stacji Magdaleny Ogórek. Protestujący wznosili wówczas mało przychylne okrzyki i wyzwiska w rodzaju „Spieprzaj, kłamliwa babo obrzydliwa”. W sposób agresywny blokowali również odjazd dziennikarki. Wydarzenie spotkało się z dość powszechnym potępieniem zachowania protestujących. Jednakże, zdaniem Obywateli RP, nie zabrakło ludzi odważnych.

Hanna Lis broniła demonstrantów, pisząc, że naklejanie nalepek na samochód nie jest agresją, a TVP próbuje z propagandzistki władzy zrobić męczennicę. Z kolei Ewa Siedlecka stwierdziła, że „wobec Magdaleny Ogórek nie przekroczono granic debaty publicznej”. Zachowanie protestujących było jedynie wyrazem krytyki, do której ludzie mają prawo, bo dziennikarze TVP opłacani są z publicznych pieniędzy.

Sporo zamieszania w spokojne wcześniej obrady jury wprowadził dziennikarz „Gazety Wyborczej” Wojciech Czuchnowski, który niemal wdarł się do pokoju, gdzie w powietrzu unosiło się poczucie ogromnej odpowiedzialności. Domagał się, aby zaszczytne wyróżnienie trafiło do dziennikarki z serwisu internetowego OKO.press. Wykrzykiwał, że jego kandydatka w rozmowie z nim potępiła ostro postawę wszystkich dziennikarzy prawicowych, w tym jednego z najbardziej wrednych w tym towarzystwie, niejakiego Jerzego Jachowicza. Jednakże, zdaniem jurorów, Czuchnowski jest mało wiarygodnym człowiekiem, zatem odrzucono jego kandydatkę.

Podobno jury wzięło pod uwagę, że po zmianie władzy Tomasz Lis może zostać szefem TVP, przyznało więc nagrodę „po nazwisku”.

CO MNIE ŚMIESZY

Dinozaury w naftalinie

Katarzyna Łaniewska

Pani była premier opowieściami o dinozaurach z ery POlogicznej, z epoki kamienia rzucanego wypłynęła jako pierwsza gwiazda w środkach masowego przekazu.

Właściwie to stęskniłam się za panią Kopacz. Byłam jej fanką. Inni promowali bardziej pana Ryszarda, ale ona mnie fascynowała swoją dokładnością w natychmiastowym wykonywaniu obowiązków. Kiedy dostała nominację na – niestety – premiera Rzeczypospolitej, powiedziała, że zakasuje ręce i zabiera się do roboty. I zaczęła podwijać sobie rękawy bluzki, pokazując, że już to wykonuje. Wzięła jakichś facetów z rządu PO, połączyła ich dłonie i powiedziała, że tak będą działać. Tak to dzieci w przedszkolu inscenizują piosenki. Tylko że one, tańcząc i śpiewając, są rozkoszne. Z rozkoszą oglądania pani byłej premier było różnie.

Ona sądziła, że by być bliżej ludzi, trzeba do nich pojechać i organizować posiedzenia rządu w różnych miastach. Przeważnie podróżowała pociągiem, a obok jechały meble z Warszawy. Tak miała być bliżej ludu. W pewnym momencie miała ksywę „Peronówka”, ponieważ na peronie udzielała wywiadów. Zawsze się zresztą śpieszyła, bo pociąg odjeżdżał. A w pociągu królowała. W wagonie restauracyjnym troszczyła się o to, czy klient ma świeżutkie danko, wąchając jedzenie jakiegoś przerażonego pasażera. Obsługiwała swoich kolegów zamiast kelnera, pytając, czy chcą jajeczniczkę. Trochę gorzej prezentowała się w podróży zagranicznej. Zapamiętałam jedną z nich, u pani Merkel w Niemczech. Musiała być tam lekko prowadzana na czerwonym dywanie, bo myliły jej się kierunki. Uśmiech miała cały czas, a rączka chodziła: jak się masz, kochanie, jak się masz?

Lubiłam też, gdy wpadała na plażę w swoich czółenkach, bo chodziła tam w wysokich obcasach. Lubiła lizać lody w rządowej limuzynie na skórzanych siedzeniach. Taką ją zapamiętałam z lat, kiedy była szefem. Teraz jako była premier musiała jakość błysnąć i zaczęła nadawać o dinozaurach.

Kiedyś pisałam, że szkoda, iż nie ma castingu na posłów. Przydałby się podczas wyborów do europarlamentu, tylko nie wiem, kto by zasiadł w roli jurorów. Żeby akceptować tych, którzy mają nas reprezentować. Spojrzałam po byłych premierach i prezydentach. To dość smutny zespół. Tam pani była premier zakrólowała.

Nie życzę jej sukcesu jako dinozaur. Szkoda, że nie pamiętała biblijnych słów: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem”.

eprasa.pl df9b070253

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

2019 rokiem hejtu

Ten rok dla ludzi na poziomie kultury może być wyzwaniem

„Debata" pod auspicjami totalnej niedyspozycji ma na celu jedno – sprowokowanie PiS i jego zwolenników. Metoda ta jest dla schetynistów jedynym sposobem przetrwania. Do zaoferowania ludziom mają tyle, ile prezydent Rafał Trzaskowski w Warszawie. No fajerwerki to nie są. Mogą być jedynie wścieklizną antypisowską.

Ryszard Makowski

„Hejt! Hejt! Hejt, sokoły..." to ich przyśpiewka. W szalejącej pyskówce nie liczą się rzeczowe argumenty. Im ktoś jest większym gburem czy chamidłem, tym ma większe szanse. I tu trudno się dziwić postępowaniu opozycji. Każdy rzuca na szalę to, w czym czuje się mocny.

Niestety doradcy dobrej zmiany doszli do wniosku, że należy postawić na polityczną kindersztubę. Nawet prof. Pawłowicz doradzono, żeby się wycofała z wpisów na Twitterze, choć nic bulwersującego nie publikuje. Taktyka „będziemy fajni, to nas polubią ci niezdecydowani" jest bardzo ryzykowna. Pokazały to wybory samorządowe. Dobrzy kandydaci PiS przegrywali z wyjątkowo miernymi kontrkandydatami. Niektórych – choćby prezydenta Gdańska – nawet PO się wstydziła. W wyborach do europarlamentu będzie atak polexitem. Czy opowieści o wyższości moralnej wystarczą?

PiS powinno ruszyć do zdecydowanej szarży, na konkretnej zasadzie: albo chcecie zdrajców i obcą agenturę w Brukseli, albo przedstawicieli Polski. Hejt niech się hejtem odciska. I nie ma co być ugrzecznionym wobec zwykłej hołoty. To się nigdy nie kalkuluje. Przy urnie wyborczej też.

eprasa.pl df9b070253

Zawistowski prezentuje: Wiosna

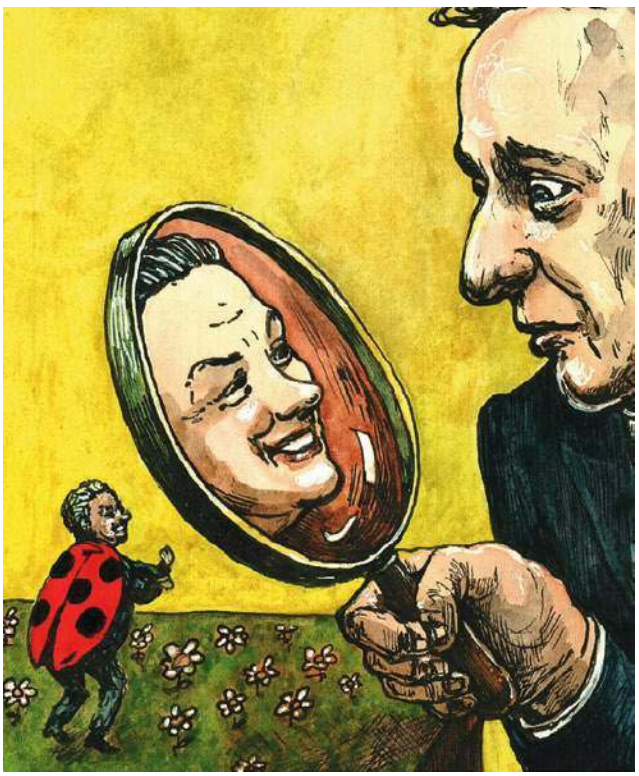

Wycinki z przeszłości

Zabawny wierszyk Remigiusza Kwiatkowskiego znaleźliśmy w Kalendarzu Kółek Rolniczych na rok 1959.

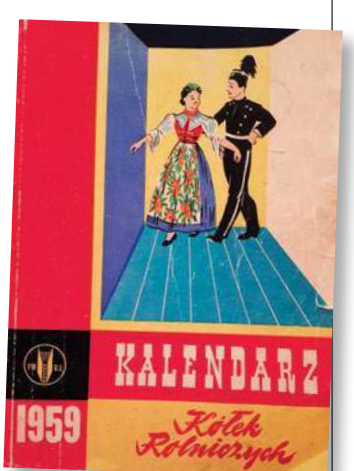

„Starość”

Starość to nieproszony gość,
Nie straszny, gdyśmy młodzi.
Nie powiedziałem
jeszcze „dość”,
A on w próg domu wchodzi.

Cóż począć? Gość jak z nieba spadł,
w objęciach mnie już trzyma,
więc rzekłem: „bardzom, bardzom rad,
tylko... mnie w domu ni'ma!”.

I tak trzymajmy!
A dodatkowo warto pamiętać o kilku „chińskich myślach” zamieszczonych w tym samym wydawnictwie:

„Nie naprawiaj statku na środku rzeki.
Nie zawija się ognia w papier.
Uczony jest skarbem swojego kraju”.

(mk)

Z piwnicznej szuflady

Leszek Długosz

Po Radomiu (1976) nawet i u nas w kabarecie Pod Baranami inwigilacja stała się o wiele bardziej dokuczliwa. Cenzura węszyła nie tylko wprost wyrażoną aluzję, ale możliwość każdej. Trzeba było jakoś sobie radzić. Oto próbka „obejścia”. Ucieczka w lirykę, w przyrodę. Piosenka trochę na modłę odkrywanego wtedy Okudżawy. Ale muzyka z wyczuwalnym motywem poloneza wyraźnie podpowiadała drogę.

Droga zimowa

Ach jak długo już jedziemy
A tej wiosny wciąż nie widać
Mówią że gdzieś jest na Ziemi
Innym ludziom kwitnie chyba?
– Innym ludziom kwitnie chyba
Ach jak długo już jedziemy
A ta droga gdzie prowadzi?
Coraz większy śnieg przed nami
Choć mijamy drogowskazy
– Choć mijamy drogowskazy...

Gdzie to niebo jest wysokie
Które pachnie czeremchami
Gdzie ten ciepły wiatr u okien
Myśmy o tym wszak słyszeli?
– Myśmy o tym wszak czytali?
Gdzie te rzeki od kry czyste
Które z wiosną płyną śmielej
A i ptaków przelot wyższy
Myśmy o tym wszak czytali?
– Myśmy o tym wszak słyszeli?

Ach jak długo już jedziemy
A tej wiosny wciąż nie widać...
Mówią że gdzieś jest na Ziemi
Innym ludziom kwitnie chyba?
– Innym ludziom kwitnie chyba
Ty nie pytaj mnie – dlaczego
Ty nie pytaj mnie uparcie
Bo tej wiosny przecież wiem
Mogło by i dla nas starczyć
– Mogło by i dla nas starczyć...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl df9b070253

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Intersubiektywność

Trudne słowo. Po łacinie inter znaczy „między", subiectivus – „podmiotowy". Zazwyczaj intersubiektywność określa ten aspekt poznania, który powoduje, że poznanie przekracza wymiar jednostkowy. To problem z pewnością filozoficzny, ale fundamentalny dla życia społecznego. W wielkim uproszczeniu można by powiedzieć, że intersubiektywność to sedno podstawowego porozumienia między ludźmi. To istotny warunek wspólnego funkcjonowania ludzi, współdziałania i współtworzenia.

Bez intersubiektywności nie byłoby powszechnie respektowanych norm obyczajowych; nie miałoby sensu prawo jako system regulujący życie społeczne; w ogóle rozmaite przepisy regulacyjne nie miałyby racji bytu. Wtedy raz po raz trzeba sięgać po przemoc.

W istocie wszystko, co opiera się na umowie społecznej, o dojrzałej demokracji nawet nie wspominając, bez intersubiektywności nie przetrwa.

W realu i w wirtualu funkcjonują oddzielone od siebie swoiste wspólnoty mentalne czy raczej emocjonalne, zamknięte światy mediów społecznościowych, nazywane bańkami informacyjnymi

RZECZYWISTOŚCI ALTERNATYWNE

Tak wielu z nas ma poczucie życia w osobnych światach. Wszak dzięki technologii poza realem mamy do dyspozycji niemal bezkresny wirtual. A oprócz tego i w realu, i w wirtualu funkcjonują kolejne, oddzielone od siebie swoiste wspólnoty mentalne czy raczej emocjonalne, zamknięte światy mediów społecznościowych, nazywane bańkami informacyjnymi. Od wpadnięcia w pułapki mentalnego odosobnienia nie są wolne także nasze środowiska dobrej zmiany. Weźmy sobie to do serca.

Zda się, że pomostów między tymi „rzeczywistościami" coraz mniej. Wystarczy choćby posłuchać publicznych wypowiedzi polityków, działaczy społecznych czy tzw. autorytetów moralnych (częściej idoli lub celebrytów) reprezentujących różne opcje polityczne. Nie chodzi o to, że ich perspektywy poznawcze się różnią. Różnice są naturalne. Chodzi o to, że intersubiektywność po prostu przestaje działać. Nie ma zgody co do podstawowych „prawd", podstawowych pojęć nawet wobec tego, co jest prostym faktem.

ŚWIATY WEDŁUG TUSKA I INNYCH

Przykładowym alternatywnym światem jest świat według Tuska (to nieco złośliwe, nie ukrywamy). Świat już na swój sposób okrzepły, bo, przypomnijmy, wyraźnym znakiem tej specjalnej rzeczywistości były słynne billboardy sprzed kilku lat, na których urzędujący wówczas premier – czynny polityk – mówił: „Nie róbmy polityki. Budujmy mosty".

Rządzić bez polityki – da się? Kto wtedy uwierzył w taki świat?

Dziś Donald Tusk, przewodniczący Rady Europejskiej, odwiedzając Polskę z okazji stulecia niepodległości, nawołuje do walki ze „współczesnymi bolszewikami". Czyli z kim?

Ale nie tylko „świat według Tuska" ma już swoją dynamikę i specyfikę. Podobnie jest przecież ze światem „Wyborczej", światem Oko.press etc. Z bliskim nam światem tygodnika „Sieci" niestety bywa podobnie...

Popatrzmy choćby na tak obfitujący w newsy tydzień przełomu stycznia i lutego br. Alternatywne światy te same zdarzenia odnotowały tak, że można stracić rozeznanie, czy to aby te same zdarzenia... Bomba i kapiszon. Lincz i mieszczący się w ramach debaty publicznej gniew. Walka z mową nienawiści (czytaj: walka z PiS?). „Wielka katastrofa edukacyjna nadchodzi", kiedy żyły dinozaury; zapach naftaliny przed Wiosną... Nawet jeśli macie poczucie, że rozumiecie wszystkie te frazy i wiecie, o co chodzi w tym infozgiełku, to i tak nie ma to większego znaczenia. Rozstrzyga kontekst narzucony przez tę konkretną, alternatywną rzeczywistość, w której funkcjonujemy. A jeśli nawet czasem ktoś nie wytrzymuje i krzyczy: „Król jest nagi!", to co z tego...

Gdy swego czasu jeden z redaktorów stacji Tok FM Jan Wróbel krytycznie ocenił obrazoburcze przedstawienie „Klątwa" wystawiane w Teatrze Powszechnym w Warszawie, wytykając swemu środowisku stosowanie moralności Kalego, koledzy (na czele z Jackiem Żakowskim) z tego samego alternatywnego świata przywoływali go do porządku.

NA BAZIE FAKTÓW!

Bez szacunku dla prawd najprostszych nie ujedziemy zbyt daleko. Jak mamy się dogadać w jakiejkolwiek sprawie – jako społeczeństwo, jako wspólnota jednostek (myślących?) – skoro przestaliśmy się przejmować tym, że na dobre utknęliśmy w bańkach informacyjnych?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 98/0119/F

eprasa.pl df9b070253

Forum wGospodarce.pl

Pierwsza edycja projektu Grupy Medialnej Fratria

Forum wGospodarce.pl

TO PLATFORMA WYMIANY DOŚWIADCZEŃ O WPŁYWIE INWESTYCJI ZAGRANICZNYCH NA GOSPODARCZY ROZWÓJ POLSKI

- **Zainicjujemy dialog**
  między inwestorami obecnymi na polskim rynku, ekspertami a administracją.
- **Podsumujemy**
  dotychczasowy wpływ inwestycji zagranicznych na naszą gospodarkę.
- **Przeanalizujemy**
  postrzeganie możliwych kierunków budowania polskiej konkurencyjności.
- **Zaprezentujemy**
  znaczenie obecności globalnych marek w Polsce.

Więcej informacji w dedykowanej zakładce na

www.wgospodarce.pl

PATRONAT HONOROWY:

Ministerstwo Cyfryzacji

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi

Polska Agencja Inwestycji i Handlu
Grupa PFR

PARTNERZY STRATEGICZNI:

JTI

PHILIP MORRIS POLSKA

PARTNERZY GŁÓWNI:

SAMSUNG

PARTNER WSPIERAJĄCY:

Pfizer

eprasa.pl df9b070253

Graj, gdzie chcesz i kiedy chcesz

LOTTO JEST WSZĘDZIE

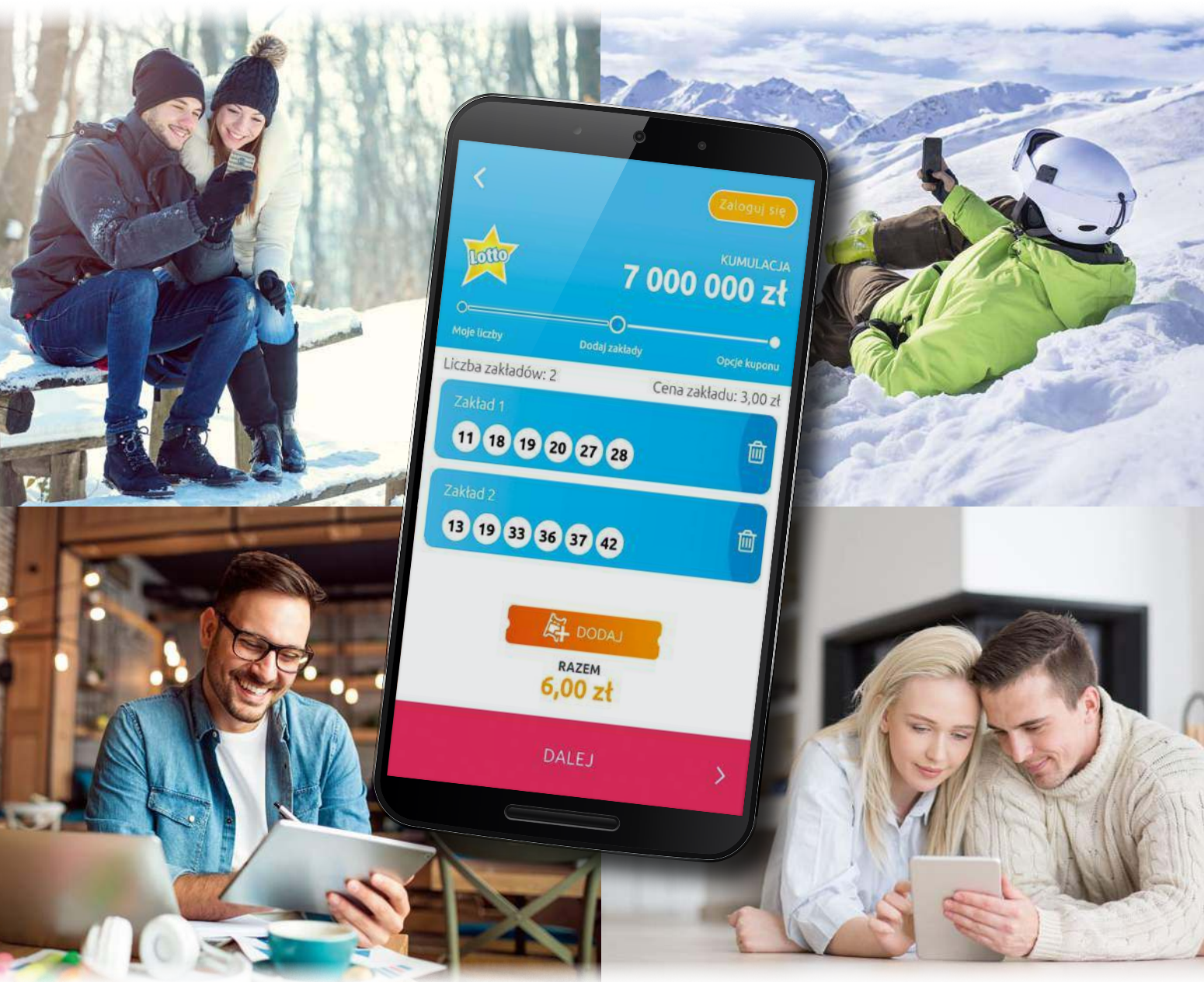

Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl

eprasa.pl df9b070253